PAJĄKI.

KLEMENS JUNOSZA.

PAJĄKI.

OBRAZEK Z ŻYCIA WARSZAWSKIEGO.

WARSZAWA.
Nakład Gebethnera i Wolffa.

1894.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава, 8 Мая 1893 г.

Warszawa. W drukarni Rubieszewskiego i Wrotnowskiego,
Nowy Świat 34.

ROZDZIAŁ I.

w którym namalowane jest tło obrazu, tudzież sylwetka bardzo zbiedzonego człowieka.

Dużo, dużo, sługa wasz, czytelnicy, napsuł w swojem życiu farb przeróżnych na malowanie łąk zielonych, złocistych kłosów pszenicznych, czerwonych maków, bławatków modrych, wody srebrzystej, co się strumieniami po kamykach toczy, lub wielką zwierciadlaną taflą lśni w jeziorach i stawach, w tym atoli obrazku, który wam dziś pokazać zamierza, tło będzie szare, ciemne, prawie czarne.

Nie ma ono nic wspólnego z pięknościami przyrody, z urokiem ciszy wioskowej, z tym przedziwnym wdziękiem, jaki ma najdrobniejszy kwiatuszek polny sam w sobie i cała sielska przyroda w całości. Nie na trawy aksamitne i nie pod konary leśnych olbrzymów, ale na twardy bruk miejski

pójdziemy; nie będziemy się wpatrywali w te barwy świetne, jasności i cienie, jakiemi Stwórca ziemię ozdobił, ale zajrzymy w głąb pewnej sfery stosunków, przez ludzi stworzonych, zajrzymy niby w głąb studni. Nie trzeba się obawiać zawrotu głowy, lecz patrzeć śmiało, bez drżenia, patrzeć i w tę otchłań ciemną i w... samych siebie także, a może też nie jednemu przyjdzie do głowy, żeby studnię zdradziecką, gotową niebacznego przechodnia pochłonąć—ocembrować przynajmniej, jeżeli nie zasypać zupełnie; może niejeden powie młodemu: „Omiń zasadzkę, bo zginiesz!“—a nieszczęśliwego, który nad skrajem przepaści się znajdzie, pochwyci w porę za rękę, powstrzyma i na właściwą naprowadzi drogę. Ciemne tło niech nie odstrasza widza, bo prawdę poznać i znać trzeba, a nie wszystko, co życie daje, jest jasne i piękne. Drogi, po których kroczymy, nie są usłane kwieciem, nie są nawet wyłożone wszędzie, twardemi, lecz równemi kamieniami; nieraz ścieżka, po której nam od kolebki do grobu iść kazano, urywa się w manowcach i ginie, albo też na zdradzieckie bagno prowadzi. Kto zna niebezpieczeństwo, ten go unika, kto nie zna, na zgubę się naraża.

Oto racya bytu tego obrazka, który wam naszkicować zamierzam. Pewien mizantrop napisał w swoich pamiętnikach, że „dla niektórych ludzi największym ciężarem życia jest... samo życie.“

Nie jest to czcza igraszka słów, ale prawda, nie zgryźliwy aforyzm pesymisty, lecz trafna uwaga obserwatora.

Najstraszniejszem ze wszystkich cierpień ludzkich jest bezsilność; najokropniejszą śmiercią — śmierć w bagnie.

W sferze stosunków ludzkich bagien nie brak, czyhają one na nieopatrznych.

Bagno!

Skoro stanąłeś na jego powierzchni zdradzieckiej, już jesteś zgubiony. Zdaje ci się, że masz przed sobą zieloną, porosłą trawą równinę, że przebiegniesz przez nią szybko, bezpiecznie i staniesz u zamierzonego celu. Łudzisz się, nieszczęśliwy, bo już nigdzie nie dojdziesz.

Pod ową trawą zieloną, pod mchami, kryje się zasadzka.

Zapadłeś po kostki, ale nie uważasz na to, cóż wielkiego! Silny jesteś, młody, wyrwiesz się i pobiegniesz naprzód.

Nieprawda!

Nie wyrwiesz się i nie pobiegniesz—zginiesz. To nie głębina jeziora, to nie wir wartkiej rzeki, z którym możesz walczyć ramionami silnemi.

Nie; to błoto oślizgłe, lepkie, błoto pod warstwą zieleni. Ono cię nie pochłonie, jak rzeka, ale cię zje powoli, wciśnie cię w siebie, wchłonie. Ono swych ofiar nie zabija odrazu, ale połyka je powoli, jak wąż, wysysa, jak pająk.

To jest bagno...

Zapadłeś tylko po kostki, a jesteś uwięziony na zawsze; chcesz się wydobyć—toniesz głębiej—szarpiesz się, chcesz wyskoczyć, gęsta topiel nie puszcza, chłonie cię po odrobinie, po troszku; zapadasz głębiej o linię, o cal, ale zapadasz stale i bez przerwy.

Bagno nie zna spoczynku w pochłanianiu. Bo i z jakiej racyi ma znać spoczynek, skoro bez żadnego trudu pochłania. Ofiara zapada się własnym ciężarem, a każdy wysiłek, w celu wydobycia się podjęty, bardziej ją tylko w głąb popycha.

Ono jest grzązkie, rozstępuje się pod twoim ciężarem; zabiera cię po pas, po szyję, po brodę; lepkie błoto tamuje ci oddech—dusisz się, giniesz śmiercią powolną, okropną śmiercią. Przepadłeś, błoto zam-

knęło się nad twoją głową, zniknąłeś z powierzchni ziemi—nie ma cię, a bagno zieleni się dalej i czeka na nowe ofiary.

W całej przyrodzie, w świecie znanym nam i widomym, na ziemi i w wodzie, w świecie roślinnym i zwierzęcym, są stworzenia, które opierają swą istność na życiu innych stworzeń.

Złośliwy grzyb pożera najtęższą sosnę, drobny robaczek dęby obala i w próchno je zamienia, pijawka cudzą krwią się pasie, pająk misterne siatki na muchy zarzuca, a nasz ludzki świat bardzo jest do świata przyrody podobny. Porównania pełnemi garściami czerpać można; gdzie tylko okiem rzucisz, analogię spostrzegasz.

Świat starożytny, zamierzchły świat minionych pokoleń, tworzył już różne bajki o zwierzętach, a i dziś te bajki, po dziesiątkach wieków, na prawdzie nie straciły i tak dobrze do współczesnych naszych stosunków, jak i do owych z przed lat tysięcy, zastosować się dadzą.

Lis z Talmudu, lis Ezopa, Reineke Goethego, czy lis Lafontaina—to jeden i ten sam—chytry, podstępny, zdradziecki.

Uprawia on łotrostwa i praktyki swoje według

jak świat starej metody i czy w zamierzchłych czasach, czy dziś, ma w świecie ludzkim naśladowców.

Im baczniej i uważniej przypatrywać się będziemy stosunkom ludzkim, tem wyraźniej przedstawi się podobieństwo ich do stosunków w przyrodzie istniejących. I brutalna walka o byt, w całej ohydzie swojej, i próżniaczy świat istot pasożytnych, i ponury światek podstępnych pająków i rojowiska pijawek i bagna niezgruntowane, bezdenne. Duch ludzki wyrywa się ku ideałom, ale nieubłagane prawo życia ściąga go na dół i paragrafom swego kodeksu poddaje. I na walkach z temi paragrafami schodzi nieraz życie całe, rozbija się o nie, marnuje i niweczy.

Dużo, dużoby na ten temat powiedzieć można, ale lepiej będzie, gdy czytelnik z opowieści naszej sam wnioski zechce wyciągnąć; my mu damy tylko materyał.

Na ciemnem tle niniejszego obrazu, wśród grupy różnych postaci, rysuje się sylwetka zbiedzonego człowieka. Nie stary on, ale siwy, jak gołąb; nie chory, a przecież skulony, jak gdyby go wielki ciężar bólu przygniatał; nie próżniak, a przecież

zawsze biedny; nie pijak, a zatacza się nieraz — tak go własna niedola odurza. Obok niego kroczy kobieta, tak samo złamana i zgnębiona, jak on i oboje idą przez życie, niosąc ciężar obowiązków, bez nadziei lepszego jutra, z rezygnacyą, która prawie apatyi się równa.

To jest mąż i żona.

On się zowie Karol Prawdzic, ona ma imię Janiny — żyją z sobą dopiero lat piętnaście, a już mają wszelkie prawa do złotego wesela, bo te piętnaście — pięćdziesięciu są równe.

Dlaczego?

ROZDZIAŁ II.

dający nam poznać bardzo szanowną rodzinę państwa Hapergeld, tudzież miłego staruszka, jakim jest dziadzio Gancpomader.

Ktoby chciał przewertować księgi ludności pewnego dużego domu przy ulicy Muranowskiej w Warszawie i zbadać: kto mieszkał w tej posesyi przed kilkunastu laty, natrafiłby niezawodnie na nazwisko Hapergeldów. Zajmowało ono sporo miejsca, i tak: 1) Jonas Bencyan Hapergeld, utrzymujący się z własnych funduszów; 2) Jenta Ruchla Hapergeld, z domu Gancpomader, żona poprzedniego, przy mężu; 3) Lejbuś Berek; 4) Izaak Nachman; 5) Michel Chuna; 6) Mendel Uszer Hapergeld, synowie Jonasa i Jenty, przy rodzicach; 7) Chana Łaja; 8) Rojza Betsaba; 9) Fajga Brandla Hapergeldówny, córki Jonasa i Jenty, również przy

rodzicach; 10) Ryfka Guzik, służąca u państwa Hapergeld.

Widzimy z powyższego, że dom tych państwa składał się z dziewięciu osób, należących do rodziny, oraz ze służącej—razem z dziesięciorga ludzi. Państwo ci zajmowali lokal, złożony z trzech pokojów i kuchni; lokal, jako położony w ruchliwym i dogodnym punkcie, dość kosztowny; jadali wcale nie źle, ubierali się dość przyzwoicie, nawet elegancko, gdyż pani Jenta lubiła przy sobocie cokolwiek szeleścić jedwabiem w ogrodzie Krasińskich i błysnąć trochę złotemi kolczykami i broszką przed oczami przechodniów, a mieć córeczki wystrojone podług ostatniej mody.

Pociechy ukazywały się zdumionemu ludowi w wielkich rembrandtowskich kapeluszach i płaszczykach białych, jak śnieg. Że pod temi płaszczykami miały brudne barchanki—to swoja rzecz.

W ogrodzie dzieci nikt nie rozbiera, a gdy widzi elegancki wierzch, co mu do tego, jaka pod nim podszewka? Niech każdy pilnuje swoich dzieci, co mu do cudzych?

Synowie odznaczali się mniejszą elegancyą i w ogóle inaczej byli traktowani, niż córki. By-

ła różnica w ubraniu, w wychowaniu, we wszystkiem.

Pan Hapergeld twierdził, że powinni być wychowani w duchu konserwatywnym, jak ich ojcowie i dziadkowie i że wszelkie nowatorstwa do niczego dobrego ich nie doprowadzą.

Synów kształcono w chederze, dla córek otwarty był lufcik, przez który mógł się dostawać prąd liberalnych przekonań. Pierwsi chodzili w zabłoconych butach, w chałatach, w czapkach czarnych sukiennych z daszkiem; drugie stroiły główki à la Rembrandt, używały nicianych rękawiczek, kaloszy i parasolek.

Pani Jenta mówiła często do ojca:

— Synowie twoi są, córki do mnie należą.

— No, no — odpowiadał pan Jonas — czy ja ci zaprzeczam? Dawaj im jeść swoim kosztem, ja będę bardzo kontent.

— Każ ty sobie ząb wyrwać swoim kosztem! Dzieci powinny mieć pożywienie od ojca i edukacyę powinny także mieć, a ja chcę dla nich edukacyi.

— Jakiej ty edukacyi chcesz?

— Jak dla panienek. One powinny umieć czytać i pisać po francusku.

— Kto ci broni, ucz je po francusku, kiedyś taka mądra.

— Będę je posyłała na pensyę.

— Co? gdzie? Może na Krakowskie, albo na Senatorską, żeby jadły trefne mięso i przestały być żydówkami?

— Nie, nie, broń Boże; jest elegancka pensya na Pokornej ulicy, tam uczy żydóweczka, bardzo edukowana. Nauka kosztuje dwa złote tygodniowo. No, Bogu dzięki, ciebie jeszcze stać na dwa złote tygodniowo dla dziecka.

— Mnie stać, ale co naszym dziewczynom po takiej edukacyi? Ty je lepiej naucz, żeby były wygadane, zdatne do sklepu, żeby umiały chwalić towar, ukryć przed kupującym złą stronę, pokazać dobrą, żeby wiedziały, jak zrobić łokieć trochę krótszym, a funt lżejszym—ty ich tego naucz. Jaki je czeka los? Pójdą za mąż, a za kogo one pójdą za mąż—za żydków. Przecież nie spodziewasz się chyba, żeby która z nich została księżną albo hrabiną. Być może, że wypadnie im samym handlować, może jaki geszeft prowadzić. Wszystko jest możliwe. No, powiedz, czy ja nie mądre słowo powiadam?

— Całkiem głupie jest twoje słowo.

— Co?

— Głupie, dubeltowo głupie. Ty mi każesz, żebym uczyła córki, jak żydówki; na co? One już są z urodzenia żydówki, uczyć ich więc nie potrzeba, ale ja chcę, żeby one były panienki edukowane. Czy ty wiesz, co je czeka? Czy zgadniesz, ile jeszcze pieniędzy zarobisz? Jaki majątek będziesz kiedyś miał? Czy zaręczysz, że która twoja córka nie zostanie hrabiną? Dlaczego nie miałaby zostać, czem jest gorsza od tylu innych? Słyszysz? Dziś każda żydówka może być hrabiną, to zależy od posagu. Nie, mój mężu, naszych dziewczynek nie można zostawić tak zwyczajnie; one muszą być przygotowane do wielkiego losu; one mogą mieć swoje domy, konie, powozy, wszystko mogą. Cały świat dla nich jest. Czy ty pamiętasz Mośkowę, tę wdowę biedną, która sprzedawała śledzie na targu? Ktoby się spodziewał, że ona będzie pani? No, tymczasem wygrała na loteryi i jest pani, jaka pani! Ona bardzo chciałaby teraz umieć po francusku i grać na fortepianie, ubierać się z wielką elegancyą, przyjmować w swoich salonach wielkich gości. Oj, oj, jakby chciała, ale całe życie była śledziarką bez

żadnej edukacyi, więc teraz i przy majątku musi nie jak pani, ale jak stara śledziarka wyglądać.

Dzięki takim argumentom, wielce szanowny pan Jonas ustąpił żądaniom małżonki i cały kłopot wykształcenia córek zdał na nią. Drzwi dla idei liberalnych stanęły otworem, w celu zaś przechowania tradycyi, a przynajmniej jej pozorów, przychodził zatabaczony staruszek, Gdali Jungfermilch, i uczył dziewczynki czytać cokolwiek po hebrajsku i korespondować w żargonie.

Sama pani Jenta, osoba wielce nabożna i bogobojna, uznała, że ta część wykształcenia zaniedbana być nie powinna i że córeczki jej muszą znać takie interesa, choćby tylko dla interesów.

Wykształcenie synów szło zupełnie innemi drogami. Od czterech lat życia począwszy, każdy młody Hapergeld brany był do nauki. Był *brany* bez żadnej przenośni, w literalnem znaczeniu tego wyrazu. Przychodził belfer, to jest pomocnik nauczyciela chederowego, brał wrzeszczącego bachora na ręce i jak baranka na ofiarę, dźwigał do świątyni mądrości.

Tam sadzał go na ławce obok innych wrzeszczących dzieciaków i uczył go abecadła. W razie opo-

ru lub lenistwa, tak bełfer, jak i mistrz jego, umieli sobie radzić, używając argumentów przekonywających, które trafiały do głowy różnemi drogami, to jest przez lewe ucho, przez plecy, przez prawe ucho, jak wypadło. Zresztą, na co pytać o drogę, skoro się jest u celu, skoro dzieciak poznawał tajemnice alfabetu i z każdym dniem stawał się bardziej poważnym i uczonym.

Nauczyciel był kontent i ojciec był kontent, a że syn często płakał, to rzecz podrzędna, od tego są dzieci, żeby płakały; gorzej jest, jeżeli płacze stary człowiek z powodu dzieci.

Pan Jonas Hapergeld zdecydował się zrobić pewne ustępstwo na rzecz córek, bo ostatecznie córka jest to tylko—kobieta, ale syn—to zupełnie co innego.

Przedewszystkiem musi on być żydem; musi być wykształconym o tyle, żeby umiał napisać podanie do sądu, deklaracyę do komornika, znać prawo cywilne w celu walki o byt, a kryminalne o tyle przynajmniej, o ile wymaga instynkt zachowawczy.

Nauki religijne i filozoficzne dawał młodym Hapergeldom cheder, dysputy z towarzyszami w szkole, wreszcie dysputy naukowe, jakie pan J. Haper-

geld ojciec prowadził ze swymi przyjaciółmi, którzy przychodzili do niego na herbatę w sobotę wieczorem.

Każdy z nich przynosił z sobą kawałek cukru dla osłodzenia chińskiego napoju i zapas inteligencyi dla nadania smaku pouczającej dyspucie.

Cytowano z pamięci zdania wielkich mężów i poważnych pisarzy talmudycznych, powoływano się na słowa uczonych rabinów, w razie potrzeby wydobywano z szafy wielką księgę i w niej szukano rozwiązania, a młodzi i wielce obiecujący J. Hapergelda synowie przysłuchiwali się rozmowie starszych i nabierali konchami uszu swych masę przeczystych pereł mądrości.

Umysł ich gimnastykował się, nabierał giętkości, stawał się elastycznym, lekkim, chwytał w lot słabe strony przeciwników, zadawał im razy wprawnie, podstępnie, a niespodziewanie.

Chłopcy kochali się w tego rodzaju dysputach i patrzyli na starszych z podziwem, z uwielbieniem, a zdarzało się, że i sami wtrącali swoje uwagi, które szanowny ojciec ich, Jonas, przyjmował z pobłażliwą a zachęcającą do dalszego myślenia i dalszej pracy krytyką.

Nie zawsze jednak dysputy dotyczyły przedmiotów oderwanych, owszem, schodziły one często z dziedziny abstrakcyi na grunt praktyczny i na tym gruncie były jeszcze ciekawsze i bardziej zajmujące.

Młodzi Hapergełdowie zrozumieli doskonale, że filozofia jest to nauka niezmiernie zajmująca, ale przyznawali zarazem, że nauka finansowości i prawa również ma prawo bytu i jest człowiekowi potrzebna w życiu.

Najstarszy z owych młodzieńców, Lejbuś, wyraził się pewnego razu, że człowiek nieznający filozofii jest godzien litości, ale może żyć; człowiek zaś nieznający rachunków, ani prawa, jeszcze bardziej zasługuje na litość, bo wcale żyć nie może.

Pan Hapergeld senior przyznał swemu pierworodnemu słuszność.

Finansowości uczono młodzieńców praktycznie na przykładach i to nie na wymyślonych przykładach, ale „in anima vili“, na interesach rzeczywistych.

Wieczorem, po kolacyi, pan Hapergeld senior opowiadał historyę dnia: komu pożyczył pieniędzy, na jakich warunkach, ile z tego osiągnął korzyści,

ile spodziewa się osiągnąć w przyszłości, z kim miał sprawę w sądzie, jakie sprawy cudze na swoje oczy widział, o jakich sprawach na swoje uszy słyszał i co w której było ciekawego. Opowiadał niezmiernie ciekawe szczegóły o licytacyach: jak żona i córki człowieka, którego rzeczy komornik na rzecz pana Hapergelda sprzedawał, płakały, jak handlarze się śmieli z tego, jak zrobili zmowę i kupili wszystko za bezcen.

W żadnym teatrze tak się nie można ubawić!

Synowie słuchali tego wykładu z wielką uwagą, prawie z namaszczeniem i połykali mądre słowa ojca z takim smakiem, jak gdyby to były nie słowa, ale makagigi, lub kawałki śledzia marynowanego z cebulą.

Zdarzało się niekiedy, że przychodził na herbatę dziadzio Gancpomader, mąż sędziwy, z białą jak śnieg brodą, człowiek doświadczony, który zęby zjadł na interesach.

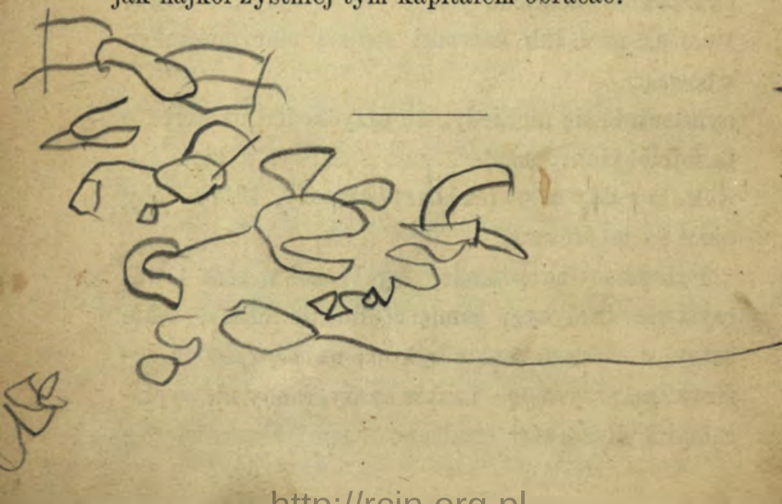
Dziadzio Gancpomader wyobrażał w tem towarzystwie tradycyę; pamiętał dawne czasy, takie czasy, w których można było na walutę składać deferowaną przysięgę—i takie czasy, kiedy niewypłacalnych dłużników osadzano w specyalnem więzie-

niu na Lesznie i takie czasy, w których się robiło dobre interesa z małoletnimi na fałszywe podpisy.

Pachniało to trochę kryminałem, ale trudno, każda rzecz musi mieć swój zapach.

Ryba nadziewana pachnie cebulą, bukiet różami a niektóre interesa kryminałem.

Dziadzio Gancpomader bardzo lubił opowiadać; on się cieszył swymi wnuczkami, on ich kochał, on lubił, jak który do rozmowy dowcipną uwagę wtrącił. On widział w nich pociechę swojej starości i czasem tak się rozczulał, że dawał im w prezencie po kilka groszy, z zastrzeżeniem, aby starali się jak najkorzystniej tym kapitałem obracać.



ROZDZIAŁ III.

Pan Izrael Meier Zwanzig robi rodzinie Hapergeldów propozycyę, nad którą dziadzio Gancpomader radzi się zastanowić.

Pewnego razu, w sobotę wieczorem, cała rodzina państwa Hapergeldów zgromadziła się przy stole. Było już po szabasie i po kolacyi, paliła się lampa wisząca nad stołem, a w wysokim lichtarzu mosiężnym, migając czerwonawym płomykiem, dogorywała łojówka.

Małżonkowie Hapergeld pili herbatę, synowie przy piecu odbywali ważną naradę w przedmiocie: jakim sposobem w czasie możliwie najkrótszym zrobić z trzech groszy rubla; córeczki przypominały sobie, co działo się w piątek na pensyi i rozmyślały, jak się może nazywać po francusku cymes z marchwi.

Chwilowo zapanowała cisza, którą zaraz atoli przerwało wejście gości.

Naprzód przyszedł dziadzio Gancpomader, a w kilka minut później niejaki pan Izrael Meir Zwanzig, rudy, pękaty, uśmiechnięty zawsze i dowcipny. Mąż ten miał specyalne swoje zatrudnienie, przy którem trzeba być i uśmiechniętym i dowcipnym. Stręczył małżeństwa. Jest to czynność, przy której smutnym być na żaden sposób nie wypada.

Ujrzawszy Izraela, pan Hapergeld senior zrobił duże oczy, to samo uczyniła pani i dziadzio Gancpomader.

Spojrzenie ich, zwrócone do gościa, zdawało się mówić:

— Co ty tu u nas robisz?

Izrael wcale się tem nie zniechęcił, powiedział dobre słowo i usiadł przy stole, zupełnie, jak zaproszony gość.

Nareszcie dziadzio Gancpomader zapytał:

— Co wy robicie tu, Izraelu; o ile wiem, mieszkacie w innej stronie miasta.

— Moje kwiatki — odrzekł — wszędzie rosną i dlatego ja wszędzie bywam.

— A moje kwiatki — wtrąciła gospodyni domu — są jeszcze za zielone dla was. Co wy możecie chcieć od nas, kiedy moja najstarsza dziewczynka ma dopiero dziewiąty rok życia!

Zwanzig uśmiechnął się.

— Gdy wasza najmłodsza dziewczynka będzie miała dziewięćdziesiąt dziewięć lat życia, czego oby w dobrem zdrowiu doczekała, to ja naprawdę nie będę miał tu co robić. Czy wy, pani Jento, macie wyobrażenie, że ja tylko dziewczynki za mąż wydaję?

— Przecież to wasz fach...

— No, a gdzie jest taki kodeks, którykby mi zabraniał chłopców żenić? To także jest mój fach.

Izrael uśmiechnął się bardzo przyjemnie, mrugnął znacząco w stronę pieca i dodał:

— Żeby wasz najstarszy synek, który teraz ma lat ośmnaście, dostał ładną panienkę z bardzo wielkiej familii, żeby wziął za nią porządny posag, to ja myślę, że ani pan Jonas, ani pani Jenta, ani nasz kochany dziadzio Gancpomader, nie zrobiliby z tego powodu awantury. Co myślicie o tem, panie Gancpomader?

— Ja myślę, że wyście powiedzieli mądre słowo.

— A wy co myślicie, panie Jonas?

— Ja myślę to samo, co dziadek.

— A co powiada pani mama?

— Bardzo dobrze.

— Kiedy wy, moi państwo, tak myślicie, to dajcie mi naprzód szklankę herbaty z cukrem, a potem zaczniemy gadać.

Pani Jenta nalała szklankę herbaty.

— Gadajcie, tylko prędzej — rzekła — bo jestem bardzo ciekawa.

— Wasza matka była także ciekawa i wasze siostry są ciekawe—taka natura ich!

— Bardzo mi dziwno, Izraelu, że wy źle mówicie o kobietach; gdyby nie kobiety, coby był wart wasz cały proceder? Wy jesteście brzydki niewdzięcznik.

— Sza, dość! — przerwał dziadzio Gancpomader.—Zwanzig nie na zabawę tu przyszedł. Proszę, niech mówi, my posłuchamy.

Izrael zsunął czapkę na sam tył głowy i podrapał się w rzadką brodę, co zawsze zwykł czynić, gdy chodziło mu o skupienie myśli; potem zabębnił palcami po stole — zapewne dla zaalarmowania in-

teligencyi i uwagi obecnych. Po chwili wzniósł oczy w górę i rzekł sentencyonalnie:

— Nie zaszkodzi, jeżeli dzieci pójdą precz.

Dziadzio kiwnął głową i rzekł:

— *Kinder*, *weg!*

Na tę komendę pierzchnęli chłopcy z pod pieca, a dziewczynki z pod okna i zniknęli za drzwiami.

— No, teraz niech mówi Izrael.

— Dlaczego ja nie mam mówić? Owszem, zaraz będę mówił. Znacie zapewne pana Netla Luftermana z Twardej ulicy?

— Znamy.

— To jest bardzo porządny kapitalista.

— Czem on się trudni?—spytał dziadzio.

— Handluje trochę pieniędzmi, tak samo, jak Jonas Hapergeld; do współki z Ickiem Blinderem ma biuro, z Mośkiem Piernikiem fabrykę; wszyscy ludzie z tego biura i wszyscy z tej fabryki siedzą u niego w kieszeni i płacą mu bardzo ładny procent. Prócz tego, sam na siebie też ma kilka bardzo porządnych miejsc, które są intratne i pewne. On ma jednego takiego pana, który płaci jak bank i daje pięć, sześć, miesięcznie od jednego słowa. Netel mieszka bardzo porządnie: ma cztery pokoje

na drugiem piętrze, ładne meble, wielkie szafy z odzieniem; ma srebrne rzeczy, ma złote rzeczy, rozmaite rzeczy ma, jeszcze z dawniejszych czasów, kiedy można było trochę bawić się na zastawy.

— Ja wiem — rzekł dziadzio — ale idźmy do interesu. Domyślam się, że Lufterman ma córeczkę.

— Ma się rozumieć. Lufterman wydał już za mąż dwie córki, obie bardzo dobrze; teraz miałby ochotę wydać trzecią i właśnie ja mu mówiłem, żeby nie patrzył tyle na pieniądze, ile na godną familię, a zdaje mi się, że państwo Hapergeld to właśnie jest bardzo godna familia.

— I mnie się tak zdaje — wtrąciła pani Jenta.

— Dziewczynka jest śliczna, bardzo edukowana, elegantka, nie wygląda wcale jak żydówka, ale jak wielka dama. Żebyście zobaczyli, jak ona się wystroi, to naprawdę jest co widzieć! Na ulicy, to się ludzie oglądają.

— Idźcie wy do rzeczy. Z tego, że się kto na nią ogląda, my nie będziemy mieli nic...

— Już idę, już jestem. Słuchajcie-no, prócz edukacyi, ona będzie miała trochę garderoby i trochę

srebrnych rzeczy, będzie miała trochę pieniędzy. Mało wam jeszcze?

— Mówcie po ludzku. Ile to jest na ruble?

— Dużo, wcale dużo! Sama garderoba, bielizna, pościel, może być warta na moje oko trzysta rubli; srebrne i złote rzeczy dwieście rubli, a posag... no, co do posagu, można się targować. Lufterman deklaruje pięćset rubli, ale jak go mocno przyciśniecie, da więcej. On jest szczery człowiek, chciałby prędko wypchnąć córkę z domu.

Wszyscy umilkli.

Pan Hapergeld, dziadzio Gancpomader, Srul Zwanzig, oparli ręce na stole i zaczęli bębnić palcami, co miało oznaczać wielki pochód myśli.

Pani Jenta też pukała w stół tłustym, krótkim palcem, ale nie odzywała się wcale, nie chcąc przeszkadzać mężowi i ojcu.

Niech oni wpierw skombinują i obliczą, jak się należy.

Po kilku minutach dziadzio Gancpomader rzekł lakonicznie:

— Mało.

— Bardzo mało — powtórzył, jak echo, pan Hapergeld.

— Wcale nic! — krzyknęła pani Jenta i natychmiast poczerwieniała mocno na twarzy. — Ja mam oddać Luftermanowi moje pierworodne dziecko za głupie pięćset rubli? Niech lepiej Lufterman nogi połamie!

— Daj pani pokój; za co on ma nogi połamać? Interes — jest interes; jeszcze nie powiedziane ostatnie słowo, można się targować. Prawda?

— Prawda — rzekł dziadzio — można się targować; nie róbmy po waryacku, zastanówmy się. Pięćset rubli jest, podług mojego rozumienia rzeczy, bardzo mało.

— Za pozwoleniem; może być mało, a może być i bardzo dużo; zależy od tego, ile deklaruje dać synowi pan Hapergeld. Uważajcie, że tamta strona daje garderobę, daje trochę srebra i złota, co razem z gotowizną uczyni cały tysiąc rubli; wy ze swojej strony nie powinniście dać mniej, jeżeli zgadzacie się na pięćset rubli posagu. Musi być równość — inaczej na nic. No, czy pan Hapergeld potrafi dać synowi tysiąc rubli?

— Obaczymy, obaczymy, może dam więcej, może mniej, może wcale nic nie dam.

— To zrobicie głupstwo. Lufterman jest boga-

ty, ma dużo pieniędzy w ruchu, dzieci jego z czasem mogą mieć majątek. Trzy córki, dwóch synów; tymczasem więcej nie ma i chyba nie będzie. On już nie młodzik, ten Lufterman. I trzeba znać jego naturę, on teraz niewiele daje, a gdy się jemu poszczęści, gdy zrobi dobry geszeft—to da dzieciom! Komu ma dać, jeżeli nie dzieciom? Przecież jest porządny żyd, w karty nie gra, na żadne zabawy nie chodzi, hulania wcale nie lubi. Nabożny człowiek i uczony.

Dziadzio Gancpomader stuknął się palcem w czoło.

— Wiecie co—rzekł—mnie się przypomina, mnie się coś zdaje, że on w kryminale siedział.

— Cokolwieczek, ale bardzo mało, tak jak nic; nieszczęście każdemu może się przytrafić. On handlował koronkami, sprowadzał z zagranicy. Rozumiecie, że to jest ślizki interes. To trudno, my jesteśmy prześladowany naród, my cierpimy...

— To prawda.

— Mówcie swoje słowo: ja nie mam czasu, a nie myślcie, że będę miał z wydaniem córki Luftermana kłopot; dwie wyswatałem w swoim czasie od jednego słowa; trzecia też siwych włosów w pa-

nieństwie nie doczeka. Ja prosto ztąd idę do Jankla Bluma; on ma też syna w waszym wieku, bardzo mądrego chłopaka, w trzech słowach interes się zrobi. Bądźcie zdrowi, życzę wam dobrej nocy i dobrego roku.

— Zaczekajcie—rzekł dziadek—ożenić chłopca nie tak łatwo, jak kupić za dwa grosze bułkę; dajcie nam czas do namysłu.

— Ile?

— Dzień, dwa...

— Dobrze, niech będzie dwa. Na trzeci dzień ja przyjdę do was wieczorem.

— Przyjdźcie—odezwał się dziadek—dwa dni będziemy myśleli, potem dwa dni będziemy gadali, a jeszcze potem, albo co zrobimy, albo nic nie zrobimy, jak zwyczajnie w handlu. Zgoda?

— Bardzo dobrze. Za dwa dni.

— Za dwa. Dobranoc.

— Dobranoc.

Izrael wyszedł.

Dziadzio Gancpomader pogładził siwą brodę i rzekł:

— Czas leci, bardzo prędko leci; niedawno nasza Jenta była maleńka, niedawno ją wydaliśmy

za mąż, teraz myślimy żenić najstarszego jej syna.

— To jest prawda, czas leci — rzekła z westchnieniem pani Jenta i spojrzała ukradkiem w lustro — dawniej byłam zdrowa, teraz jestem taka delikatna i osłabiona, że się we drzwi zmieścić nie mogę.

— Słuchajcie — rzekł dziadek — Jonas ma swój rozum, ja nie przeczę; on się zna na interesach, on się prędko dorabia pieniędzy, on sprytny jest. On sam doskonale wie, co ma odpowiedzieć na propozycyę Izraela.

— Ja wiem — mruknął Hapergeld.

— Wierzę; nie zaszkodzi jednak, jeżeli posłuchacie mojej rady; ja mam doświadczenie, jestem, chwała Bogu, nie dzisiejszy. Podług mojego zdania — należy potargować się i przyjąć. Targować się trzeba do siedmiuset pięćdziesięciu rubli w gotówce. Więcej Lufterman nie da. Ty musisz dać tyleż gotówki, co i on, a oprócz tego wartość srebra i wartość garderoby. Więc ty musisz dać w gotowiźnie tysiąc dwieście pięćdziesiąt rubli. Odejdzie koło dwustu rubli na zagospodarowanie państwa młodych. Zostanie kapitału tysiąc ośmset rubli. To na początek ładna jest suma.

— Bardzo ładna—rzekł Hapergeld—ja zaczynałem od pięciuset.

— Z przeproszeniem twego honoru—rzekł dziadzio Gancpomader — ty jesteś głupi i chwalić się czem nie masz. Ja zaczynałem od pięciu i Bogu dzięki żyłem, handlowałem, wyposażyłem dzieci, a jak mi się spodoba dać wnuczkowi dwieście rubli, to Gancpomadera jeszcze na to stać. I dam całe dwieście, niech oni mają całe dwa tysiące. Dwa tysiące w ruchu, licząc pięć na miesiąc, powinny przynieść w pierwszym roku tysiąc dwieście, to już mamy 3,200 — na drugi rok będzie 4,120, na trzeci 6,592, jak dobrze pójdzie, może i całe siedem tysięcy. Ja nie rachuję wiele, tylko pięć procent. Żeby nie żyli z tych pieniędzy przez lat pięć, to ich kapitalik podniósłby się blisko do dwudziestu tysięcy rubli, ale młodzi potrzebują żyć, a my starzy, rachując, musimy odliczyć coś na straty. Może się zdarzyć, że dłużnik umrze, że stanie się niewypłacalny, rachunek może omylić. Nie omyli on grubo, ale tak sobie, cokolwiek. Czy ty uważasz, Jonas, co ja tobie powiadam?

— Bardzo dobrze uważam, mówcie dalej.

— Niech ojciec mówi dalej—wtrąciła pani Jenta.

— No, słuchajcie. Za moich czasów, jak ja byłem młody, na prowincyi praktykował się u żydków bardzo dobry obyczaj. Państwo młodzi przez trzy lata siedzieli u jednych rodziców, a przez drugie trzy u drugich. Razem to jest sześć lat. Oni mieli darmo jedzenie, mieszkanie, wszystko, co potrzeba, nie kłopotali się o nic. On praktykował u starszych, trochę handlował, trochę książki nabożne czytał—ona praktykowała w gospodarstwie domowem przy jednej, to przy drugiej matce i wprawiała się do interesów, do drobnego handlu. Było dobrze, a kapitałem państwa młodych, tym właśnie, co był im dany na posag, tymczasem obracali ojcowie. Wszystek zysk szedł na powiększenie. Rozumiesz, co znaczy w dobrem ręku żydowskiem kapitał przez sześć lat! On się powiększy przynajmniej pięć razy, a przy szczęściu, sześć i siedem i osiem. Skończyło się sześć lat, młodzi odbierają swój kapitał i już zaczynają handlować sami. Czy to jest źle, powiedz Jonas?

— Ja wiem, to jest bardzo doskonale.

— Więc ja ci radzę życzliwie, ty mnie posłuchaj i utrzymaj starą modę. Ona dobra jest, wymyślili ją starzy ludzie, a my nic lepszego dla

dzieci nie znajdziemy. Ja wiem, że w Warszawie musi być inaczej; mieszkanie młodym trzeba dać osobno, ale można ich utrzymać pieniędzmi. Ty będziesz dawał przez trzy lata po siedem i pół rubli tygodniowo. Lufterman da drugie tyle. Na dwoje młodych piętnaście rubli na tydzień wystarczy, choćby nawet mieli trochę fanaberyi. Pieniądze posagowe wy puśćcie tymczasem w ruch.

— Jakto wy?

— No, ty i Lufterman.

— Do współki?

— Dla dzieci. Lejbuś będzie przy was uczył się interesów, będzie praktykował; nawet podług mego zdania lepiej, żeby praktykował nie przy tobie, ale przy Luftermanie.

— Dlaczego ja mam być gorszy od Luftermana? Czy on wszystkie rozumy zjadł?

— Ja nie powiadam, żeś ty, broń Boże, gorszy, mnie zdaje się nawet, że ty lepszy jesteś, ale zawsze co dwie głowy, to nie jedna. Ty masz swoje sposoby i wybiegi, Lufterman ma swoje. Lejbuś twoje zna, albo prawie zna, dlaczego nie ma poznać sposobów Luftermana? Co ci to szkodzi, że on będzie miał rozum za dwóch? Zrób tak, jak

ja ci radzę. Słuchaj mnie. Lejbuś powinien się ożenić z córką Luftermana, Zwanzig przyszedł tu w dobrą godzinę; podług mego rozumienia, w bardzo dobrą.

— Bardzo was przepraszam, ale tego nie rozumiem, dlaczego mój syn ma brać koniecznie Luftermana córkę, alboż ona jedna na świecie? Tyle jest w Warszawie żydówek, mają posagi w pieniądzach, w towarach, mają sklepy, małe fabryczki, różne sposoby do życia. Dlaczego on nie ma jednej z takich dostać?

— Jonas, Jonas, ty powiedziałeś wielkie głupstwo, poprostu niedorzeczność, aż niemiło słuchać takiej mowy.

— Głupstwo?

— No, tak.

— W czem?

— W twoim rodzie nie było fabrykantów, nie było właścicieli sklepów, nikt się nie trudnił żadnem brzydkiem rzemiosłem, dlatego możemy powiedzieć, że nasza familia, to jest wielka familia, sami kapitaliści; nie mieli wielkich pieniędzy, nie obracali milionami, lecz kręcili dziesiątkami i setkami bardzo szybko i to im wychodziło na poży-

tek. Oni się trudnili tylko wyłącznie lichwiarstwem, a to jest bardzo dobry proceder, to jest szlachetny interes. Goje brzydzą się nami, co to szkodzi? Niech oni się brzydzą, aby płacili procent. My chcemy żyć, a z czego żyć? Drzewo rąbać, czy wodę nosić, nie pasuje dla naszego honoru. Dla nas pieniądze muszą robić, od tego są pieniądze i od tego jesteśmy my. Twój Lejbuś nie jest bardzo zdatny do sklepu, a wcale niezdatny do fabryki, albo do rzemiosła; do obracania pieniędzmi on jest bardzo zdatny i dlatego ja myślę, że się powinien z córką Luftermana ożenić. Ja powiedziałem ci już wszystko, co miałem powiedzieć, a ty, Jonas, pomyśl dobrze o tym interesie, żebyś wiedział, co mówić, gdy za dwa dni przyjdzie Zwanzig...

ROZDZIAŁ IV.

Izrael Meir Zwanzig pokazuje, co umie; pani Hapergeld idzie z pierwszą etykietalną wizytą do pani Lufterman.

Trzeba przyznać, że Izrael Zwanzig nie zasypiał gruszek w popiele; miał on taką naturę, że lubił robić interesa na gorąco.

Nie spał przez cały tydzień, ale nie dał też spać Luftermanowi, panu Hapergeld ojcu i dziadziowi Gancpomader.

Mieli oni codzień pomiędzy sobą bardzo burzliwe konferencye, kłócili się, skakali sobie do oczów; nawet parę razy popędliwy Lufterman chwycił spokojnego z natury Hapergelda i napluł mu w oczy, ale to swoja rzecz. W handlu gniewu nie ma; można się posprzeczać i pokłócić, ale skoro przychodzi do zgody, to obie strony są w przy-

jaźni i wypijają na koszt wspólny parę kufelków piwa, lub kilka szklanek herbaty.

Kiedy mężczyźni już przyszli do porozumienia, wypadało, żeby damy poznały się nawzajem, to też pani Hapergeld złożyła wizytę pani Lufterman.

Wystroiła się na tę uroczystość bardzo wspaniale w atłasy, aksamity, w kapelusz ze strusiem piórem i zawiesiła na swej pokaźnej osobie wszystko, co tylko miała w domu ze złota i drogich kamieni.

Tak ustrojona i wyzłocona, wtoczyła się do salonu pani Lufterman; obie damy zasiadły na kanapie i zaczęły opowiadać sobie nawzajem bardzo zajmujące szczegóły o dzieciach, o delikatnem zdrowiu, o konieczności wyjazdu do wód, o doktorach, konsyliach, lekarstwach, aptekach. Obie te panie miały mniej więcej jednakowe dolegliwości, obie ledwie się mogły poruszać od nadmiaru tuszy i dokuczał im jakiś feler koło serca.

— Ach! pani kochana — mówiła pani Lufterman—ja będę musiała wyjechać do Emsa.

— Na co pani Emsa?

— Pan doktór X. powiedział, że ja mogę mieć smalec koło serca. Słyszała pani co podobnego?

— Ach, pani, mój doktór mówi, że ja już mam pełne serce smalcu. Zkąd się we mnie może brać smalec? Ja taka jestem delikatna, nie jadam nawet tyle, ile maleńki ptaszek, a gęsiny to nawet wcale nie lubię.

— Ja tak samo, wcale nie mam apetyt do jedzenia, czasem tylko pijam trochę kawy. Zkąd może być w mojem sercu smalec?

Ponieważ panie te na żaden sposób nie mogły rozwiązać tej szczególnej zagadki, nie chcąc więc trudzić głów napróżno, zwróciły na inny przedmiot rozmowę.

Zaczęły mówić o zamierzonem małżeństwie dzieci, a pani Hapergeld nie taiła, że ma wielką chęć obejrzeć złote i srebrne rzeczy, tudzież garderobę, dla panny młodej przeznaczoną.

Przy tej sposobności objawiła się zaraz różnica zdań. Pani Lufterman twierdziła, że precyoza są bardzo kosztowne i ocenione zamało. Pani Hapergeld zaś wyraziła życzenie, żeby oczy wypłynęły temu, kto nie widział kosztowniejszych precyozów — i dodała, że człowiek, który te błyskotki na dwieście rubli ocenił, zna się na koszto-

wnościach, jak blacharz na zegarku. Przepytawszy się między żydkami, można dostać taki sam cymes za bardzo tanie pieniądze, a na licytacyach prawie za pół darmo.

Lekka, delikatna sprzeczka, zabarwiła pulchne oblicza obydwóch dam na kolor czerwony i oczy ich nabrały blasku złowrogiego; ale były to małe chmurki, które dopiero zaczęły się zbierać i grozić wielką burzą podczas oglądania garderoby. Na tym punkcie różnica zdań była tak wielka, że w jednej i drugiej damie zagotował się, zawrzał i zakipiał wszystek smalec w sercu i w wątrobie.

Dawały sobie złośliwe przycinki, podnosiły głos coraz bardziej, nie dobierając wyrażeń, nareszcie zaczęły sobie skakać do oczu i byłaby się niezawodnie stała jaka nadzwyczajna awantura, gdyby nie to, że wpadł do pokoju Zwanzig, damy rozjątrzone rozdzielił i powiedział im, że obie są paskudne żydówki, prawdziwe straganiarki z za Żelaznej Bramy, że nie znają się na honorze, ani na polityce, ani na delikatności, skoro podczas pierwszej takiej uroczystej, takiej wielkiej wizyty, nie potrafią poprowadzić przyzwoitej i zgodnej rozmowy.

Ponieważ Zwanzig miał opinię bardzo dowcipnego człowieka, przeto obie damy przemówienie jego przyjęły śmiechem i zasiadły już w pozornej zgodzie przy stole, aby się posilić herbatą, zbawienną dla osób osłabionych, delikatnych i cierpiących.

Jak rzekliśmy wyżej, przez cały tydzień dziadzio, ojcowie, mamy i swat nie spali; ci tylko, o których głównie chodziło, to jest Lejbuś i panna Regina Lufterman, zwana w domu zdrobniale i pieszczotliwie Ryfcią — nie cierpieli bynajmniej na bezsenność. Wiadomo było tak jemu, jak jej, że rodzice myślą o ich małżeństwie, ale kwestya osób nie obchodziła ich bliżej.

Po długich pertraktacyach, kłótniach i sporach, stanęła nareszcie zgoda, nad czem Izrael Meir Zwanzig napracował się bardzo. Trzeba przyznać, że nie szczędził pracy; tłómaczył stronom, jakie szczęście przyniesie taki związek, jaką świetną przyszłość zapewni młodej parze; nie szczędził argumentów, nie żałował fatygi; ochrypnął, kaszlu dostał, ale postawił na swojem. Dostał honoraryum umówione od Luftermana, dostał od Hapergelda, schował do kieszeni i tego samego

jeszcze dnia również gorliwie zajął się stręczeniem innej pary. Fachowy a pracowity człowiek robi tak zawsze: jedno kończy, zaraz drugie zaczyna, czasem nawet robi kilka interesów współcześnie.

Panna Regina, narzeczona Lejbusia, była dość przystojną żydóweczką i ku wielkiej uciesze pani Hapergeld, posiadała wysoką edukacyę.

Istotnie, dziewica ta, od biedy, bez zbyt rażących błędów, potrafiła napisać list i umiała kilkadziesiąt wyrazów po francusku.

Zwolenniczka postępu i cywilizacyi europejskiej, wymogła stanowczo na swoim narzeczonym, że nie będzie używał imienia Lejbusia Berka, lecz będzie dla świata Leonem Bernardem Hapergeld, dla narzeczonej, a przyszłej żony swej—Leosiem. Dla swojej rodziny musi pozostać tem, czem był, Lajbele, bo opór takich zacofanych ludzi, jak stary Hapergeld i dziadzio Gancpomader, bywa zwykle nieprzełamany.

Wymogła też narzeczona na Lejbusiu, że o ile możności, stopniowo, żeby starszych nie drażnić, będzie systematycznie skracał kapotę od dołu, a cholewy butów od góry, że zamiast czapki, uży-

wać będzie lśniącego cylindra, a na nosie osadzi parę binokli w talmigoldowej oprawie, co nada mu wszelkie pozory poważnego bankiera i finansisty.

Lejbuś przyrzekł te życzenia spełnić.

Umowa przedślubna i zaręczyny odbyły się według dawnego zwyczaju, z zachowaniem wszelkich form i tradycyi.

Państwo Lufterman wysadzili się na bardzo wspaniałe przyjęcie, było dużo gości, a w tej liczbie i Izrael Meir Zwanzig, który miał zastrzeżone w umowie, że niezależnie od honoraryum pieniężnego, dwa razy jeszcze skorzysta ze służebności w naturze, to jest, że na zaręczynach i na weselu będzie mógł jeść i pić bez żadnego ograniczenia, ile tylko przełknąć potrafi, z tym wszakże warunkiem, żeby pchał tylko w usta, nie zaś w kieszeń.

Zwanzig stosował się do umowy, a że czasem wziął w sekrecie do kieszeni parę garści makaroników, to nie dla siebie, lecz dla dzieci.

Na zaręczynach przyjęcie było wspaniałe. Słynny cukiernik z Gęsiej ulicy przysłał za dwa ruble prześliczny tort z kartoflanej mąki, odpowiednią ilość pierników i cukierków, a sama pani Lufter-

man, przy pomocy kucharki, przyrządziła kolacyę, z rybą mocno opieprzoną i zaprawioną cebulą.

Kosztowało ją to nie mało pieniędzy, a zapach smakowitej potrawy rozchodził się aż na trzecią ulicę.

Goście jedli z apetytem, bo na bezpłatne jedzenie każdy ma apetyt, a bawili się wesoło, bo kto cudzym kosztem porządnie sobie podje i wypije, to dlaczego nie ma być wesoły?

Tyle różnych słodyczy, taka wspaniała ryba, a śledzie, a chleb, a bułki, a herbata — same najlepsze rzeczy.

Pan Lufterman nie żałował trunków; miał on znajomość i stosunki z kilkoma oficyalistami większych dystylarni, a ci go tak kochali, tak mu byli za jego usłużność i dobre serce wdzięczni, że każdy z przyjemnością ułatwiał mu nabywanie wszelkich spirytualij po cenie kosztu... szkła.

Z ludźmi trzeba żyć, gdyż ręka rękę wspiera.

Dalej, niż do północy, trwała wielka zabawa, poczem goście rozeszli się w dobrem usposobieniu, w zgodzie i spokoju, życząc narzeczonym i ich rodzicom zdrowia i powodzenia w interesach.

ROZDZIAŁ V.

Dziadzio Gancpomader coś pisze, Lejbuś Hapergeld robi honory pannie Reginie Lufterman.

Od czasu zaręczyn dziadzio Gancpomader wcale się nie pokazywał na Muranowie; już dwa tygodnie minęło, a on ani zajrzał, co wydawać się mogło bardzo dziwnem, zwłaszcza w czasie tak ważnym. Najstarszy, najulubieńszy wnuczek, źrenica w oku dziadkowem, zmienia los, a dziadek zachowuje się tak obojętnie.

Z początku pani Hapergeld sądziła, że dziadzio zachorował i poszła dowiedzieć się o jego zdrowie, ale nie przyjął jej wcale. Zamknięty w oddzielnym pokoju, odpowiedział przezedrzwi, że ma bardzo ważne zajęcie i nie myśli go wcale przerywać dla rozmowy z kobietą.

Na to pani Jenta odrzekła, nie bez pewnej racyi, że względem niego nie jest bynajmniej kobietą, tylko córką i że nie przyszła na rozmowę, ani na zabawę, lecz jedynie w celu dowiedzenia się o zdrowie ojczulka, co jej żadną miarą nie może być poczytanem za złe.

Z wielką opryskliwością odburknął dziadek z po za drzwi, że jest zdrów i że jak teraz, ma tylko jedno życzenie, a mianowicie, żeby mu nikt głowy nie zawracał.

Co mu się stało? On, zawsze taki grzeczny i uprzejmy, zrobił się zaraz niedelikatnym, grubianinem i względem kogo?—względem rodzonej córki, względem damy, która ma też dorosłe dzieci i spodziewa się w niedalekiej przyszłości wnuków.

Nie zawracać mu głowy! Ciekawa rzecz dlaczego?

Na szczęście, w każdych drzwiach znajduje się zamek, a w każdym zamku dziurka od klucza. Postanowiwszy z tej okoliczności skorzystać, pani Hapergeld, nie zważając na tuszę pokaźną, schyliła się, ażeby dojrzeć własnemi oczami, co robi dziadzio.

Pokazało się, że pisze i to bardzo zawzięcie. Chwilami przerywa pisanie, obejmuje głowę rękami, myśli, natęża wszystkie siły ducha i znów pisze.

Co on może pisać? Przecież nie rachunki, gdyż z interesów wycofał się już dawno i chyba tylko wtedy je robi, gdy się coś wyjątkowo korzystnego trafi, albo gdy go kto do bardzo zyskownej współki namówi; chyba też nie księgę nabożną i uczoną, bo dziadzio nie jest biedakiem, żeby potrzebował się taką pracą zajmować. Dziadzio jest uczony, zna się dobrze na księgach, czytał w życiu swojem wiele, ale nie było praktyki, żeby je sam kiedykolwiek pisywał. Więc co on może pisać?

Może testament? Ale na co mu testament? Pan Bóg nie dał mu licznego potomstwa, wszystkiego dwóch synów i córkę, obadwaj synowie młodo umarli i obadwaj bezdzietnie; została tylko córka pani Jenta, obecnie pani Jenta Hapergeld, więc po co testament? Co dziadzio może po najdłuższem życiu zostawić, to należy się sprawiedliwie pani Jencie, a potem znów jej dzieciom. Może chce robić zapisy na cele dobroczynne, na szpital, albo na bożnicę; ale i to chyba nie, bo nigdy o zamiarach podobnych nie wspominał.

Ogromnie zaintrygowana pani Jenta, pobiegła do domu i zwierzyła się ze swoim niepokojem i obawą przed mężem.

Pan Hapergeld przyjął to dość obojętnie; wzruszył ramionami i rzekł:

— Co nam do tego? Niech on sobie pisze. Jest stary, nie ma co do roboty, szuka rozrywki.

— Dlaczego pisanie ma być rozrywką?—rzekła.

— A dlaczego pisanie ma nie być rozrywką?— pytaniem na pytanie odpowiedział Hapergeld— i najobojętniej w świecie półgłosem nucić zaczął majufes.

Była to pora letnia, piękny pogodny czerwiec i Warszawa kąpała się w blaskach słonecznych; od szarego tła murów odbijała się wdzięcznie świeża zieloność drzew.

Przed wieczorem, kto tylko miał czas, wychodził do ogrodów publicznych lub w Aleje, aby odetchnąć świeżem powietrzem, popatrzyć na zieloność, napawać się wonią kwiatów.

Państwo Lufterman także postanowili się przejść. Wybrali się oboje rodzice z panną Reginą, której, w charakterze szczęśliwego narzeczonego, asystował Lejbuś.

Młody ten elegant wystroił się na ów spacer. Na wyraźne i kategoryczne żądanie panny, miał wyczyszczone buty, zdaje się, że pierwszy raz w życiu, kapotę nową, nieco krótszą, niż zwykle, na głowie lśniący cylinder, a na nosie binokle w tombakowej oprawie.

Panna Regina była do pewnego stopnia zadowolona ze swego kawalera i musiała przyznać w duchu, że wygląda on, jak lord angielski, przebrany za młodego żydziaka.

Chcąc damę serca swego ufetować i olśnić ją hojnością, Lejbuś kupił pół funta orzechów i pół paczki małych pierniczków.

Orzechy, idąc, gryzł, a skorupki ciskał na trotuar, pod nogi przechodniom, żeby ludzie wiedzieli, iż jest kawaler szyk i że go stać na narzeczoną, na binokle i na kosztowne bakalie.

Idąc, wykonywał takie ruchy, jak gdyby się kołysał; nikomu z przechodzących, kobietom nawet, z drogi nie ustępował, przeciwnie, pchał się śmiało, roztrącał wszystkich łokciami.

Niech wiedzą, że idzie pan Bernard Hapergeld z narzeczoną, że ma pełną głowę genialnych kombinacyj i że świat do niego należy.

Pan Lufterman był w kapocie dość długiej, ale na głowie miał cylinder, w ręku trzcinę z gałką ze słoniowej kości, a w ustach cygaro, pyszny trabucos, który wydawał masę dymu i strasznego zapachu. Mama panny Reginy wyglądała, jak istota nawpół atłasowa, nawpół aksamitna, obficie przyozdobiona złotem.

Pan Lufterman proponował, żeby pójść do ogrodu Krasińskich, tam albowiem można znaleźć bardzo dobre powietrze, tanie kwaśne mleko i porządne towarzystwo, ale panna Regina zawołała bardzo energicznie:

— Do ogrodu Krasińskich? Po co my tam pójdziemy, tam same żydy się schodzą!

— A ty co jesteś?—zapytał ojciec z godnością.

— Ja jestem panna Regina Lufterman i chcę sobie spacerować po Łazienkach.

— No, no, idźmy do Łazienek, kiedyś taka hrabina.

— Ryfcia ma racyę—rzekła matka—nie na to ubrałyśmy się tak pięknie, żeby iść przez Grzybów i przez Nalewki do tamtego ogrodu. Tam nas wszyscy znają dobrze i wiedzą, że nas stać na bogatą garderobę. Trzeba się i w innej stronie

pokazać między wielkiem państwem? Dlaczego nie mamy być między wielkiem państwem? Kto nam zabroni?

— Ja nie bronię — rzekł mąż — idźmy, nie bałamućmy; jest kawałek drogi, ja się zanadto sfatyguję.

— Kawaler może zafundować tramwaj — wtrąciła pani Lufterman.

Lejbuś udał, że nie słyszy i wziął się z wielką energią do gryzienia orzechów.

— Kawaler może zafundować tramwaj — powtórzyła przyszła teściowa, głosem podniesionym. Czy kawaler potrzebuje być głuchy?

Papa Lufterman roześmiał się.

— Na moje sumienie — rzekł — to jest złoty chłopak; im bliżej go poznaję, tem więcej widzę w nim szacownych zalet. On się nie wyrwie z niepotrzebnym wydatkiem, a gdy potrzeba, ma feler na ucho. Ja go za to bardzo szanuję.

— Masz racyę, mężu, sama widzę, że on jest dowcipny i zna się na rzeczy.

Bystrego słuchu panny Reginy nie uszła ta rozmowa.

W duchu przyznała ona narzeczonemu zupełną słuszność. Dlaczego on ma fundować tramwaj i wydawać na cztery bilety, kiedy można dojść pieszo, jeżeli zaś rodzice nie chcą iść pieszo, to ojciec może zawołać dorożkę i wziąść do niej matkę, córkę i kawalera, bo czy za dwie, czy za cztery osoby, cena jest jedna.

Rozumowanie to było bardzo słuszne i chwilowo pan Lufterman był zdecydowany na wzięcie dorożki, zastanowił się jednak i pomyślał, że lepiej dorożki nie brać. Przeszedłszy do Łazienek i z powrotem, będzie miał pragnienie, więc jeżeli za połowę tego, co za kurs trzebaby było zapłacić, wypije dwa kufelki piwa, a drugą połowę schowa do kieszeni — to wzmocni swe siły i będzie miał przytem czysty zysk.

Udano się więc pieszo. Młoda para szła naprzód, starsza z tyłu; pan Lufterman trochę sapał, pani bardzo mocno, widocznie z powodu smalcu w sercu. Młodzi zapewne rozmawiali o teraźniejszości, starsi przywoływali na myśl wspomnienia, a jedni i drudzy mieli ciągle na ustach wyraz rubel. Na tym punkcie zbiegały się wszystkie promienie ich myśli. Gdy doszli do Łazienek i zasiedli w parku na ław-

ce, zrobił się już wieczór zupełny, w parku było coraz gęściej i coraz ludniej. Znaleźli się i znajomi; przyszła pani Grünapfel z córeczkami i zaraz zaczęła z panią Lufterman bardzo ożywioną rozmowę, z gestykulacyą, wykrzyknikami, westchnieniami i całym aparatem towarzyskim.

Lufterman wziął na bok Lejbusia.

— Słuchaj, ja nie lubię słuchać tego kobiecego gadania, siądźmy sobie na boku.

— Siądźmy na boku.

— Może tobie będzie tęskno bez panny?

— Dlaczego ma mi być tęskno, ona mi nie ucieknie.

— Powiedziałeś piękne słowo, Lejbuś, ja się cieszę, że jesteś chłopak dorzeczny.

ROZDZIAŁ VI.

Pan Lufterman rozczulony ofiaruje przyszłemu zięciowi w podarunku: młode małżeństwo, pewną wdowę, artystę malarza i taką damę, która niekiedy miewa własny powóz.

— Tyś powiedział mądre słowo, Lejbuś, i ja się cieszę, że jesteś chłopak dorzeczny. Chodź ze mną, pokażę ci ludzi, a wierz mi, że to jest tak dobrze, jak gdybym pokazał gotowiznę.

Lejbuś zrobił minę zdziwioną.

— Cóż ztąd, że ludzie mają? mnie z tego nic nie przyjdzie.

— I znów powiedziałeś mądre słowo, chociaż tylko przypadkiem, ponieważ nie zrozumiałeś mojej myśli. Tak jest, Lejbuś, tobie nigdy nie przyjdzie nic z ludzi, mających dużo pieniędzy, ale z tych,

co posiadają niewiele, możesz mieć jedwabne życie! Prosty interes; kto ma majątek, nie potrzebuje kredytu, a jeśli potrzebuje, to ma banki, hypotekę, prywatnych kapitalistów, którzy dają na jeden procent miesięcznie; ten, co ma mało, a musi żyć i nie może się obejść bez kredytu, przyjdzie do mnie, albo do ciebie. Nasz fach nie jest zły fach, a te biedaki, to—na moje sumienie—doskonały towar—śliczne bydło. Jeżeli trafisz na dobry gatunek biedaka, będzie pracował na ciebie, jak koń, a przytem możesz go doić, jak krowę, strzydz, jak owcę, on wszystko wytrzyma. Skoro raz wszedłeś z nim w stosunek, on już jest twój, on należy do ciebie, twoja rzecz w tem, żebyś go nie wypuścił z ręki.

— A jak on zechce się wydobyć?

— Nie potrafi, jeżeli go dobrze zaplączesz, a ty jesteś z takiej familii, w której było dużo ludzi bardzo zdolnych. Nie daleko szukając, dziadzio twój, Gancpomader, był cały artysta; twój ojciec Hapergeld znany jest w mieście. Jakie on robił sztuczki, jakie sztuczki i jak zręcznie! Żonę, nie chwaląc się, bierzesz z takiego domu, w którym nigdy na swoją potrzebę rozumu nie brakowało; nie posy-

łano po mądrość za Żelazną Bramę; więc ponieważ idziesz z takiej familii i będziesz miał żonę z takiej familii, powinieneś być szczęśliwy i prędko dorobić się majątku, jeżeli tylko zechcesz.

— Ja już chcę.

— Chcesz? Chcieć, to prawie pół interesu, potrafić, to druga połowa.

— Będę się starał.

— Staraj się, koniecznie się staraj! A teraz słuchaj uważnie. Tu widzisz dużo, bardzo dużo państwa. Piękne państwo, eleganckie, postrojone; ja sam niejedną z tych osób ustroiłem. Z tego państwa ja znam przynajmniej 40 procent; nie wszyscy się mnie kłaniają i ja się nie każdemu kłaniam. Nie wszyscy lubią się przyznawać do znajomości z Luftermanem, to nie pasuje do ich honoru.

— A pieniądze brać, to pasuje?

— Dlaczego nie? Otóż, ja ich znam. Ten naprzykład siwy pan, z wąsami, co tam idzie, to też mój dobry znajomy, nawet przyjaciel. Raz zrzucił mnie ze schodów, ale nieszkodliwie.

— Ze schodów?

— Cóż nadzwyczajnego? Czasem się trafia. Po-

proś, niech dziadek Gancpomader, albo twój ojciec powie, ile razy przebywał schody nie na nogach, tylko na rękach, albo na plecach.

— I oni nie robili gwałtu? nie pozywali?

— Młody jeszcze jesteś, Lejbuś. Czasem zlecieć ze schodów znaczy tyle, co na loteryi wygrać, często dobrze się opłaci; strata bywa na takim interesie rzadko kiedy, chyba, że się stanie nieszczęście, że człowiek rękę złamie.

— Ja się bardzo dziwię.

— Boś młody; jak nabierzesz doświadczenia, przestaniesz się dziwić. Może ci chodzi o honor?

— Tak.

— Mylisz się, alboż oni mogą nam ubliżyć? Nasz honor jest nasz, między nami; oni go ani naprawić, ani zepsuć nie mogą. Ten stary pan wyrzucił mnie za drzwi. Wiesz, ile go to kosztowało?

— No?

— Więcej, niż trzysta rubli. To nie jest zły interes; niech mam tylko codzień taki, wcale się o to nie rozgniewam. A widzisz tych dwoje młodych, co idą teraz? Ja ci tę parę daruję.

— Mnie?

— Na własność.

— Doprawdy, nie rozumiem, co chcecie powiedzieć...

— Widzisz, to jest młode małżeństwo; dopiero od czterech miesięcy on się nazywa mężem, a ona jego żoną. Ponieważ on ma niedużą pensyę i trochę długów, a ona wcale nie ma żadnego dochodu, więc było im bardzo pilno się ożenić.

Lejbuś się roześmiał.

— Ja im do tego szczerze dopomogłem—rzekł Lufterman—pożyczyłem jemu dwieście rubli, żeby się zagospodarował. Dlaczego nie dopomódz takiemu młodzieńcowi? Dałem mu na bardzo dogodnych warunkach, na raty, po dziesięć rubli miesięcznie. On się zaraz ożenił, on jest szczęśliwy, sam mi mówił, że jest bardzo szczęśliwy; zapłacił już cztery raty akuratnie, lepiej, niż bank. Przy pierwszej racie on się śmiał i był bardzo wesoły, przy drugiej i trzeciej nie był ani wesoły, ani smutny, przy czwartej wzdychał, przy piątej będzie stękał, a siódmej nie zapłaci. Ja wiem, że nie zapłaci.

— Dlaczego?

— Dlatego, mój kochany, że z początku nic im nie było potrzeba; oni bardzo mało co jedli, a jak

tylko on wrócił ze swojego biura, to chodzili sobie na spacer. Teraz nabrali lepszego apetytu do jedzenia, a niedługo będzie im potrzebna służąca. Ja im tego nie życzę, ale może się zdarzyć, że będzie im potrzebny doktór i aptekarz; wtenczas raty będą całkiem nieregularne i wtenczas ja ci tych dwoje ludzi daruję.

— Jak nie będą mieli czem płacić? Dziękuję za prezent.

— Jesteś jeszcze niedoświadczony i z przeproszeniem twego honoru, głupi. Niech ci się nie zdaje, że ten prezent nic nie wart, on dużo wart. Sam się o tem przekonasz. Uważaj tylko na człowieka; my nie mamy innej ewikcyi, tylko osobę; jeżeli osoba jest honorowa i ma to, co u nich się nazywa ambicya, to jest więcej warta, aniżeli hypoteka na pierwszym numerze. Taki, widzisz, wstydzi się, gdy przyjdziesz do niego upominać się, wstydzi się sądu, boi kompromitacyi, drży, jak gdyby miał febrę, gdy mu wspomnisz o komorniku. Wierz mi, Lejbuś, że na takich skrzypcach, jeżeli kto dobry muzykant, może ślicznie grać. Aj, aj, jak może grać! Tylko trzeba być artystą. Ja się spodziewam, że ty będziesz artystą.

— Uczyłem się trochę przy ojcu.

— Ładna szkoła, śliczna szkoła! Jonas Hapergeld, niech on zdrowo żyje, jest duży muzykant, on ślicznie gra, a dziadzio Gancpomader w swoim czasie był cały majster! Ho, ho, ho, co on wyrabiał, co on wyrabiał!...

— Ja trochę słyszałem.

— Wszystkiego słyszeć nie mogłeś i możebyś nie zrozumiał jego sztuczek. On był taki znawca, że jak komu raz w oczy spojrzał, parę słów z nim pogadał, to wiedział doskonale, co on wart.

— Mądry dziadzio!

— Bardzo mądry. No, widzisz, ja już tobie podarowałem śliczną parę, dwa gołąbki, ty pilnuj ich, żeby ci niosły złote jajka. Masz wiedzieć, że on się nazywa Karol Prawdzic i okropnie się pyszni, że się tak nazywa. Co w tem jest, ja nie wiem; on powiada, że dla niego coś jest. Nam to wszystko jedno: Antek, czy Wojtek, niech mu będzie Michał, aby był z niego dochód.

— Dużo on wam winien?

— Tymczasem sto sześćdziesiąt rubli; ale za trzy lata ty będziesz miał u niego więcej, niż tysiąc rubli. Ty będziesz miał jego pensyę, jego za-

robek prywatny, jego ruchomości. Ja nie przyrównywam, ale on będzie do ciebie przyczepiony lepiej, aniżeli mąż do żony, bo w małżeństwie może być rozwód, a ten stosunek nie ma rozwodu, on trzyma się do samej śmierci.

— Mnie się zdaje, panie Lufterman, że nie jest całkiem tak, jak wy mówicie.

— Dlaczego?

— Dlatego, że on może być od nas odczepiony.

— Jakim sposobem!

— On może wygrać na loteryi, dostać sukcesyę, może odrazu dług zapłacić.

— To prawda, to może być, ale powiedz, czy widziałeś dużo ludzi, którzy wygrali na loteryi, lub otrzymali niespodziewany spadek?

— Co prawda, wcale nie widziałem.

— A czy widziałeś takich, którymby dopomogli krewni, albo przyjaciele życzliwi?

— I o takim interesie również nie słyszałem, chociaż podobno się zdarza.

— I trzęsienie ziemi i zaćmienie słońca także się zdarza, ale nie codzień, ani nie co tydzień.

— No, a kto wam powiedział, że taki nie umrze i że dług nie przepadnie?

— Ma się rozumieć, że umrze, może nawet umrzeć młodo, nie doczekawszy się późnych lat, ale to jest bagatela.

— Ładna bagatela — śmierć!

— Dla tego, kto umiera, nie jest bagatela, ale dla nas... Jeżeli żył dość długo, kilka, lub kilkanaście lat, to z pewnością, na ścisły rachunek, nie został nam nic dłużny; zapłacił całą należność z grubemi procentami. Jeżeli umarł zaraz po zaciągnięciu pożyczki, a pożyczka była, co się rzadko zdarza, bez poręczycieli, to oczywiście jest strata. W pierwszym i w drugim wypadku strata na jednym rozkłada się na drugich. Inni zapłacą. Zresztą, co chcesz, w każdym interesie musi być trochę ryzyka, bez tego nie ma nic na świecie. Mój kochany zięciu, koniec końcem, ja ci tego pana Karola Prawdzica daruję, razem z jego żoną, z pensyą, z całym jego domem; podziękujesz mi kiedyś za ten prezent.

— Już dziękuję...

— Dam ci też kilka innych, bardzo godnych i porządnych osób. Dam ci jednę wdowę, co trzyma stołowników. Kłótliwa baba, ale płaci rzetelnie; dam ci jednego malarza, całkiem śliczny chło-

pak. Jest wesoły zawsze; śmieje się, gdy bierze pieniądze, śmieje się, gdy płaci. Nazywa mnie Belzebubem, a raz wymalował taki obrazek, że ja niby sobie siedzę w piekle, a dyabli mnie szturchają żelaznemi widłami.

— To bardzo głupie malowanie; jabym się rozgniewał.

— A ja nie; ja się śmiałem, choć było mi gorzko w sercu i od tej chwili podniosłem mu procent.

— Bardzo słusznie.

— Spodziewam się! Kto chce się śmiać i mieć wesołość, niech płaci; przecie i w teatrze biletów darmo nie dają.

— On mnie może też wymalować.

— Niech maluje. Ty mu nawet pozwól weksle malować; możesz jechać śmiało do tysiąca rubli.

— Tak?...

— A tak; ja się o niego dowiadywałem. On ma duży talent, on daje obrazy na wystawę; jemu może się trafić taki magnat, co odrazu da mu za obraz kilka tysięcy rubli. Przytem on jest bardzo ładny chłopak; on się dobrze ożeni. Widzisz, kochany Lejbuś, że ja ci nie daję złych podarunków; przeciwnie, co ci ofiaruję, to jest sam smak. Jeszcze do-

staniesz jeden prezęnt, pewną damę, wielką damę. Ona występowała w cyrku, potem jeździła za granicę, bo ona jest też z pochodzenia zagraniczna, a teraz żyje sobie nieźle, z własnych funduszów, utrzymuje bardzo ładne mieszkanie, ma nawet powozik i dwa konie czarne, jak smoki.

— No, a jej na co pieniądze?

— Aj, Lejbuś, Lejbuś, ty jeszcze wcale nie znasz świata, ty nie znasz, nie znasz! Nie masz pojęcia, ile jest gatunków tych ludzi. Wszystko to trzeba znać, tak, jak kupiec swój towar. Są między nimi tacy, którzy bardzo ciężko na nas pracują, bo musieli pożyczyć pieniędzy w przypadku, w nieszczęściu; są tacy, którzy mało pracują, a pieniędzy trzeba im na zabawę, na karty, na hulanie, a są i tacy, którzy nic nie pracują, mają majątek po rodzicach, a też im często brakuje. Ten gatunek zjada to, co ma i to, co się spodziewa mieć i to,- czego nigdy mieć nie będzie. Są różne gatunki. Ta pani, którą ci ofiaruję, jest z takiego gatunku, że dziś setki w błoto wyrzuci, a jutro może nie mieć na szklankę herbaty i na bułkę. Wierz mi, że to śliczna ryba, paradny kawałek interesu! Byłbyś niesprawiedliwy, Lejbuś, gdybyś

powiedział, że ja nie jestem dla ciebie hojny. Ja dam posag za córką, ja ci daję moich własnych ludzi, gdzie znajdziesz drugiego takiego teścia? Pewnie nie w Warszawie.

— To jest prawda; posag wytargował mój ojciec i jego potem przez trzy dni głowa bolała od klektania; a ten prezent, co mi teraz dajecie, mam obrabiać mojemi własnemi pieniędzmi; nie ma co mówić, panie Lufterman, jesteście bardzo hojny człowiek, ale ja się na tem umiem poznać.

— Wstydź się, sądzisz, jak dzieciak; żebyś się głębiej zastanowił, przekonałbyś się, że to, co ja ci daję, jest bardzo dużo. Pokazać komu drogę, wiele znaczy, a dać dobrą radę, też coś warto.

Rozmowa się przerwała, gdyż pani Lufterman z panną Reginą, nagadawszy się z przyjaciółkami, przyszły i rzekły, że już wielki czas wracać do domu; nadto panna Regina oświadczyła, że ma wielki apetyt na wodę sodową, przyczem spojrzała bardzo wymownie na Lejbusia. Pani Lufterman wyraziła taką samą intencyę i również na Lejbusia spojrzała, ten znów z kolei zwrócił spojrzenie na przyszłego teścia.

Zrozumieli się odrazu; pan Lufterman kazał dać

kufelek wody i wypił go do wspólki ze swą małżonką; Lejbuś również kazał dać kufelek i podał go pannie Reginie, zastrzegłszy, żeby była akuratna w podziale.

Takim sposobem, za kilka drobnych groszy, zdobyto wielką masę sprawiedliwości.

ROZDZIAŁ VII,

w którym mowa o parze gołąbków i o bardzo osobliwych lekcyach buchalteryi podwójnej.

Pan Karol Prawdzic, z młodziutką małżonką swą Janiną, mieszkał na ulicy Wspólnej, w oficynie, na trzeciem piętrze; chodził pracować w godzinach biurowych do kantoru pewnej dużej fabryki, a po południu prowadził buchalteryę w magazynie towarów łokciowych.

Od czasu skończenia szkół, ciągle tylko z cyframi miał do czynienia i zwierzchnicy przyznawali mu, że jest doskonałym rachmistrzem.

Jak wiemy, pan Lufterman był przeciwnego zdania.

Pan Karol niezbyt dawno poznał dzisiejszą swoją żonę, przed dwoma laty zaledwie. Spotkali się

w towarzystwie, na wieczorku, w domu prywatnym i jakoś sobie wzajemnie do gustu przypadli.

On zaczął bywać w domu jej matki, wdowy, z początku rzadko, potem coraz częściej, wreszcie stał się gościem codziennym.

Im bliżej poznawał pannę Janinę, tem więcej mu się podobała. Ona płaciła mu wzajemnością i wkrótce przyszli do przekonania, że jedno bez drugiego żyć nie może.

Matka, doświadczona i praktyczna kobieta, radziła im: „Nie spieszcie się ze ślubem, poczekajcie, aż Karol większą pensyę dostanie.“

W takich wypadkach perswazya niewiele pomaga; zakochanym się zdaje, że cały świat potrafią zwalczyć, że choćby na ich drodze piętrzyły się góry, to je usuną, choćby otwierały się przed niemi przepaście, to je przeskoczą, a morza przepłyną.

Matka, widząc, że dobra rada nie skutkuje, pogodziła się z losem i oddała córkę Karolowi, pobłogosławiwszy ją ze łzami w oczach.

Pan Karol urządził skromne, ale bardzo milutkie gniazdeczko, umeblował je jako tako, trochę za

własne pieniądze, trochę przy pomocy usłużnego pana Luftermana.

Dla młodej pary zaczęło się życie, słodyczy pełne, jedwabne.

On chodził do biura, ona porządkowała maleńkie mieszkanko i schodzili się o czwartej u matki na obiad; po obiedzie on natychmiast udawał się do kupca, u którego księgi handlowe prowadził, ona zostawała u matki aż do siódmej wieczorem. O tej godzinie Karol powracał i wtenczas we dwoje tylko, lub z matką, wychodzili na spacer. Aleje Ujazdowskie, ogród Botaniczny, wspaniały park Łazienkowski, to były ulubione miejsca ich przechadzek.

Najlepiej lubili chodzić tam sami, we dwoje; nikt im nie przeszkadzał, mogli swobodnie snuć złote nitki marzeń rozkosznych.

Chodzili zwykle po ustronnych, mało uczęszczanych dróżkach, pod rękę; ona silnie się przytulała do jego ramienia i zdawało im się, że stanowią oboje jednę i nierozdzielną istotę.

W tem słodkiem złudzeniu była część prawdy, bo serca ich uderzały zgodnie, a dusze były harmonijnie nastrojone; łączyła ich wspólna miłość,

jedność przekonań, gorąca chęć do pracy i uczciwego, pożytecznego życia.

Rozkosznie roili o przyszłości, a ta przyszłość jaśniała przed niemi w blaskach słonecznych, przedstawiała się w najponętniejszych barwach.

Ani wątpić, że sumienna praca Karola znajdzie uznanie zwierzchników; z czasem otrzyma on lepszą posadę, większą pensyę, co roku nie ominie go gratyfikacya.

Małe dłużki zostaną spłacone, a przy oszczędności, zacznie się zbierać fundusz na czarną godzinę. Z początku na czarną godzinę tylko, a potem na majątek. Nie duży, o dużym wcale nie myślą, ale maleńki, taki tylko, żeby zapewnił starość wygodną i spokojną.

— Może będziemy mieli dzieci—mówił do niej—wychowamy je na dzielnych i uczciwych ludzi, a potem, kiedy one na swój chleb pójdą i stanowiska w świecie zdobędą—odpoczniemy. Ja będę dziadkiem siwowłosym, ty babunią; osiądziemy sobie gdzie niedaleko Warszawy, w małem miasteczku, w ładnym domku z ogródkiem; dzieci przyjeżdżać do nas będą i wnuki. Ach! Janinko! Jacy my

wtenczas będziemy szczęśliwi! Cóż, uśmiecha ci się ten projekt?

— Rozkosznie, ale...

— Zgaduję; nie podoba ci się małe miasteczko i wolałabyś zapewne wieś. I jabym wolał, ale wątpię, abym mógł odłożyć z zarobku aż tyle, żeby starczyło na kupno kolonii, lub folwarku.

— Nie rozumiesz mnie, zupełnie o czem innem myślałam, wymawiając owo „ale“.

— No?...

— Myślałam, mój drogi, że w tych projektach naszych twoja i tylko twoja praca gra rolę, a ja do skarbca naszego przyszłego szczęścia nie wkładam nic, ani jednego grosika.

— Ty wkładasz całe bogactwo, bo miłość, dobroć, łagodność i podporę w zwątpieniu, pociechę w smutku, bodziec do pracy, źródło siły moralnej; ty wnosisz tak wiele, tak bardzo wiele, że sama nie masz pojęcia o wartości twego wkładu.

— W twoich poczciwych oczach, ale to wszystko, coś wymienił, jest tylko, jak mówi mama, „romans“, a mnie to martwi, że ja nic realnego do współki naszej nie wnoszę. I widzisz, dawno już

zbierałam się ci to powiedzieć, od trzech dni... Mam pewną myśl.

— Jakąż?

— Właściwie jest to postanowienie, tak, postanowienie niewzruszone, niezłomne, które wykonam niewątpliwie, jeżeli zechcesz mi w tem dopomódz.

— O cóż idzie, moja niezłomna?

— O wielką łaskę z twej strony.

— Mówże; o jaką?

— Ja sobie postanowiłam pracować; zawsze, co dwoje, to nie jedno; będzie więcej dochodu, prędzej dojdziemy do celu naszych marzeń. Dziadzio kupi domek z ogródkiem, a babcia... co chcesz, choćby parę krówek i konika. Jak ci się to podoba?

— Moja ty babciu śliczna—rzekł, przytulając mocno jej rękę do siebie—a zkądże weźmiesz pieniędzy na tego konika i krówki?

— Zarobię.

— Jakim sposobem?

— Takim, jak i ty; chcę być buchalterką, jeżeli mój pan zechce być nauczycielem swej Janki i przygotować ją do tego zawodu, bo mnie się zdaje, że to musi być niezmiernie trudna robota.

— Chciałabyś się uczyć naprawdę?

— O mój drogi, to tylko od ciebie zależy; ucz mnie, a przekonasz się, że dołożę pracy, aby cię zadowolnić.

— Doskonale!

— Dziękuję ci, kochany! Od kiedyż zaczynamy?

— Jak chcesz, możemy od jutra.

— Nie, nie; wiesz, że ja jestem w gorącej wodzie kąpana; zaczynamy od dziś, natychmiast, jak tylko powrócimy ze spaceru...

— No, ale przynajmniej pozwolisz mi wypić herbatę, gdyż jestem niezmiernie, niesłychanie głodny!

— Nie obawiaj się, będziesz nasycony. Dziś u nas kolacya bardzo wystawna.

— Proszę!

— Dwa pęczki rzodkiewki i serdelki z chrzanem.

— Coś idealnego!

— Idealnego! Wstydź się tak mówić, ty realistyczna rzodkiewko!

Postanowiwszy, że lekcye mają się zaraz rozpocząć, państwo Karolowie poszli do domu tak szybko, jak gdyby spieszyli się na pociąg.

Stało się to za sprawą pani Janiny, ona to bowiem tak przyspieszała kroku.

— Bój się Boga, kobieto, nie spiesz-że tak— rzekł pan Karol—mamy czas na lekcye, choćby do dwunastej.

Zaczął się wykład znacznie wcześniej, bo zaraz po herbacie i fenomenalnej kolacyi.

Uczennica zdjęła z siebie suknię spacerową i ubrała się w biały kaftanik batystowy, w którym wyglądała tak powabnie, że nauczyciel zaczął wykład od pocałunku. Taki wstęp do nauki buchalteryi bardzo się uczennicy podobał, nie chcąc jednak pozostać nauczycielowi dłużną, oddała mu dwa pocałunki, zapewne z tej okazyi, że przedmiot wykładu nosił nazwę buchalteryi podwójnej.

Państwo Karolostwo bardzo przyjemnie czas na lekcyach przepędzali. Suchy z natury swej przedmiot wydał się pani Janinie bardzo zajmującym i ponętnym; z każdym dniem nabierała więcej zamiłowania do cyfr i rachunków i rzeczywiście robiła postępy. On podziwiał swą uczennicę i zachwycał się jej pojętnością. A gdy była już bliska ukończenia kursu, opowiadał jej o trudnościach, jakie musiał pokonywać w biurze, o całogodzinnych

poszukiwaniach jakichś marnych piętnastu kopiejek, które tak się gdzieś w księgach zapodziały, że nie było sposobu ich odszukać.

— Ale ty znalazłeś?—pytała zaciekawiona, jak gdyby jaki stary rachmistrz, co pół wieku przynajmniej spędził nad księgami i umie na pamięć wszelkie historye najciekawszych omyłek i zawikłań rachunkowych.

— Naturalnie, żem znalazł, ale co to kosztowało pracy!

— I gdzie? jak?—pytała—opowiedz-że mi, jak to było, mój serdeczny.

On też opowiadał z najdrobniejszemi szczegółami, szczęśliwy, że ma żonę, która nawet biurowe jego kłopoty odczuwa i doskonale rozumie.

Jak się ci ludzie kochali, jak się całowali serdecznie na „conto corrente“ i na najrozmaitsze rachunki!

Właśnie piąty miesiąc dobiegał od czasu, w którym się pobrali; lekcye zbliżały się do końca, chodziło tylko o kilkogodzinną pracę dla młodej buchalterki. Nie tracili nadziei, że taką pracę znajdą i opierali na niej rozmaite kombinacye.

Śmiała jest, bo śmiała niesłychanie ta buchalte-

rya młodości, wspierana przez miłość i nadzieję, a oprócz tego, że śmiała, jest piękna, a oprócz tego, że piękna, jest szlachetna.

To tylko szkoda, że szlachetne rośliny warzy przedwcześnie nieubłagany mróz życia i że łamią je wichry przeciwne...

Właśnie, gdy zakochani, uśmiechnięci, przechodzili przez cienistą aleję parku, snując rozkoszne plany przyszłości, pan Lufterman w tej samej chwili zrobił z nich prezent przyszłemu zięciowi. Ani im na myśl nie przyszło, że mogą być przedmiotem darowizny i że są już policzeni, jako dodatek do posagu panny Reginy Lufterman.

Długo chodzili tego wieczora; w pogawędce serdecznej, szczerej, w szeptach, uśmiechach, szybko zbiegał im czas. Słońce złożyło złocistą głowę na spoczynek; księżyc zajaśniał na niebie i rzucił srebrne smugi na stawy Łazienkowskie, oświetlił piękne posągi, uroczy teatr na wyspie; promykami swemi przeciskał się przez zieleń drzew parkowych, przeglądał w oczach zakochanych par i cicho, łagodnie, płynął po lazurowem niebie, niby po niezmierzonej toni oceanu.

Nie dziw, że podczas nocy tak pięknej, ludziom

się nie chciało wracać do miasta, do murów, że radziby byli przedłużyć pobyt na świeżem powietrzu, choćby do północy, a bodaj do świtu.

I pan Lufterman zachwycał się pięknym wieczorem; otworzył okno i wychylił głowę na ulicę.

W narożnym szynku naprzeciwko było pełno ludzi. Pan Lufterman łowił uchem gwar, dolatujący z szynkowni, uśmiechał się, kręcił głową i rzekł do żony:

— Ja zawsze mówiłem tobie, że szynk, to jest doskonały interes!

ROZDZIAŁ VIII.

Wesele na Amatorskiej sali; radość Izraela Meira; dziadzio Gancpomader funduje państwu młodym dorożkę.

Za Żelazną Bramą, frontem do Gościnnego Dworu, tyłem do ulicy Ptasiej, wznosi się wspaniały gmach; ogromny, masywny, prawdziwie magnacki, imponujący samą masą murów. Wzdłuż frontu, dołem, ciągnie się krużganek sklepiony, na krużganku balkon okazały. Duże okna, poprzedzielane filarami, a na drugiem piętrze małe kwadratowe okienka, wyróżniają ten gmach od sąsiednich zwyczajnych kamienic.

Między filarami krużganku mieszczą się z drzewa sklecone kramiki, z lichemi towarami łokciowemi; w narożnej sali na dole jest szynkownia, a wzdłuż całego frontu, długim rzędem, rozsiadły

się przekupki, sprzedające latem owoce, a zimą obwarzanki, makagigi i inne delicye dla niewybrednych smakoszów.

Jeżeli komu wypada codziennie droga tamtędy, ten zauważył zapewne, że w narożnych oknach pierwszego piętra gmachu i od ulicy Zimnej, w oknach przyozdobionych białemi firankami, bardzo często wieczorem jaśnieje światło rzęsiste, dolatują ztamtąd tony bardzo skocznej muzyki, a przez szyby widać podrygujące sylwetki ludzi, należących do jednej rasy, jednego typu, a dzielących się pomimo to na wiele najrozmaitszych odcieni.

Przypatrzywszy się bacznie z pewnego oddalenia, zobaczyć można damy wydekoltowane, damy w spacerowych sukniach, w okryciach; matrony w staroświeckich perukach i tupetach na głowach, we francuskich szalach na ramionach; mężczyzn w chałatach, w hasydzkich czapkach, na tył głowy zsuniętych, to w długich sakpaltach i kapeluszach filcowych, to zupełnie „en forme“, we frakach, białych krawatach i w cylindrach.

Możnaby mniemać, że zeszli się tu przedstawiciele wszelkich odmian i gatunków żydów war-

szawskich, a przecież wszyscy do jednego orszaku weselnego należą.

Wszyscy oni stanowią jedno towarzystwo, bo trzeba wiedzieć, że ta wielka sala jest do wynajęcia dla każdego żyda, który nie chce, lub nie może, w domu wesela wyprawić.

W takim razie wynajmuje się sala.

Jest ich w Warszawie sporo: na Franciszkańskiej, na Dzielnej, na Grzybowie, w różnych punktach miasta; nazwy ich rozmaite są: „Paryska“, „Amatorska“, „Wenecka sala“, „Imperial“, same wspaniałości.

Ta, o której mówimy, do pierwszorzędnych należy, a że na weselach takie różnorodne towarzystwo się zbiera, że częstokroć spotkać w niem można frak obok zabłoconej kapoty, aksamitną czapkę, na której szczątki pierzy siedzą, obok jedwabnego szapoklaka—to bardzo proste zjawisko.

W Warszawie, ta pseudo-cywilizacya, która się na kroju ubrania zasadza, do mas żydowskich wdziera się podstępnie; nie obejmuje ona całości, ale robi w niej szczerby, przychodzi, jak lis do kurnika, podkopuje się i chwyta ofiarę.

W wielu rodzinach znaleźć można fanatycznie

konserwatywnego dziadka lub stryja i ultra-postępowego synowca lub wnuczka. W wielu rodzinach są tacy, którzy noszą kapotę do samej ziemi i tacy, co tylko do kolan i tacy, co już całkiem rozbrat wzięli z chałatem.

Na wesele schodzą się członkowie rodziny; są sami, w swojem kółku, nikt ich nie podpatruje. Podpili sobie trochę, więc się budzi humor i fantazya, budzą się uczucia rodzinne, tradycya. To też pan we fraku, który udaje zazwyczaj, że wcale nie rozumie żargonu, tu szwargocze aż mu w gardle chrapie, śpiewa, strzela konceptami, skacze.

Przebudziła się w nim dusza żydowska i hula.

Właśnie w tej sali odbywa się wesele. Pan Lejbuś Hapergeld jest już szczęśliwym małżonkiem panny Reginy Lufterman, a teraz używa, jak pączek w maśle; je, pije, śmieje się z konceptów wesołego izraelity, który za małe wynagrodzenie daje gościom dużo wesołości.

To jest jego specyalność, on z tego żyje. Oprócz jedzenia i picia „ad libitum“, dostaje kilka, kilkanaście, czasem nawet kilkadziesiąt rubli, stosownie do zamożności osób, które ma swoim dowcipem rozweselać.

Mówi prozą i wierszem, wygłasza oracye, przeplatane cytatami z ksiąg mądrych, poprzyczepianemi najdziwaczniej; tańczy, śpiewa, żartuje z państwa młodych, z gości; jednem słowem, robi wesołość na urząd, tak dobrze, jak płaczki cmentarne robią na obstalunek wielki smutek.

Każdy człowiek ma swoje powołanie i swój sposób do życia.

Oprócz tego bawiciela z urzędu, jest jeszcze jeden gość bardzo wesoły, pan Izrael Meir Zwanzig—swat.

Wszyscy artyści mają tę słabość, że lubią się przypatrywać swym dziełom, to też i Izrael Zwanzig bywa zawsze na weselach par, które dzięki wymowie swej i przekonywającym argumentom, połączył.

Jak wspomnieliśmy wyżej, pan Zwanzig, przy układzie o honoraryum za swatanie, zastrzegał sobie zawsze udział w uczcie zaręczynowej i weselnej i z serwitutu tego, któryby słusznie pastwiskowym nazwać było można, korzystał sumiennie; przytem robił jeszcze jeden mały geszefcik. Winszując panu młodemu pięknej i bogatej żony, życzył mu, aby jak najrychlej doczekał się syna; do-

dawał przytem, iż żywi niepłonną nadzieję, że i on, Izrael Meir Zwanzig, nie będzie zapomniany i znajdzie się w liczbie przyjaciół, zaproszonych na tak zwane „chrzciny.“

Pan I. M. Zwanzig miał bardzo liczną klientelę, a na skutek tego dobre jedzenie i picie było dla niego niemal rzeczą powszednią.

Powierzchowność jego świadczyła, że czasu napróżno nie tracił i że sprawę odżywiania szlachetnego swego organizmu traktował poważnie.

Miał brzuszek bardzo ładnie zaokrąglony, policzki pełne i czerwone, wargi grubo mięsiste, a oczy zawsze świecące. Oczy tego obywatela były maleńkie, ginęły bowiem w warstwie tłuszczu i wyglądały na świat, jakby przez szparę, ale pomimo tego były bardzo ruchliwe i bystre, malował się w nich spryt jakiś szelmowski i przebiegłość.

Lejbuś na swem weselu czuł się bardzo szczęśliwym; jadł różne doskonałe rzeczy, posilał się, jakby na całe miesiące głodu, chociaż go głód nie czekał.

Rosół z kaczki, skrzydło z gęsi, całego śledzia, parę kawałków nadziewanej ryby, porcyę tortu,

garść makaroników i cukierków, skonsumował bez żadnej trudności; przytem nie żałował sobie ani wódki, ani piwa, ani rodzenkowego wina, ani araku do herbaty.

Młoda żona szepnęła mu delikatnie do ucha:

— Słuchaj, ty paskudniku, jeżeli ty codzień tak jadasz, to lepiej daj mi odrazu rozwód, bo ja nie chcę, żeby mój posag był umieszczony w twoim bezdennym brzuchu.

Lejbuś mruknął znacząco i odpowiedział półgłosem:

— Ty mnie jeszcze nie znasz, Reginko, ty nie wiesz, jaki ja jestem skąpy. Za własne pieniądze ja jeść nie lubię, ale teraz, na weselu... Powiedz moja kochana, kto sprawił to wesele?

— Jakto kto? Rodzice.

— No, właśnie; rodzice sprawili, więc lepiej, że ja zjem, niżby goście mieli zjeść; niech się więcej w familii zostanie. Czy nie mam racyi?

— Masz bardzo śliczną racyę i mnie to cieszy, że jesteś mądry.

— A wiesz, Reginko, dlaczego ja tańczyłem tak gwałtownie?

— Zapewne z uciechy, że dostałeś ładną, posażną i edukowaną żonkę.

— Nie; ja się mogę cieszyć z tego siedząc i skutek będzie taki sam.

— Więc?

— Ja tańczyłem dla utrzęsienia się, żebym mógł więcej zjeść.

Pani Regina roześmiała się i powiedziała Lejbusiowi do ucha, że jest z niego bardzo przyjemny i bardzo mądry paskudnik.

Wesele było niezmiernie ożywione. Młodzież skakała z ogniem, starzy popijali rodzenkowe wino i prowadzili rozmowę o nader ciekawych sprawach i interesach, a pani Hapergeld, pani Lufterman, ciocia Cynamoner, ciocia Bitterkraut, wujenka Zwibelwajs i babcia Knopf, zasiadłszy na długiej ławce pod ścianą, opowiadały sobie o różnych przebytych cierpieniach moralnych i fizycznych, drożyznie koszernego mięsa, o pyskatości sług żydowskich, wadach mieszkań warszawskich, potrzebie wyjazdu do ciepłych wód, a w najgorszym razie, choćby na letnie mieszkanie do Mrozów, lub do Grodziska.

Kiwały głowami, wzdychały ciężko, obliczały, ile kosztuje sprawienie porządnej sukni na wesele. Była to dla nich rozmowa bardzo ciekawa i zajmująca; twarze miały przytem bardzo ożywione, ruchy energiczne, a mówiły tak głośno, że chwilami głuszyły dźwięki muzyki, przygrywającej do tańca.

Wesele skończyło się jak najpomyślniej, goście odeszli zadowoleni, obsypując jeszcze raz życzeniami, tak państwa młodych, jak i rodziców.

Pan Lufterman, nie bez małej sprzeczki, załatwił rachunki z właścicielem sali, a dziadzio Gancpomader oświadczył, że sam odwiezie państwa młodych na nowe mieszkanie.

— Pojedziemy—rzekł—dorożką, na mój koszt i przekonacie się, że to jeszcze nie jest wszystko, co dla was zrobić zamierzam. Gdzie jest Izrael Meir? Gdzie jest swat? Ja jemu chcę coś powiedzieć.

Pokazało się z badania służby, że szanowny Izrael Meir Zwanzig przed godziną ulotnił się cichaczem, po angielsku, schowawszy do kieszeni, przez roztargnienie zapewne, dwa kawałki pieczonej gęsi, całego śledzia i trochę pierników.

Służba patrzyła na ten rabunek przez szpary, gdyż miała polecone tylko pilnowanie naczyń.

— Niech go dyabli wezmą—rzekł dziadzio—nie ma o czem mówić, on także potrzebuje żyć.

I pani Hapergeld i pani Lufterman były bardzo ciekawe, dlaczego dziadek funduje dorożkę i to przy nocnym kursie i dlaczego koniecznie chce sam odwieźć do domu państwa młodych; napraszały się też obie, aby i one mogły państwa młodych odprowadzić, ale dziadzio Gancpomader oparł się i oświadczył wręcz, że tej przyjemności nie chce z nikim dzielić.

— Dajcie pokój, kobiety—rzekł p. Lufterman—dziadek tak chce; niech będzie, jak chce.

— Niech będzie, jak chce—potwierdził ojciec Lejbusia.

— No, no, niech sobie będzie—dodała pani Lufterman z gniewem—niech go dyabli wezmą, skoro ma takie waryackie fanaberye.

Lejbuś pożegnał się z rodzicami, wziął półosma rubla na życie na pierwszy tydzień od ojca, drugie półosma rubla od teścia, obejrzał uważnie, czy mu czasem nie dali fałszywej dziesiątki i w towarzystwie dziadka i żony udał się na nowe mieszkanie.

Znajdowało się ono na ulicy Żelaznej, w oficynie, na drugiem piętrze; jeden pokój z przedpokojem i kuchnia.

Na drzwiach, z polecenia panny Reginy, przybity był bilet wizytowy z napisem: „Leon Bernard Hapergeld“. W kuchni, na przybycie państwa młodych, oczekiwała służąca. Natychmiast zapaliła światło i odeszła.

Państwo młodzi zasiedli przy stole, a dziadzio Gancpomader odrazu, bez żadnych przygotowań, rozpoczął mówkę. Był to człowiek, posiadający dar elokwencyi i lubił się z tem popisywać.

Zaczął gruntownie od samego początku, od pierwszych rodziców i dowiódł jasno, jak na dłoni, że Adam był co innego, a Ewa co innego; że gdyby było z początku dwóch Adamów, toby było źle, gdyby dwie Ewy—jeszcze gorzej, gdyż wcale nie istniałby handel, tylko same plotki; wspomniał o Noem i jego trzech synach, którzy też byli żonaci, potem szybko przebiegł dzieje Abrahama i jego żon, z których jedna była bardzo porządna żydówka, a druga cyganka; wspomniał o Locie i jego małżonce, surowo ukaranej za ciekawość; o córkach Lota, które, jak wiadomo, wcale nie były po-

rządne panienki; dotknął lekko małżeństwa Izaaka i Jakóba, rzucił mimochodem kilka przepięknych myśli Salomonowych o kobietach i małżeństwie, a gdy się już zmęczył i zasapał, jednym śmiałym zamachem zrobił skok z Jeruzalem do Warszawy, na bruk praktycznego gruntu i rzekł tak:

— Powiedziałem wam, że funduję dorożkę moim kosztem i zafundowałem ją moim kosztem; powiedziałem, że na tem nie jest koniec i zaraz się przekonacie, że nie jest na tem koniec. Wziąłem z wesela w kieszeń flaszkę wina i chcę wypić za waszą pomyślność. Dajcie kieliszków, albo szklanek.

Pani Regina podała szklanki i napili się wszystko troje. Dziadzio Gancpomader wydobył z kieszeni pugilares i jakieś papiery w zapieczętowanej kopercie, czem wzbudził takie zainteresowanie w słuchaczach, że go niemal pożerali oczami.

Z pugilaresu wyciągnął dwie nowe sturublówki i rzekł:

— Do każdego interesu potrzebny jest dobry początek. Macie dobry początek, dla ciebie, Lajbele, sto, dla ciebie, Ryfciu, drugie sto; zróbcie z tego sto tysięcy, dziadek wam życzy... Ta koper-

ta jest tylko dla ciebie, mój wnuku; nie znajdziesz w niej pieniędzy, ale znajdziesz moje pismo, a z czasem przekonasz się, że to pismo, ten rozum, co w niem siedzi, wart jest też trochę pieniędzy. Teraz to już jest koniec. Bądźcie zdrowi. Ty, Lejbuś, pamiętaj, że z żoną współka najlepsza i szanuj żonę, bo to pierwsza żona, a wiesz zapewne, że pierwsza żona, to pies, a druga kot.

— Dlaczego ja mam być pies?—zawołała pani Regina.

— Tak mówi przysłowie, moja Ryfciu! Znaczy ono, że pierwsza żona jest dla męża dobra i wierna, jak pies, a druga wszystko ciągnie tylko dla siebie i ma takie ostre pazury, jak kot. No, dość już tymczasem, bywajcie zdrowi, dobranoc.

ROZDZIAŁ IX.

Smutek na ulicy Wspólnej. Pan Lufterman wycofuje się z interesów i na swoje miejsce poleca innego ludożercę.

Na ulicy Wspólnej, na trzeciem piętrze, w tych pokoikach, gdzie niedawno rozlegał się srebrzysty śmiech młodej kobiety, gdzie się odbywały takie zajmujące lekcye buchalteryi podwójnej, cicho teraz i smutno....

Pan Karol chodzi na palcach, żeby robić jak najmniej szelestu; pani jest chora; przyjąć trzeba było sługę, żeby gotowała i usłużyła cierpiącej.

Matka przychodzi codzień po południu, ale wiele czasu córce poświęcić nie może, gdyż trzyma stołowników i to jest jej całe utrzymanie. Wyrzec się tego zajęcia nie może, gdyż ciężarem dzieciom być nie chce, a ma jeszcze siostrę starszą, chorowitą i tej dopomaga.

Przyjdzie na kilka godzin, zarządzi, powie służącej, co i jak robić potrzeba, westchnie nad chorą, popłacze w kąciku i wraca do obowiązków; musi bowiem rano bardzo wstawać, na targ chodzić ze sługą, produkta kupować.

Chcąc coś mieć, musi ta kobieta pracować bardzo ciężko, liczyć się z każdym groszem, godzić oszczędność z wymaganiami stołowników, którym trzeba przecież dogadzać, aby nie odeszli.

Łatwo się domyśleć, że stołownikami tymi nie byli magnaci, lecz ludzie niezamożni, żyjący z pracy, za obiady zatem hojnie płacić nie mogli, tylko więc przy bardzo skrupulatnym rachunku, matka pani Karolowej mogła wyjść na swoje.

Choroba córki przygnębiła ją bardzo, tem więcej, że przyszła niespodziewanie. Zaczęło się od zaziębienia, doktór zapewniał, że to bagatelka i że wkrótce przejdzie, ale minęło dwa tygodnie i nie przeszło. Pani Karolowa musiała się położyć i tak nie w porę to nieszczęście przyszło, bo właśnie trafiało się zajęcie do prowadzenia ksiąg handlowych w pewnym sklepie.

Za trzy godziny pracy codziennej w czasie popołudniowym proponowano 15 rubli miesięcznie.

Śliczna posada, wymarzona, i trzebaż zachorować! I oto ten pierwszy owoc tak miłej nauki dostaje się w inne ręce!

Posada, rzecz naturalna, stracona, bo kto ją dostał, będzie trzymał z całej mocy, tembardziej, że to jakiś biedak, dla którego ona całe utrzymanie stanowi. Trudno, trzeba się będzie starać o inny obowiązek. I to byłoby jeszcze pół biedy, ale niespodziewana choroba odrazu zachwiała równowagę tak starannie i pracowicie ułożonego budżetu. Wszystko w nim było wyliczone od *a* do *z*: tyle na mieszkanie, tyle na życie, na ubranie, tyle dla Luftermana na ratę; skrupulatnie to było obrachowane i z taką dokładnością, że od pierwszego do pierwszego, nie mogło zabraknąć ani grosza. Któżby mógł przewidzieć, że w rubryce wydatków najniespodziewaniej znajdą się takie pozycye, jak doktór, lekarstwa, wino stare. Cały budżet odrazu się przewrócił i pomimo, że poczciwa matka ze swoich drobnych oszczędności trochę dopomogła, musiał pan Karol prosić w biurze o zaliczenie—i Lufterman raty nie dostał.

Trudno sobie nawet wyobrazić, jak mu ją będzie

dać na drugi miesiąc, gdyż pensya, obciążona zaliczeniem, nie wystarczy na to.

Biedny człowiek, rozmyślając nad swojem położeniem, przyszedł do przekonania, że owe pałace przyszłości, które w marzeniach wspólnych budowali z Janiną, to były domki z kart. Dość jednę kartę usunąć, a cały efemeryczny gmach rozpada się i wali odrazu.

Dochód przyszłego miesiąca został naruszony, cały budżet zepsuty na nic, w dodatku jeszcze ten Lufterman.

Gdy kto za klamkę poruszył, Karolem wstrząsały dreszcze, na myśl, że to on upominać się przychodzi.

Trzeba mu się kłaniać, trzeba go prosić, upokarzać się, a jeszcze pytanie, czy uwzględni prośbę, czy zechce wejść w położenie fatalne, czy poprzestanie na kilku rublach procentu; a jeżeli nie przystanie, zapozwie do sądu, narobi kosztów, położy areszt na pensyi w biurze, sprowadzi komornika i zajmie rzeczy, a następnie je sprzeda przez licytacyę; zwoła setki handlarzy i zmarnuje, zepsuje całe gniazdko, w którem każdy mebel, każdy gra-

cik najmniejszy, ma wartość pamiątki. To jest okropne, straszne. Janinka nie przeżyłaby tego!

Biedaku! nie wiesz ty, jak człowiek dużo, dużo przeżyć, przebyć i wytrzymać może!...

Udało się panu Karolowi dostać przepisywanie; może zająć się tą robotą tylko w nocy, gdyż cały dzień ma zajęty, ale to nic. Wszystko jedno przecież, czy tak, czy tak, czuwa przy chorej żonie, więc spać nie będzie, a przepisując od dziesiątej wieczorem, do drugiej lub trzeciej rano, można zarobić prawie rubla, a nawet i całego rubla, jeżeli dobrze pójdzie.

Będzie przynajmniej na lekarstwa, albo na wino dla Janinki, a jeżeli ona wyzdrowieje niedługo, to ten zarobek przeznaczony zostanie wyłącznie dla Luftermana.

Jednak, naprawdę, poczciwy i delikatny to żyd, i widocznie się dowiedział, że w domu zmartwienie, bo wcale się nie pokazuje, ani zajrzy nawet.

Minął pierwszy, dziesiąty, piętnasty i dwudziesty, jego nie ma.

Na szczęście, Janince zrobiło się lepiej. Wstała osłabiona, blada, ale doktór zapewnił, że siły pręd-

ko wrócą i lada dzień ukażą się kolory na zmęczonej cierpieniem twarzyczce.

Pan Karol był uszczęśliwiony; wszystko łatwiej znieść, gdy zdrowie służy, gdy przeklęte choróbsko opuści nareszcie progi domu.

Na widok żony, powracającej do zdrowia, Karol zapomniał o całym świecie, o kłopotach, o Luftermanie nawet.

Przyszedł rano, gdy pan Karol do biura się wybierał.

— A, łaskawy pan Lufterman.

— No, ja jestem, dzień dobry panu.

— Przedewszystkiem bardzo panu dziękuję, że pan uwzględnił moje krytyczne położenie.

— Co ja takiego uwzględniłem?

— Żona moja chorowała kilka tygodni, rozumiesz pan, to pociąga za sobą wydatki, nie byłbym w stanie zapłacić panu raty, a pan był tak delikatny, że wcale nie przyszedł, by się upomnieć o nią.

— Rzeczywiście, ja mam bardzo delikatną naturę, ale nie wiedziałem, że pańska żona była chora. Mnie to jest bardzo przykro, trzy razy przykro: raz, że żona pańska była chora, drugi raz, że pan nie jest przygotowany na ratę, a trzeci raz,

i to jest właśnie najgorszy raz, że z powodu niezapłacenia raty, ja potrzebuję wymagać od pana całkowitą sumę na jeden raz.

— Bój się pan Boga, ależ to mnie zrujnuje!

— To bardzo może być i dlatego jest mi tak przykro; ja od tej wymagalności zdrowie tracę, ale ustąpić nie mogę.

— Dlaczego? Powiedz pan dlaczego? Czy nie płaciłem rzetelnie, dopóki mogłem?

— Płacił pan.

— Czy nie jestem gotów dać panu teraz kilka rubli za pańską wyrozumiałość?

— Owszem, pan jesteś gotów, ja wiem, pan już trzyma rękę w kieszeni.

— Więc?

— Ja panu powiem prawdziwą prawdę: ja już mam dosyć tego lichwiarstwa, to paskudny fach; państwo powiadacie, że to nie honorowe jest, że każdy lichwiarz, to rozbójnik, złodziej, a ja powiadam, że czy ono honorowe, czy nie honorowe, to też niewiele warto, bo żadnego dochodu nie daje.

— Nie daje?

— Co się pan dziwi? Zkąd ma dać? Czy z tego, że pan naprzykład nie zapłaci raty, albo że drugi

pan pojechał sobie na posadę do takiego kraju, w którym wcale komorników nie ma, a wyrok znaczy tyle, co nic. Miałem takie zdarzenie, dalibóg! Pan Franciszek, ten blady, z jasną brodą, pojechał do Persyi sprzedawać perkal i moje trzysta rubli z nim pojechały. A czy pan myśli, że nie trafi się taki, co sam sobie zrobi śmierć? Też miałem takiego gałgana! On sam sobie zastrzelił i moje dwieście rubli też były zastrzelone. No, powiedz pan sam, co z tego lichwiarstwa jest? Tfy! jedno z drugiem nic. Ja potrzebuję wycofać kapitał i wolę handlować z mydłem, z gipsem, ze smołą, wolę szynk utrzymywać, niż tem paskudztwem się trudnić.

— To jest pańskie postanowienie nieodwołalne?

— To jest, panie takie, jak wyrok z ostatniej instancyi. Pan musisz się starać o pieniądze.

— Ale zkąd?

— Pańska głowa w tem.

— Ha, trudno, skoro pan inaczej nie chce, to muszę...

— Wierz mi pan, że mnie to bardzo boli.

— Jak prędko żąda pan tych pieniędzy?

— Gdzie pan widział człowieka, który powoli żąda?

— Więc dziś?

— Choćby w tej chwili...

— Panie, to nie sposób...

— A co jest pański sposób?

— Daj pan chociaż trochę czasu, nie jestem przygotowany, nie spodziewałem się.

— To ja się bardzo dziwię. Przecież pan pisał na wekslu własnoręcznie: „W razie chybienia jednę ratę, cała suma zrobi się wymagalna od jednego razu.“ Pisał pan tak?

— Pisałem.

— A dlaczego pan raty nie zapłacił?

— Boś się pan nie zgłaszał.

— O co idzie? Ja jestem teraz zgłoszony, zapłać pan ratę i wszystko będzie w porządku, ja nie będę mógł wymagać od pana całej sumy.

— Ależ pan wiesz doskonale, że ja nie mam czem zapłacić.

Lufterman wzruszył ramionami.

— Ja na to nie doktór — odrzekł.

Pan Karol był przygnębiony; nie wiedział, co

począć i jak sobie poradzić. Lufterman zaczął z innej beczki.

— Pan mnie chciał dać kilka rubli?

— Weźmiesz pan?

— Dlaczego nie?

— Za poczekanie?

— Ja wcale czekać nie mogę.

— A więc?

— Wezmę za dobre poradzenie. Pan sam nie wyjdziesz z kłopotu, trzeba panu uczciwym sposobem rękę podać. Tego nie zrobi pańska ciotka, brat, swat, przyjaciel, żaden katolik tego nie zrobi, ale to zrobi Lufterman, lichwiarz, o którym między państwem powiadają, że ma kamień w sercu i że ściąga ze wszystkich skórę... Lufterman panu pomoże, ja, żebym tak dobre życie miał!

— Cóż mam czynić, panie?

— Naprzód, niech-no pan da te kilka rubli. Nie myśl pan, że ja ich potrzebuję dla siebie; ja od pana, prócz mojej należności, nic nie żądam, chcę tylko swoje odebrać, ale będę miał koszta.

-- Koszta?

— Że pan nie rozumie takiej prostej rzeczy! Ja wymagam sumy, pan jej nie masz, ja nie ustą-

pię, a pan jej nie dostaniesz, więc cóż ztąd? Prosta kombinacya: muszę znaleźć kapitalistę, który tę sumę panu da, a pan ją oddasz mnie. Czy to jasne?

— Bardzo jasne, jak w samo południe.

— Taki kapitalista niechętnie robi interesa, trzeba go namówić; jak i gdzie namówić? Przy kufelku. Człowiek ze swego kapitału żyje, ma grymaśną gębę, wódkę lubi mocną, bardzo mocną, śledzia marynowanego, bardzo marynowanego, piwa on nie pije, tylko czarny porter, bardzo czarny porter! Cygaro on też lubi i to najmniej za sześć groszy. Prócz tego on ma faktora, bez faktora nie zrobi nic. Faktora trzeba też sobie zjednać, a jak pan myśli, czem takiego łapserdaka zjednać? Trzeba mu wsadzić w zęby rubla, dwa i prócz tego zapewnić mu procent od interesu. W takim razie on będzie gadał, a jeżeli nie, to nie; on będzie siedział cicho, jak kamień. Rozumiesz pan teraz, na co ja biorę te kilka rubli?

— Więc sądzisz pan, że ów kapitalista da?

— Ja myślę.

— A cóż to za osobistość?

— Wcale nie jest żadna osobistość, poprostu

lichwiarz; nawet muszę pana uprzedzić, że jest z tych ordynaryjnych lichwiarzów, bardzo paskudnego gatunku, przytem ma jeden feler, niedobry dla pana.

— No?

— On jest młody, całkiem jeszcze młody, niedawno sobie ożenił.

— A cóż mi to przeszkadza, czy on stary, czy młody. Interes pieniężny; on pożycza, bierze procent. Co lata mają do tego?

— Dużo mają. My starsi, doświadczeni, cośmy już robili dość różnych interesów, kontentujemy się niewielkim zyskiem i niech będzie mała korzyść, byle pewna. Ja naprzykład, brałem od pana po ludzku, nic nie zarabiałem, całego kramu cztery procent na miesiąc. Ten łapserdak zażąda od pana najmniej ośm; a dlaczego? Bo on jest młody, chciałby się odrazu zbogacić.

— Ależ to niepodobieństwo!

— Nikt pana nie przymusza brać.

— Jakże, a pan?

— Przepraszam; ja panu nie bronię wziąść od kogo innego. Zresztą potarguj się pan; mnie się zdaje, że jeżeli będziesz się pan trzymał twardo,

to on opuści na siedm. I jeszcze pana uprzedzam, że jego faktor, między nami mówiąc, wielki cygan, nie bierze mniej, jak pięć rubli od sta z sumy, a żona tego kapitalisty, taka sama drapieżnica, jak on, też potrzebuje dostać porękawiczne. Widzisz pan, jaka to dyferencya starzy ludzie i nowi ludzie! Jak pan robiłeś ze mną interes, toś dał dla mego małego wnuczka na pierniczek rubla; z nim co innego! Przecież wstydziłbyś się pan dać rubla młodej kobiecie, która przytem jest bardzo ładna i bardzo edukowana.

— Ależ na Boga, ten pański kapitalista, to jest jakiś rozbójnik, bez sumienia.

— I mnie się tak zdaje.

— Lichwiarz-pijawka, w najszkaradniejszym gatunku!

— Mogę za to solidarnie poręczyć. Pan dobrodziej powiedział bardzo wielką prawdę.

— Jakże się nazywa ten ludożerca?

— Taki ludożernik nazywa sobie... on sobie... sobie nazywa... Leon Bernard Hapergeld.

— Pan go dobrze znasz?

— Cokolwieczek znam, ale bardzo mało.

ROZDZIAŁ IX.

Trochę złudzeń, oraz o tem, co napisał dziadzio Gancpomader.

Bardzo szybko pani Janina przychodziła do zdrowia. Na bladej jej twarzyczce ukazały się rumieńce, siły zaczęły powracać. Wstępowała też w nią nadzieja, że przy staraniach znajdzie posadę i że za kilkogodzinną popołudniową pracę mieć będzie dochód, wystarczający na zapłacenie rat, które po Luftermanie, po tym poczciwym Luftermanie, trzeba było spłacać Hapergeldowi.

Pan Karol także miał jakieś nadzieje. Główny dyrektor biura zaczął go wyróżniać, powierzał mu najtrudniejsze roboty i dawał do zrozumienia, że wyższa posada, a co za tem idzie i wyższa pensya, jest tylko kwestyą czasu.

— Nadzieja — mówił pan Karol do żony — nadzieja jest, a to bardzo wiele. Łatwiej pracować, choćby nawet cierpiąc niedostatek, gdy się ma nadzieję, że po dniach ciężkich i przykrych, nastąpią lżejsze i weselsze.

— Masz słuszność — odrzekła pani Janina — nadzieja podtrzyma nas w niedoli; ufajmy i kochajmy się — będzie dobrze.

I rzeczywiście byłoby dobrze, byłoby nawet doskonale, gdyby pani Janina zajęcie znalazła i gdyby pan dyrektor słowa dotrzymał, ale jakoś się na to nie zanosiło.

Zajęcie obiecywano to w tym, to w owym sklepie, a dyrektor wciąż był dla pana Karola uprzedzająco grzecznym, wciąż o nim pamiętał, lecz gdy zawakowała lepsza posada, oddał ją bez namysłu kuzynkowi swej żony.

Pan Karol boleśnie to odczuł, ale żalu po sobie nie pokazał, żonie nawet nie wspomniał o tem, co się stało. Na cóż truć się we dwoje, na co dzielić się smutkiem?

Pan Hapergeld bywał bardzo częstym gościem. Nabywszy należność Luftermana, wszedł w jego prawa i dusił tych biednych ludzi wszelkiemi spo-

sobami, na jakie tylko inwencya jego zdobyć się mogła.

Z początku sposoby te miały charakter czysto prywatny, a ze stanowiska lichwiarskiego biorąc, platoniczny, gdyż nie opierały się jeszcze o sąd.

— Ja pana nie chcę kompromitować—mówił—ja nie chcę pozywać, całkiem nic nie chcę. Ma pan kapitał, niech pan płaci kapitał, ma pan tylko na procent, ja wezmę procent, abym coś dostał.

Pokazało się jednak, że i mając na procent, nie łatwo było przyjść do ładu; zawsze musiał ktoś z tego powodu parę rubli dostać.

Nieraz Hapergeld wyjechał i rzeczywiście wyjechał... do swego ojca na Muranów; zgłaszał się tedy do państwa Karolów, nibyto upoważniony do prowadzenia interesów p. L. B. Hapergelda, pośrednik, a właściwie faktor, jakaś istota niższego rzędu, w kapocie do samej ziemi, całkiem nie „osoba“, ale prosty żyd, ordynarny, Chaim Beispiel.

Pan Chaim przedewszystkiem wyrażał ubolewanie, że smutna konieczność zmusza go do egzekwowania należności w imieniu p. L. B. Hapergelda.

Chaim lubił mówić o sobie, że jest prosty żyd, ale bardzo szlachetny i uczciwy, że cudzą krzywdą rąk swoich nie plami. On uważa, że Hapergeld jest człowiek paskudny, ale cóż robić; jemu się należy.

Chaim, widząc smutne położenie pana Karola, rozczula się, gotów jest wymową swoją wpłynąć na Hapergelda, żeby nie był taki łajdak i żeby przyjął procent, ale Chaim darmo nie może tego robić; jest człowiek biedny i musi z czegoś żyć. Nie wiele, ale kilka rubli za fatygę trzeba mu dać.

Zdarzało się nieraz i tak, bo pan Hapergeld był bardzo popędliwy i gorącego temperamentu, że rozpoczynano kroki prawne. W takim razie przybiegał Chaim, zmęczony i zadyszany, przybiegał z życzliwości, jako przyjaciel, aby ostrzedz pana Karola, co mu grozi.

— Aj, aj, proszę pana, nieszczęście. Ten Hapergeld jest cały łajdak, łapserdak, ja go prosiłem, ja mu...

— Cóż się stało?

— Oddał pański weksel adwokatowi.

— Mój? Na co?

— Zaraz zrobi sprawę, zrobi koszta, dostanie,

co zechce, tymczasową egzekucyę, położy areszt na pensyi, zajmie ruchomości, zgubi pana.

— Areszt na pensyi, zajęcie! To niepodobna, ja nie mogę tego dopuścić na żaden sposób.

— Ja wiem i dlatego przyleciałem tu, póki jeszcze czas, trzeba zaraz iść.

— Do Hapergelda?

— Do tego łajdaka? Po co?

— No?...

— On nawet nie jest w Warszawie; on sobie pojechał do familii na prowincyę.

— Więc do kogóż?

— Do adwokata; to jest bardzo porządny adwokat, nie taki, jak inni, ale cały mecenas. W Warszawie drugiej takiej głowy nie znajdzie. —

— Gdzież mieszka? jak się nazywa? Może ja go znam?

— Pan go nie zna, ale ja znam go dobrze. Niech pan naszykuje dla niego z pięć rubelków, to on się wstrzyma, nie będzie zaraz robił sprawy, a tymczasem...

— Cóż?

— Tymczasem, postaramy się pieniędzy; ja znam kilku bardzo porządnych żydków, oni dadzą.

Pokazało się, że Chaim dobrze radził. Pan adwokat, po długim targu, dał się ubłagać i za pięć rubli obiecał czekać cały tydzień. Chaim za dobrą radę, pośrednictwo i fatygę dostał dwa ruble. Doprawdy za bezcen, mieć za rubla cały dzień spokojny!

Adwokat rzeczywiście nie był podobny do żadnego adwokata. Prawa uczył się w chederze i znał je doskonale; nigdy w życiu nie przegrał sprawy z wekslu, a przeciwnicy tak się bali jego przekonywającej wymowy, że żaden z nich nie stawiał się do sądu i puszczał sprawę zaocznie, wiedząc o tem naprzód, że przegra. Nazywano tego pana przez złość pokątnym doradcą, ale on na to nie zważał i w ogóle o tytuły nie dbał.

Mając zapewniony tydzień spokojnego czasu, pan Karol, przy pomocy Chaima, traktował z kapitalistami, aby dostać fundusz na zaspokojenie, a choćby tylko na załagodzenie Hapergelda. Chaim przytem ciężko pracował. Psuł sobie głowę i język, gestykulował, pocił się, sapał, klął. Nie mogąc skończyć z jednym, sprowadzał drugiego, trzeciego, aż wreszcie doprowadził tranzakcyę do skutku.

Któżby mu za taką pracę i za tyle kłopotów nie dał przyzwoitego honoraryum!

Nowy kapitalista przedstawił się panu Karolowi jako człowiek dobroduszny i spokojny.

— Panie—mówił—ja się nie zapieram; ja jestem lichwiarz, ale nie taki, jak te inne łajdaki. Chcę zarobić, mam żonę i dzieci, potrzebuję chleba, ale nie mam serca gubić kogo. Ze mną pan może, jak chce. Pan Hapergeld inaczej postępuje, on jest co innego. Ja go znać wcale nie chcę i mówić z nim nie lubię, to... łajdak!

W rzeczywistości nowy kapitalista, który z takiem oburzeniem o Hapergeldzie mówił, był jego wspólnikiem.

Biedny pan Karol! Oplątywały go coraz bardziej cienkie nitki, skręcone w misterne węzełki; nie zdążył jednej zerwać, a już dwie, trzy, przyczepiały się do niego i zaciskały mocniej, coraz mocniej. Wyjścia z tego położenia nie było.

Zdarzało się i tak, że w Hapergelda wstępował duch dobry; łagodniał ten człowiek i skłaniał się do ustępstw, ale w takim razie w sprawę wdawała się pani Regina. Była zawzięta, jak Judyta na

Holofernesa i nie pozwalała mężowi rządzić się delikatnem uczuciem.

— Pan nie wiesz, co to jest kobieta, co jest zawzięta kobieta — mówił do swego dłużnika pan Leon Bernard — to jest wilk, to z przeproszeniem pańskiem... tygrys! Ja z nią nic nie poradzę, jak się zaweźmie; nawet przyznam się panu, ja się boję z nią mówić. Próbuj pan sam.

Pan Karol próbował, ale ma się rozumieć, że to kosztowało drogo; boć zwyczajny żydek weźmie kilka rubli i jest kontent, a dama, zwłaszcza taka dama, którą własny jej mąż nazywa tygrysem, na byle czem nie poprzestanie.

W takiem położeniu rzeczy cała pensya pana Karola i wszystkie jego zarobki pozabiurowe były faktyczną własnością Hapergelda, bo „nowi“ kapitaliści właściwie byli wspólnikami jego, lub też wprost podstawionymi przez niego manekinami, a na tych, niewielkich zresztą dochodach, które Hapergeld zabierał, mieli jeszcze małe służebności faktor Chaim Beispiel, pan adwokat Chaskiel Moze Durch (tak się ten jurysta nazywał) i od czasu do czasu pani Regina.

Nieraz mawiała ona do męża, gdyż była wielka elegantka:

— Leoś, ja potrzebuję sprawić sobie bardzo ładny kapelusz.

— Dlaczego nie? Spraw sobie bardzo ładny kapelusz.

— Ale mnie bardzo szkoda pieniędzy.

— No, szkoda? To sobie nie sprawiaj kapelusza; mnie też szkoda pieniędzy.

— Dlaczego ty nie masz nastraszyć twojego pana Karola? Ja będę miała kapelusz.

— Dlaczego ja go nie mam nastraszyć?

— Ty go nastrasz.

— Ja go nastraszę; za parę dni on będzie nastraszony.

Rzeczywiście, nastraszony, za parę dni przychodził, okup składał i pani Regina paradowała zaraz w nowym kapeluszu.

Trzeba przyznać Hapergeldowi, że wiedząc doskonale o wszystkich dochodach pana Karola, zostawiał mu z nich akurat tyle, ile mu było potrzeba na bardzo skromne utrzymanie. Tak kazał dziadzio Gancpomader.

— Wiedz o tem—mówił nieraz do wnuczka—że

nie trzeba go zniszczyć odrazu, bo ci z tego nic nie przyjdzie. Ty postępuj tak, jak porządny furman. Skoro masz dobrego konia, szanuj go. Nie żałuj mu bata, niech ciągnie; ale dawaj mu też cokolwiek owsa. Nie tyle, żeby się upasł i żeby brykał, bo to zbytki; ale tyle, żeby z głodu nie zdechł i miał trochę siły. Zawsze pamiętaj o tem, kochany wnuczku, że jego siła, to twój chleb, twoje życie, to majątek twoich dzieci.

W ogóle dziadzio Gancpomader był nieoceniony staruszek. Miał on zdanie wytrawne i praktyczne, na świat zapatrywał się z chłodną rozwagą, a poglądy jego były oparte na długoletniem doświadczeniu i gruntownej znajomości życia.

Godny dziadzio i mądra osoba!

Można o nim powiedzieć, że był to filozof i zarazem artysta skończony.

Posiadał on talent wielki i (co rzadko utalentowanym ludziom się zdarza) traktował przedmiot swój z prawdziwym spokojem; nie zapalał się wcale, nie ulegał ani porywom natchnienia, ani wrażeniom chwili. I ten prawdziwy spokój, przy darze bystrej obserwacyi i znajomości natury ludzkiej, czynił z niego mistrza.

Dziadzio był wielki!

W kopercie, którą wnukowi swemu, jako upominek, w dniu wesela doręczył, była cała instrukcya, rady doskonałe, wskazówki praktyczne, sentencye głębokie i mądre.

Nie były one ułożone systematycznie, lecz rozrzucone po rękopiśmie w nieładzie, w miarę tego, jak napływały do głowy. Ale z tego nie można robić autorowi zarzutu, ponieważ brak systemu jest także systemem, a czy kto da bliźniemu sto dukatów, ułożonych w pięć rzędów, czy rozrzuciwszy je na powierzchni stołu, bez układania, albo da je pomieszane w woreczku — to dla obdarowanego jest wszystko jedno; ma sto dukatów i niech się cieszy, że dostał taki wspaniały podarunek. Główna rzecz w owym podarunku jest samo złoto, nie zaś sposób, w jakim zostało ułożone. W danym razie były tu same perły mądrości — mało więc znaczy, czy ta perła będzie na początku, a tamta na końcu, czy tamta na początku, a ta na końcu. Są perły — i dość na tem!

Co komu przeszkadza, że hojny dziadzio rozsypał je na papierze tanim, a miejscami cokolwiek używanym, na odwrotnej stronie rachunków, listów od

wierzycieli, na awizacyach sądowych i tym podobnych dokumentach?

Rozsypał, bo mu się tak podobało. Zeszył wszystkie kartki mocną nicią; nie całkiem akuratnie, bo nie praktykował u krawca i poplamił je cokolwiek bo pisał w nocy, a w nocy nie świeci przecież słońce, tylko łojówka.

Oto jest cała prawda, dotycząca zewnętrznej strony rękopismu, a że dziadzio nie pisał go na welinie i nie kazał oprawić w turecki safian, to świadczy, że cenił zawsze wyżej treść, aniżeli formę i że rozumiał doskonale, iż owoc głębokich rozmyślań, to przecież nie weksel, który ma być akuratnie podług wzoru napisany.

„Ja ci nie tłómaczę, lube dziecko — pisał dziadzio — co jest weksel, tak samo, jak nie uczę cię, która jest litera *a*, ponieważ umiesz czytać i znasz alfabet, ale to ci przypominam, że zanim wypłacisz pieniądze, to powinieneś weksel obejrzeć siedm razy: cztery z tej strony, co zapisana i trzy razy ze strony przeciwnej. Z pierwszej może być niedokładność i opuszczenie, z drugiej jaki niepotrzebny dopisek. Bywały już z takiego powodu sprawy sądowe i straty, a tego zawsze trzeba unikać.

Prócz siedmiokrotnego obejrzenia wekslu, miej zwyczaj przed zapłaceniem waluty poprosić o kawałek cygara, albo szklankę wody, to się cokolwiek zwlecze; z tego w tamtej stronie, jeżeli jej potrzeba gwałtownie, budzi się pewna obawa.

„Drogie dziecko! tobie się zdaje, ty sobie wyobrażasz, że obawa, to jest interes czysto myślowy, że to tylko pusty wyraz, jeden dźwięk na oznaczenie tego, co nie jest jeszcze zupełnym strachem, ale tak blizkie strachu, jak nieprzymierzając Gęsia ulica Nalewek. Ty się łudzisz, lube dziecko! Obawa, to jest niewiasta, a w takim interesie, jak nasz, jest matka synów, którym na imię rubel. Pamiętaj o tem, wnuczku. Gdy widzisz, że z tamtej strony budzi się obawa, masz zrobić taką twarz, na której da się widzieć żal, strach, żeś ty niby zrobił ryzykowny interes i żeby na niej było widać chęć, że się chcesz cofnąć. To też coś warto. Masz powiedzieć, że tylko jedynie twoje słowo, twoje wysokie pojęcie o honorze, twoja delikatność i uczuciowość, współczucie dla ludzkiej niedoli, skłania cię do dotrzymania umowy. To też źle nie robi.

„Nie zaszkodzi lube dziecko, jeżeli do wypłaty waluty będziesz przygotowany, to znaczy: jeżeli będziesz miał dać, dajmy na to, dwieście dwadzieścia dwa ruble, w twoim pugilaresie znajdzie się dwieście dziewiętnaście. Jest to poprostu wypadek, wypadek bardzo mały, więc interesant nie będzie się zbyt targował, ale jeżeliby się bardzo, targował, to możesz znaleźć w innej kieszeni, dajmy na to w kamizelce, trochę drobnych; daj mu je, niech się obucha. Wierz mi, dziecko, że to jest najlepsza sposobność do puszczenia w kurs ołowianego bilonu, fałszywych dziesiątek i w ogóle takiej monety, której nie przyjmuje ani dorożkarz, ani biedna żydówka, sprzedająca na ulicy bób gotowany.

„To wszystko, drogi wnuczku, dotyczy punktu: „walutę w gotowiźnie otrzymałem.“ Śliczny punkt — i ty go szanuj, Lejbuś.

„Jeżeli tranzakcya odbywa się w twojem mieszkaniu, a masz małego synka, albo więcej synków, nie zaszkodzi, gdy będą przy niej obecni, a gdyby nie wypadało, żeby byli obecni, to nie przeszkadzaj im patrzeć przez uchylone drzwi, albo przez dziurkę od klucza. Niech się przypatrują; żeby zaś nie

przypatrywali się darmo, interesant twój powinien im zostawić coś „na pierniczki.“

„Twój faktor powinien być również obecny i powinien dostać procent od summy. Trzeba mieć serce. On jest biedak, on potrzebuje żyć, on ma żonę i dzieci, daj mu więc zarobić. Pamiętaj, że miłosierdzie jest najpiękniejszą cnotą i ozdobą człowieka.

„Nie dość jest uważnie dawać pożyczkę, trzeba i odbierać ją uważnie. Bywają zdarzenia, że dłużnik płaci odrazu. Ja nie powiadam, że to zły interes; owszem, dobry, tylko zakrótki; częściowa spłata jest lepsza, bo trwa dłużej. Kiedy więc masz takie zdarzenie i odbierasz pieniądze, to je przelicz bardzo uważnie — siedm razy. Jeżeli będzie się upominał o weksel, to mu oddaj; jeżeli nie, to się nie śpiesz. Co ci do tego, że kto ma krótką pamięć, albo że bywa roztargniony — niech sobie bywa. Ty nie jesteś jego matka, ani jego ciotka, co ci do tego? Powiedz mu lepiej coś ciekawego, komplement mu powiedz, poleć się jego pamięci, oświadcz, że twoja kasa jest zawsze na jego usługi, daj mu drukowany adres. Odprowadź go do samych drzwi, ukłoń mu się grzecznie; na co mają

mówić, że my jesteśmy bardzo pyszni, że my się trudnimy robieniem „arogancyi.“ Zkąd oni wzięli taki paskudny wyraz?

„I to pamiętaj, że jak przy wypłacie waluty trzeba, aby w stancyi był ktoś, tak przy wykupieniu wekslu najlepiej jest załatwiać sprawę w cztery oczy, nie jest to bowiem akt rejentalny, który wymaga koniecznie dwóch świadków, ani broń Boże, testament, do którego potrzeba aż czterech.

„Nie potrzebuję ci przypominać, że jeżeliby weksel został przy tobie, to niemasz go zniszczyć, ale dobrze zachować, żeby nie zaginął. Najmniejszy papierek czasem się przyda.

„W każdym handlu, a głównie w naszym handlu główną podstawą jest uczciwość.

„Zawsze uczciwość, pamiętaj to sobie! Ja miałem takie zdarzenie. Pożyczyliśmy jednemu kawalerowi, który miał się bogato ożenić, grubszą summę; pożyczyliśmy we trzech: ja, Lejzor Tałar i Noach Figielman. Odbierało się różnemi czasy i, Bogu dziękować, odebrało się bardzo pięknie; nie dołożyliśmy do tego interesu. Upłynęło kilka lat. Noach umarł, a Lejzor znalazł u siebie między papierami jeszcze jeden dokument na kilkaset rubli

od tego samego pana. Udał się do niego; tamten miał trochę krótką pamięć, nie utrzymywał rachunków i niewiele się sprzeczając—zapłacił.

„Całkiem gładko to poszło, jak po maśle. Ja nie wiedziałem o niczem. Jednego dnia przyszedł do mnie Lejzor, opowiedział, jak to było i podzielił pieniądze akuratnie na trzy części: jednę dla mnie, drugą dla siebie, trzecią dla dzieci po nieboszczyku Noachu. Sobie policzył tylko za dwa kursa omnibusu i wierz mi, że nawet w tym drobiazgu nie było symulacyi; on naprawdę jechał omnibusem, bo go bardzo noga bolała wtedy.

„Oto uczciwość, oto człowiek, który chodzi drogą sprawiedliwych, nie łakomi się na cudze, jest wspólnik rzetelny, człowiek honorowy! I naprawdę on dużo, dużo ważył swoje słowo; jeżeli przyrzekł komu, że się zgłosi po pieniądze o dziesiątej rano, to już o siódmej spacerował po ulicy, a od dziewiątej czekał w bramie, żeby nie uchybić terminu ani na jednę minutę.

„Ja go za to szanowałem.

„Mnie to przykro, luby mój wnuczku, bardzo przykro, że nie mogę wylać na papier całego morza doświadczenia, jakie się znajduje w mojej pamięci.

„Ludzie używają do pisania pióra z ciężkiego ptaka, z gęsi—i to jest właśnie przyczyną, że pisanie nie może być tak lotne, jak myśl.

„Dużo widziałem ludzi, dużo robiłem interesów, głowa moja napełniona jest wspomnieniami, niby bryka żydowska, co kursuje pomiędzy Radomiem a Warszawą. Za jedną myślą goni druga, za drugą trzecia, dziesiąta, piętnasta; jedna drugą prześciga, potrąca, popycha; robi się z tego zbiegowisko, jarmark, a na jarmarku, mój wnuczku, jest wiele dobrych rzeczy, piękny wybór. Dla ciebie chciałbym wybrać, co najlepsze, ale w takim pośpiechu mogę niejedno pominąć. Wielkie jest w mojem sercu kochanie dla ciebie; chciałbym ci oddać wszystko, co uzbierałem do głowy mojej, żebyś miał na całe życie i jeszcze swoim dzieciom zostawił.“

Dziadzio pisał tę kartkę z rozrzewnieniem wielkiem i widział oczami ducha swojego przyszłość swojego wnuka, wielką przyszłość, a dlaczego wielką? Dlatego, że wnuczek pieniędzmi robił, dlatego, że był z rodu artystów, a pieniądz w ręku artysty prędzej rośnie, niż trawa, a obficiej się mnoży, niż piasek w morzu.

Atoli rozrzewnienie dziadka nie przeciągnęło się dalej, niż na dwie karty; opanował on uczucie i poskromił je, niby rozhukanego rumaka, poczem zaraz zawrócił na grunt praktyczny i rzucał znowuż dobre rady i nauki... niby perły.

„Szanuj klijenta, który ma ambicyę, bo ambicya dużo znaczy; można z niej czerpać, jak ze studni.

„Jak dostaniesz do rąk dobrego człowieka, to go nie puść; dobry dłużnik znaczy więcej, niż czte-ry konie. Wyobraź sobie, że czterema końmi jeździsz. Alboż ci nie wolno?

„Jeżeli dłużnik ci umrze, nie potrzebujesz siedzieć po nim na pokucie; to, co pozostał ci winien, rozłóż na innych, oni to z procentem zapłacą.

„Masz śliczny fach, mój wnuczku, szlachetne zatrudnienie, powinieneś o tem pamiętać. Zastanawiaj się dobrze, że pieniądz wspiera głowę, a głowa wspiera pieniądz. Ty masz i pieniądz i głowę, więc wszystko masz.

„Jak ci się trafi inny geszeft, choćby dobry, ale nie z twego fachu, ty go nie bierz. Kto handluje pieniędzmi, nie powinien handlować pieprzem i cynamonem. Nie staraj się o martwy towar, skoro masz żywy."

Zeszyt pełen był mądrych sentencyj i rad doskonałych; zawierał w sobie instrukcyę, odnoszącą się do procederu samego, istny kodeks różnych figlów i sztuczek, traktat o sposobach poszukiwania ukrytych funduszów dłużnika, o czarnej giełdzie, o forum na Placu Bankowym, o najlepszych źródłach informacyj co do osób, potrzebujących pożyczki, wspomnienia o sławnych i zasłużonych kapitalistach, wyjątki i artykuły z prawa, mogące mieć zastosowanie w praktyce finansowej, jednem słowem, było to „silva rerum,“ skarbnica niewyczerpana, studnia, kopalnia.

Wnuczek wielce cenił szacowny memoryał dziadka i odczytywał go w wolnych chwilach, podziwiając praktyczną mądrość autora; dodawał też na marginesie swoje spostrzeżenia i uwagi, gdyż postanowił pamiętnik synowi w spuściźnie przekazać.

Taka rzecz zmarnować się nie może. Artyści umierają, starzy mistrze schodzą z pola i ustępują miejsca nowym, ale sama sztuka istnieje i istnieć będzie wiecznie, bo ona jest nieśmiertelna.

ROZDZIAŁ XI

w którym pokazuje się, co znaczy wielkie oko.

Pan Karol usiłował stanowczo i raz na zawsze oswobodzić się z zależności od pana Hapergelda, jego wspólników i faktorów; w tym celu starał się ciągle o robotę po za biurową.

Czego ten człowiek nie robił?! Podejmował się prowadzenia książek rachunkowych, korespondencyi; nie gardził nawet przepisywaniem, które aczkolwiek bardzo licho płatne, dawało jednak coś. Był przytem rządcą dwóch dużych domów, za co miał mieszkanie i kilkanaście rubli na miesiąc.

Wstawał rano, a kładł się spać późno; niekiedy nawet nie kładł się wcale i pomimo tej pracy forsownej na losy swoje nie narzekał; owszem, czuł się szczęśliwym, gdy we środę zarobił tyle, że mógł sobie kupić spokój na... czwartek.

Jeden dzień, niewiele to na rachunek kalendarzowy, lecz sporo na miarę nerwów rozstrojonych.

Zazwyczaj projektował sobie, że w dniu spokojnym wykona ogromną masę roboty; nikt mu przeszkadzać nie będzie, więc praca pójdzie raźniej i żwawiej. Często tak bywało, czasem nie.

Przychodziła na niego niekiedy szczególna jakaś niemoc. Niby nie był chory, ale nie mógł się ruszać; niby nie doznawał bólu głowy, a przecież myśleć porządnie nie potrafił. Widział przed sobą cyfry, w równych szeregach, pięknie i wyraźnie napisane, a nie był w stanie rozróżnić czwórki od piątki, trójki od siódemki.

Zdawało mu się, że ciągle fruwa koło niego i unosi się w powietrzu maleńka czarna muszka, drobniutka, jak pyłek, ale ogromnie żwawa, i to było szczególne, że widział ją tylko lewem okiem i zawsze z lewej strony.

Drobniuchny ten owad miał swoje właściwości szczególne, a tę najdziwaczniejszą, że można go było widzieć nawet zamknąwszy oczy.

Źrenica dostrzegała go przez powiekę.

Obserwowany dłużej przez zamknięte oko, owad zmieniał barwę. Czarność jego otaczała się złotą

obwódką, niby aureolą promienną, potem zlewała się ze złotem i zmieniała się w jakiś punkcik świetlny, amarantowy, purpurowy, w końcu krwisty. Otworzywszy szybko oko, pan Karol spostrzegał znowuż swoją wierną, maleńką towarzyszkę w codziennym czarnym stroju; trzymała się, jak zwykle, lewej strony i robiła ruchy, albo po linii prostej, zbliżając się do oka, to znów oddalając od niego, albo też po łagodnie krzywej, kołysząc się w powietrzu.

Ta mała muszka była zapowiedzią innych niespodzianek.

Czasem ni ztąd, ni zowąd, drgać zaczęła powieka, czasem wśród nocy, gdy było zupełnie ciemno, przed oczami migały w powietrzu plamy świetlne, w formie kół, albo też w postaci snopków promieni, bardzo jasnych.

Zdawało się nieraz panu Karolowi, że z odległej przestrzeni ku oku biegnie taka plama bardzo szybko, a wpadłszy w oko—ginie; zaledwie zginęła jedna, goni ją druga, oderwała się, nie wiadomo zkąd w górze—i biegnie do oka niesłychanie szybko. Były to niby robaczki świętojańskie, tylko duże i niedające się pochwycić.

Szczęście, że pan Karol miał w domu doskonałego lekarza w osobie swej żony. Ta miała zawsze pod ręką bardzo skuteczne środki: esencyę herbaty, wodę różaną. Pomagało to niekiedy na drganie powieki, ale czarnej muszki nie było w stanie odpędzić.

Ale mniejsza o muszkę; pana Karola to głównie bolało, że dzień ma tylko dwadzieścia cztery godzin, a nie czterdzieści ośm, a człowiek tylko jednę głowę posiada, zamiast dwóch—w dodatku i ta jedna niekiedy cierpiała i wymawiała posłuszeństwo, bez względu na to, że za kilka dni przypadał jaki przykry termin, bez względu, że lada chwila mógł przyjść sam pan L. B. Hapergeld i żalić się na swój ciężki los.

Istotnie, biedaczysko, on taki spracowany! Rano był u kilku wierzycieli i w sądzie, w południe musiał odbywać „posiedzenie stojące“ przed bankiem, przed wieczorem znów fatygował się do kancelaryi komornika, którego względom przymuszony był polecić jednego ze swych dłużników.

Już nóg nie czuje, zdrowie stracił i musi do Karlsbadu jechać, ratować życie, odzyskać siły zniweczone i stargane.

Dla tego biedaka specyalnie przydałaby się panu Karolowi druga głowa i dnie czterdziestoośmiogodzinne, ale ponieważ natura nie wyposaża ludzi tak hojnie, więc trzeba się godzić z losem i poprzestawać na tem, co jest, a na skąpstwo przyrody nie narzekać, gdyż byłoby to niesprawiedliwością wielką.

W naturze wszystko jest mądre i przewidziane. Ludziom potrzebującym więcej głów i rąk, aniżeli etat przyrodzony wyznacza, dana jest tak zwana wola, która pod przymusem dokonywa rzeczy niezwyczajnych. Ona to, niby biczem, pobudza energię mózgu, lub jeżeli potrzeba, energię muskułów. Pod jej wpływem człowiek robi takie wysiłki, jak koń wyścigowy pod szpicrutą i ostrogami. Czasem dochodzi do mety, czasem go zdystansują, a bywają zdarzenia, że pada na torze. Rozumie się, że taki wyścigowiec prędzej kończy karyerę, niż opasły karosyer, nie szafujący energią i nie znający, co wysiłek, ale rady na to nie ma. Przy silnej woli i przy zdrowiu można do czasu lekceważyć nawet hygienę. Ona się później zemści – niech się mści, jeżeli chce, któż jej może zabronić?

Pan Karol zdrowie miał dobre i nie chorował wcale, tylko było mu coś, coś szczególnego, czego nie umiał bliżej określić. Bał się. Czego? Sam nie wiedział, ale żył w ciągłej obawie. Każde poruszenie klamki u drzwi wprawiało go w drżenie, lękał się wszystkiego i wszystkich. Jeżeli ujrzał psa na ulicy, przechodził na drugą stronę chodnika; za nic na świecie nie wsiadłby do dorożki lub sanek, mniemał bowiem, że zaraz się rozlecą; często drżał podczas upału, lub doznawał uczucia gorąca w mróz. Bał się tłumu, nie wchodził nigdy tam, gdzie się gromadzi dużo ludzi; czasem śmiał się bez powodu, a czasem bez żadnej przyczyny płakał. Budząc się ze snu, był przekonany, że go spotka jakieś wielkie nieszczęście, że nie dziś, to jutro, dostanie pomieszania zmysłów.

Radził sobie na to zimną wodą. Zanurzał głowę w miskę, albo brał prysznic i to go odświeżało na cały dzień.

Zresztą był zupełnie zdrów i nadzwyczaj silny i żałował, że części tego zdrowia nie może dać żonie swej i dzieciom. Pani Janina była wątła, dzieci chorowały często i tak się jakoś składało, że

oprócz zwykłych, codziennych zmartwień, były często i nadprogramowe, niespodziewane.

Znosił jakoś to wszystko.

Sam dziadzio Gancpomader, który swego wnuczka często odwiedzał i ztąd o panu Karolu miewał relacye, przyznawał, że to jest człowiek żelazny.

— Słuchaj, Lejbele—mówił nieraz do wnuka—ty jego szanuj, bo on jest mocny człowiek.

— Dlaczego on ma być mocny, kiedy mizernie wygląda? W czem dziadzio widzi jego moc?—pytała pani Regina.

— Mówię wam, że jest mocny. Skoro on twego męża wytrzymuje, to dużo może wytrzymać.

— No, kto mu każe wytrzymywać? Niech nie wytrzyma, niech go dyabli wezmą!

— Ty tak nie mów. Owszem, żeby on długo żył i dobre zdrowie miał, bo on jest dobry robotnik. Lejbuś, ile ty jemu dałeś wszystkiego gotowizny?

Pan Leon Bernard pomyślał, zajrzał do książki, porachował i rzekł:

— Wszystkiego razem około pięciuset rubli.

— Ile on tobie teraz winien?

— Bez mała trzy tysiące.

— A ile ty masz od niego rocznie?

— Co ja od niego mam? Niewiele. Czasem w miesiącu trzydzieści, czasem czterdzieści rubli, w grudniu, jak dostaje gratyfikacyę, to sześćdziesiąt. On się ciągle ze mną reguluje; jemu się zdaje, że ma sześciu wierzycieli, a on ma jednego. On nigdy w swojem życiu z tego nie wyjdzie, bo doskonale związany jest.

— To prawda; on jest ślicznie związany, ja sam nie potrafiłbym lepiej pościągać węzłów; ale ty, Lejbuś, nie gadaj, że nie masz z niego nic, ty dużo masz. To jest ładny człowiek i ty go szanuj. Ja ci każę... a starszych należy słuchać. Ty wiesz, że pochodzisz ze znacznej familii; wiesz, kto jest twój ojciec i twój dziadek, ale nie wiadomo ci, kto był twego dziadka ojciec i twego dziadka dziadek.

— Zkąd ja to mogę wiedzieć?

— To byli dwaj porządni pachciarze, nabożni i rozumni ludzie, oni handlowali serem, mlekiem, rozmaitemi rzeczami. Ja mam od nich takie przykazanie i takie zdanie: że dopóki krowa daje dużo mleka, dopóty nie można jej ani zabijać, ani sprze-

dawać. Czy ty rozumiesz, Lejbuś, o jakiej krowie ja mówię?

Lejbuś się roześmiał.

— Dlaczego nie mam rozumieć?

— Ja prawdę mówię.

— Wiem, wiem! On rzeczywiście jest prawdziwa krowa, skoro go można tak doić i tak mocno związać. Jabym się nie dał, a on głupi daje się. On jest bardzo głupi. Ja sobie nieraz myślę, że gdybym ja był komu winien, i nawet naprawdę winien, gdyby mi kto pożyczył pieniądze, a potem chciałby je odbierać, straszył mnie sądem i komornikiem, to...

— No, to cobyś zrobił?

— Śmiałbym się, bardzobym się śmiał, a dziadzio nie?

— Może i jabym się cokolwieczek śmiał.

— Dużo mi sąd zrobi! Da wyrok, niech on sobie da wyrok! Komornik przyjdzie, wielka rzecz, niech sobie przyjdzie! Dlaczego ja mam co mieć w domu? Ja mogę nic nie mieć, a choćbym co miał, to też może być cudze. Co mi kto weźmie? Jemu się może podobać moja zielona kanapa, a to wcale nie jest kanapa, tylko taka sobie zielona sy-

mulacya. Co mi może zabrać? Powietrze ze stancyi, śmiecie z podłogi, kurz ze ściany. Niech bierze, niech szuka moich dochodów, alboż ja waryat, żebym miał pokazywać dochody? Ja bardzo się dziwię, dlaczego taki pan Karol nie próbuje się bronić; niech mi to dziadzio wytłómaczy.

Dziadzio Gancpomader pogładził brodę, pomyślał przez chwilę i rzekł:

— Jak tobie się zdaje, Lejbuś, co człowiek ma w sobie we środku?

— Co ma mieć? Trochę serca, kawałek żołądka, cokolwiek wątroby...

— Ja się nie o to pytam i ty nie rozumiesz, do czego moja mowa idzie. Człowiek we środku ma duszę, a dusza pusta nie jest; w niej, we środku, znajduje się charakter, a czy ty wiesz, co jest charakter?

— Charakter, jest charakter.

— Zapewne; smoła jest smoła, a pomarańcza, pomarańcza. Nie, mój kochany wnuczku, charakter człowieka, jest to torba, w której znajduje się rozmaity towar. U jednego człowieka czyste złoto i brylanty, u innego same, za przeproszeniem, śmiecie.

— Dziwne rzeczy dziadzio opowiada.

— Możnaby o tem napisać dwadzieścia cztery wielkie księgi i to by jeszcze nie było za dużo; nie byłoby nawet dosyć, ponieważ każdy człowiek ma w swoim charakterze co innego, a ludzi jest na świecie bardzo wiele. W charakterach, w tej torbie, co w duszy ludzkiej siedzi, jest taka rozmaitość, jak w porządnym sklepie łokciowym. Jest aksamit i drelich, czysty jedwab i ścierka, jest weba, płótno, perkal, madapolam, bardzo lichy kreton i perkalik w dzikim kolorze; różne różności są. I drogie i tanie i mocne i zleżałe i popękane i takie, co dużo warte i takie, co nic nie warte, prawdziwe, oszukane, plombowane, szwarcowane, co tylko chcesz, to się trafi.

Pani Regina zaczęła się śmiać.

— No, no—rzekła—dziadzio i na damskie materyały jest znawca.

— Dlaczego nie mam być znawca? Jeszcze ciebie na świecie nie było, kiedym ja już bławatne towary brał w zastaw. Człowiek powinien się znać na wszystkiem; można nie być złotnikiem, a potrafić oszacować kosztowność. Ja się na wszystkiem znam, a najbardziej na charakterze się znam. Jak

doczekasz siwych włosów i jak będziesz już miał wnuki i prawnuki, jak ja, to przekonasz się, że cały nasz fach na tem stoi, żeby umieć do tej właśnie torby zaglądać. Kapitalista z tego gatunku, co my, musi mieć wielkie oko. On musi umieć widzieć duszę, umieć przeniknąć charakter i zobaczyć swojemi oczami to, co się znajduje w torbie. Gdy to widzi, robi interes na pewno i bez żadnej omyłki. Z wielką przykrością uważam, że ty, Lejbuś, nie masz jeszcze wielkiego oka i dlatego twoja robota jest ordynarna i gruba.

— Moja robota?

— Tak, tak, kochany wnuczku. Ja nie zaprzeczam, że ty jesteś dobry finansista, ale pracujesz w swoim fachu, jak kowal.

— Bo też to jest ciężka praca.

— Ciężki jest twój umysł, lube dziecko. Jeżelim powiedział, że pracujesz, jak kowal, to dlatego, aby ci wykazać, że w twojej robocie nie ma zgrabności, że twoja ręka ciężka. Ty nie potrafisz golić zgrabnie, jak fryzyer goli bogatego puryca, ale skrobiesz ordynarnie tak, jak kucharka skrobie kartofle. Nie ma w twojej robocie delikatności, tego, co się nazywa fajn.

— Jakie tu może być fajn?

— Po kowalsku robisz, wnuczku, bierzesz kawał żelaza w kleszcze i kujesz je młotem. Z przeproszeniem twego honoru i osoby, lada chłop taką samą sztukę potrafi. Dlaczego nie masz robić zgrabnie tak, jak jubiler, albo zegarmistrz?

— Ja was nie rozumiem zupełnie.

— Właśnie dlatego nie rozumiesz, że jesteś jeszcze kowal; jak będzie już z ciebie jubiler swego fachu, to potrafisz czytać w człowieku, jak w książce.

— Na co w nim czytać, kiedy on sam wszystko wypisze w wekslu!

— Trzeba czytać wprzód, zanim weksel będzie napisany. Weźmy naprzykład twojego pana Karola. Ja go tylko jeden raz widziałem i wiem bardzo dobrze, co w nim jest. Jego dusza jest, jak latarnia, widać w niej wszystko, jak przez szyby. Charakter dobry, a w tym charakterze jest jeden maleńki, ale bardzo drogi dla nas brylancik, co się nazywa ambicya. Wierz mi, Lejbuś, że z takiego materyału można pociągnąć dużo dochodu, więcej, aniżeli z dobrej propinacyi. Przez ambicyę on nie zrobi ci figla, nie ucieknie

z Warszawy, nie ukryje nic, odda ci cały swój zarobek. On przez ambicyę dostał się w twoje ręce, aby spłacić Luftermana; przez ambicyę, aby spłacać ciebie, dostał się w twoje ręce jeszcze sześć razy i ma przekonanie, że wszyscy przez ciebie podstawieni są to jego prawdziwi wierzyciele, z którymi ambicya także każe uczciwie wychodzić. Gdyby nie ambicya, mógłby przecież odrazu potańcować z Luftermanem; dać sobie zająć rzeczy, zrobić areszt na pensyi w fabryce. Wielka rzecz, alboż jeden tak robi? Nie znałby ciebie wcale, nie wiedziałby, czy jest na świecie jaki Chaim Beispiel, Mojsie Durch, Icek Szejte, Rubin Lejbik, Berek Latarnia, Uszer Rybieoko; nie znałby wcale twojej żony, pani Hapergeldowej, która też lubi brać porękawiczne.

— Dlaczego ja nie mam brać porękawiczne? — spytała, trochę z gniewem, pani Regina.

— Owszem, bierz, tylko pamiętaj, że to idzie z ambicyi. Wasz pan Karol chciał wychodzić z lichwy honorowo, a nie wiedział o dwóch rzeczach; naprzód, że honor, to bardzo drogi towar, drogi niesłychanie, a powtóre, że z takich interesów, które my robimy, nie wyciągnie nikogo uczci-

wość; szwindle i figle mogą zrobić chwilową ulgę i dać wytchnienie do jakiego czasu, ale gruntownie nie wyprowadzą nigdy. On nie myślał wcale o szwindlach, ani o chwilowej uldze, bo ma ambicyę i dlatego ty, Lejbuś, powinieneś jego szanować.

Rzeczywiście, jeżeli pan Karol w chwilach bardzo krytycznych i ciężkich, podczas choroby żony lub dzieci, doznawał niejakiej ulgi ze strony swoich wierzycieli, jeżeli go wówczas nie gnębiono z taką zajadłością, jak zwykle, to zawdzięcza jedynie interwencyi, z jaką przychodził dziadzio Gancpomader, który powtarzał zawsze:

— Lejbuś, Lejbuś, nie bądź ty kowal!

Dziadzio Gancpomader nie czynił tego ze szczególnej życzliwości dla pana Karola, ale dlatego, że mając w rodzie tradycye pachciarskie, znał wartość dobrej krowy i chciał ją jak najdłużej dla swych wnuków zachować.

Interwencya dziadka była zazwyczaj skuteczna, choć czasem krewki wnuczek oponował i oburzał się.

— Niech go dyabli wezmą! — wołał — na co ja mam z nim robić takie ceregiele?

Dziadzio uspokajał go wtedy kilkoma słowy:

— Ja ciebie bardzo proszę, Lejbuś, nie bądź głupi.

Po tem łagodnem przemówieniu, zwracał rozmowę na inny przedmiot, albo też brał małego prawnuczka na kolana i cieszył się jego wielkim dowcipem. Cieszył się i podziwiał.

— Świat naprzód idzie, moje dzieci — mówił z westchnieniem. — Gdy ja miałem siedm lat życia, wiedziałem już, co jest rubel i mój ojciec cieszył się, żem taki mądry; mój syn znał się na rublach w piątym roku; mój wnuk, kochany Lejbuś, ledwie trzy lata skończył, bawił się z innemi bachorami w... lombard; ten zaś maleńki prawnuczek, ta źrenica mego oka, ledwie umie chodzić, a już trafi do mojej kieszeni, żeby z niej parę groszy wyciągnąć. Dobre i myślące dziecko!

ROZDZIAŁ XII

traktujący o pewnych właściwościach czasu, tudzież o wielkich planach pana Karola.

Ludzie zmęczeni znajdują niekiedy szczególną przyjemność we wpatrywaniu się w jakiś ulubiony przedmiot. Takim przedmiotem dla pana Karola był zegar. Stary zegar, oszacowany przez wierzycieli co najwyżej na rubla, ale chodzący dobrze i w swoim rodzaju oryginalny. Umieszczony on był na półeczce nad biurkiem. Okrągły, bronzowy, opierał się na dwóch filarkach alabastrowych, miejscami pożółkłych od starości i mających za podstawę równo symetrycznie obrobiony i żłobkowany kawałek czarnego marmuru.

Cyferblat był z blachy srebrnej, skazówki czarne, a między filarkami z alabastru, kołysał się nie-

ustannie tak zwany po staroświecku „perpendykuł“. Składał on się z kawałka grubego drutu, u którego końca dolnego zawieszona była okrągła żółta tarcza, wyobrażająca twarz... otóż, że nie wiadomo czyją. Oblicze to szerokie, jak najdoskonalej okrągłe, nie mające absolutnie żadnego wyrazu, o oczach bezmyślnych, wargach grubych, bez żadnego zarostu, mogło równie dobrze być podobizną opasłego sybaryty, tonącej we własnym tłuszczu jejmości, lub pogańskiego bożyszcza. Ta bronzowa twarz, błyszcząca, poruszała się flegmatycznie, miarowo, na prawo i na lewo; przez całe dnie i noce, bez przerwy, a mechanizm zegaru cykał jej do taktu, niezbyt cicho i nie nadto głośno—dyskretnie.

Nieraz nocą, zmęczony pan Karol przerywał pracę i pomimowoli zwracał spojrzenie na zegar; bezmyślna twarz bronzowa zdawała się patrzeć na niego z idyotycznym uśmiechem—światło lampy padało na nią z boku, więc ukazywała się naprzemian, to w pełnem oświetleniu, lśniąca, to znów pogrążona w cieniu i ta gra światła nadawała jej jakiś wyraz złośliwy.

Wpatrywał się w nią i wpadał w stan jakiś dzi-

wny, stan półświadomości i półrozmarzenia—mógł mniemać, że duchowa jego istota stała się podwójną, a raczej rozdzielała się na dwie istoty, z których każda myśli współcześnie, a odrębnie. Myśli tych istot biegną po liniach równoległych, ale w przeciwnych kierunkach, jedna zniedołężniała, półsenna, jeśli o myśli tak powiedzieć wolno, wlecze się powoli i niechętnie ku rzeczywistości, druga raźniejsza, żwawsza, niecierpliwa, biegnie w nieznaną jakąś krainę fantazyi, w której panuje błogi, niczem niezamącony spokój. Myśli rozchodzą się, oddalają jedna od drugiej, zegar cyka monotonnie, bronzowa gęba uśmiecha się wciąż głupowato, wpada to w światło, to w cień i monotonnym ruchem swoim zdaje się patrzącego na nią usypiać. On jednak nie śpi, on czuwa, ma pojęcie o tem, co się dokoła niego dzieje, tylko nie może się ruszyć, nie może na żaden sposób. Dziwna jakaś siła przykuła go do krzesła, uczyniła bezwładnym.

Stan taki trwa kwandrans, pół godziny, czasem dłużej, dopóki go jaki bodziec zewnętrzny nie przerwie; wystarczy westchnienie żony, czuwającej w sąsiednim pokoju, kaszel dziecka—i w jednej chwili myśli poprzednie znikają, a na ich miej-

sce przychodzą nowe, zupełnie trzeźwe, jasne, realne.

Pan Karol odrazu wstaje z krzesła, przypomina sobie, kim jest, jakie ma obowiązki i jaką robotę przed sobą.

Po owym półśnie nienaturalnym pozostaje mu tylko ból głowy, ten jednak łatwo daje się usunąć za pomocą zimnej wody i czarnej kawy. Potem wszystko już dobrze, aż do następnego zmęczenia i półsnu.

Niktby nie uwierzył, jak krótka jest droga od przytomności do obłędu i ile razy człowiek tam i z powrotem przebywać ją może!

Błyskawicznym pociągiem odbywa się tego rodzaju podróże.

Stary zegar cykał regularnie, tłusta gęba poruszała się bez przerwy, a skazówki odmierzały skrupulatnie minuty i godziny; czas szedł spokojnie, równo, upływały dnie, miesiące, lata, jednym róże na twarzach kładąc, drugim zmarszczki.

Mówią, że czas jest najlepszym lekarzem. Nie znając się na medycynie, trudno o tem sądzić, atoli nie ulega zaprzeczeniu, że dzięki jego wpływowi, wiele cierpień przechodzi w stan chroniczny i pa-

cyent przyzwyczaja się do nich, o tyle naturalnie, o ile można się przyzwyczaić do tego, co boli. Ważniejszą właściwością czasu jest to, że przynosi on niekiedy pewne zmiany.

Panu Karolowi naprzykład przyniósł oddawna upragniony awans. Stało się to niespodziewanie. Główny buchalter fabryki otrzymał bardzo korzystną posadę gdzieindziej, a dyrektor narazie nie miał żadnego kuzyna, powinowatego lub protegowanego, któregoby mógł na to stanowisko powołać; sprawa nie cierpiała zwłoki, w tej chwili więc zaprosił pana Karola do swego gabinetu i zaimprowizował do niego prześliczną mówkę na temat, że prawdziwa zasługa i rzetelna praca zawsze znajduje uznanie, że człowiek pracowity i zdolny obejdzie się bez wszelkich protekcyj i w ostatecznym rezultacie zawsze się czegoś dobije.

— Rada zarządzająca naszego przedsiębiorstwa — mówił — ma się rozumieć, na skutek moich przedstawień...

Pan Karol ukłonił się nizko, a dyrektor ciągnął dalej:

— ...W uznaniu sumiennej pracy pańskiej, zdol-

ności i zasług, postanowiła ofiarować panu posadę głównego buchaltera.

Główny buchalter skłonił się niżej jeszcze.

— Mamy niepłonną nadzieję, że na tem, stosunkowo wysokiem już stanowisku, nie zawiedzie pan naszego zaufania...

— Panie dyrektorze!

— I z taką samą sumiennością, jaką odznaczałeś się dotychczas, prowadzić będziesz wszystkie rachunki i kontrolę nad kasą.

Pan Karol ośmielił się wtrącić, że do jego poprzednika ta kontrola nie należała.

— Zapewne—odparł dyrektor—nie należała; do pana należy, i to właśnie przynosi panu zaszczyt. Albo się komuś ufa, albo nie ufa. Poprzednik pański nie miał zupełnego naszego zaufania; pan posiadasz je w stopniu nieograniczonym.

Pan Karol znów się ukłonił.

— To właśnie zaufanie skłania nas również do powierzenia panu działu korespondencyi bardzo ważnej, niezmiernie ważnej. Dotychczas prowadziłem ją sam, ale rozumiesz pan dobrze, że przy moich rozlicznych zatrudnieniach i bądź co bądź słabem zdrowiu, było to dla mnie nieco uciążliwe.

— Bardzo mi przyjemnie, że będę mógł pana dyrektora wyręczyć.

— Dziękuję panu. Niech to pana nie dziwi, że damy panu pensyę o dwieście rubli mniejszą, niż pobierał pański poprzednik, ale na to złożyło się sto przyczyn; między innemi stagnacya, konieczność zaprowadzenia oszczędności, wreszcie pański wiek, stosunkowo dość młody... Nie zapominaj pan, że pański poprzednik miał siwe włosy, a pan jesteś jeszcze prawie młodzieniec.

Pan Karol chciał coś powiedzieć, ale dyrektor mu przerwał.

— Panie—rzekł—wyobrażasz sobie, że tracisz dwieście rubli. Pozwól, że cię wyprowadzę z błędu. Jestem skończonym inżynierem i pochlebiam sobie, że umiem rachować. Owa strata dwustu rubli jest fikcyą; w rzeczywistości zyskujesz pan sześćset, wobec wynagrodzania, jakie brałeś dotychczas, że zaś przybywa panu trochę roboty — to właśnie za owe sześćset rubli. Czyż nie słuszna racya?

— Oczywiście, panie dyrektorze, najsłuszniejsza.

Pan Karol podziękował i uszczęśliwiony spieszył do domu, aby zanieść żonie pocieszającą nowinę.

Na Placu Trzech Krzyżów zastąpił mu drogę pan L. B. Hapergeld. W tombakowych binoklach, w cylindrze i kapocie już tylko cokolwiek za kolana sięgającej, młody finansista wyglądał wspaniale. Broda mu się puściła gęsta, tuszy nabierał. Pani Regina, nie bez pewnej dumy i słuszności, mówiła, że przyjemnie jest iść obok takiego pana, bo znać po nim, że ma pieniądze i głowę do interesów.

Pan Hapergeld przywitał pana Karola bardzo przyjemnym uśmiechem i podając mu rękę, niezbyt wprawdzie czystą, ale dość tłustą, rzekł:

— Winszuję, bardzo panu winszuję.

— Czego?

— Awansowaliśmy.

— Już pan wiesz?!

— Dlaczego nie mam wiedzieć? Będziemy mieli teraz trochę większą pensyę.

— Cokolwiek.

— Ładne cokolwiek! Sześćset rubli! Co prawda, dawno już nam się to należało. Ja też mam teraz większe wydatki, życie jest ciężkie, drożyzna. Ja się z naszego awansu bardzo cieszę. Nie potrafię nawet powiedzieć, jaka to dla mnie duża

przyjemność. Daję panu słowo honoru. Mnie dziwno jest, że pan się nie cieszy.

— Owszem, cieszę się.

— Jabym na pańskiem miejscu skakał sobie do góry.

— Cóżby mi przyszło z tego?

— Dlaczego pan taki smutny jest?

— Bo mam ciężkie myśli.

— Ja nie rozumiem. Dlaczego ciężkie? Dla jakiej przyczyny? Co panu złego? Ma pan teraz śliczny kawałek pensyi, a prócz tego potrafi pan zarobić ładny grosz.

— Prawda, ale muszę ten, jak pan nazywasz, ładny grosz, wam oddać, wobec tego nie mam szczególnego powodu do wesołości. Gdy was opłacę zupełnie, wtenczas może skakać będę, z uciechy, jeżeli dożyję.

— Pfe! pfe! Niech pan tak nie mówi; dlaczego miałby pan nie dożyć? I na nas też niech pan nie narzeka. Pan masz do czynienia z porządnymi ludźmi, oni panu nie dokuczają, nie naprzykrzają się, jak inne łajdaki.

— Nie dokuczają!

— Pan jeszcze nie znasz, co to jest dokuczanie. Pan trafiłeś na takich, co są porządne finansisty.

— Dajże pan pokój.

— Cóż pan chcesz? Może ja nie jestem porządny człowiek?

— Bardzo, bardzo, nadzwyczaj porządny!

— Cała Warszawa mnie zna—i inni pańscy wierzyciele też są umiarkowani ludzie; pan nie masz prawa na nich narzekać. Biorą procent, to prawda; biorą nawet duży procent, to także prawda, no, ale z czego oni mają żyć? Przecież żaden z nich, żaden z nas, nie ma dobrej posady. Oj, oj, żebym ja naprzykład był urzędnikiem w jakiem biurze, albo na kolei żelaznej, czy ja chciałbym trudnić się tem paskudnem lichwiarstwem?! Ja mam obrzydliwość do takich interesów; cóż robić, trzeba żyć.

— Możnaby o tem dużo powiedzieć, panie Hapergeld.

— Co dużo, co tu jeszcze można powiedzieć?

— Na świecie, oprócz posad biurowych i oprócz lichwiarstwa, do którego masz pan taką „obrzydliwość,“ są jeszcze inne rodzaje pracy, są rzemiosła, są...

— Rzemiosła?! Jakie rzemiosła? Może pan chcesz, żeby porządny człowiek był blacharzem i łaził po dachu? Bogu dziękować, ja nie jestem kot i nie potrzebuję takich interesów; nie urodziłem się do takich interesów. Ani mój ojciec, ani mój dziadek nie trudnili się takiem zatrudnieniem i ja także nie będę. Nie mówmy o tem, bo nawet słuchać nie warto. Ja panu wolę jeszcze raz awansu powinszować i powiedzieć do widzenia. Nie przeszkadzam, bo wiem, że się panu spieszy, pan się bardzo spieszy do żony, żeby jej powiedzieć przyjemną nowinę. Ona będzie bardzo kontenta. Dlaczego nie? Owszem, cieszcie się państwo, ja się też cieszę, a pierwszego po południu przyjdę do pana.

Wbrew przypuszczeniom szanownego finansisty, pani Karolowa wiadomość o awansie przyjęła bez szczególnych objawów zachwytu.

Nie znaczy to bynajmniej, że ją sam fakt nie cieszył, ale życie dawało tak niewiele okazyi do uciech, że młoda kobieta zapomniała się śmiać. I w tym razie nie objawiła radości, tylko rzekła z westchnieniem:

— Dzięki Bogu, może wyzwolimy się prędzej!

Na tem się rozmowa skończyła. Podano obiad,

pan Karol powiedział parę słów do dzieci i zaraz po obiedzie wyszedł do kupca, u którego rachunki prowadził.

Stosunek wzajemny młodej pary od czasu owych lekcyj buchalteryi bardzo się zmienił. Kochali się, jak dawniej, może więcej jeszcze, gdyż łączyły ich dzieci i lata wspólnego pożycia, szanowali się nawzajem, ale o uczuciach swych już nie mówili. I nietylko o uczuciach, ale w ogóle rozmawiali z sobą bardzo mało; nie mieli na to czasu, a przytem tak on, jak i ona, pragnęli unikać przykrego przedmiotu, który myśli ich nieustannie zajmował.

Przyszedłszy do domu wieczorem, pan Karol znowu się do pracy zabierał, żona zaś jego, oprócz domowych zajęć, których przy dzieciach nigdy nie brak, wzięła także na swe wątłe barki część pracy mężowskiej, przepisywała rachunki po nocach, robiła bilanse.

Na szczęście, roboty im nigdy nie brakło, mieli jej aż tyle, że ledwie mogli podołać, a kiedy im już było bardzo ciężko pod naciskiem Luftermana i jego wspólników, rzucali sobie na pociechę dwa tylko wyrazy:

— Jeszcze rok...

— Masz słuszność, jeszcze tylko rok!

Niewiele to, dwanaście miesięcy tylko, łatwo wytrzymać, skoro się już tyle wytrzymało i przeniosło. Ułożyli plan, obmyślili budżet najdokładniejszy, zaprowadzili oszczędności do niemożliwych prawie granic.

Jeszcze rok, tylko rok; potem będzie już wszystko dobrze, chyba, że na przeszkodzie stanie nieszczęście jakie wielkie, choroba w domu, lub coś nadzwyczajnego.

Dzięki Bogu, nic nadzwyczajnego nie zaszło, wszyscy byli w domu zdrowi, a dochody nietylko nie były mniejsze, niż przewidywano, ale znacznie przeszły oczekiwania, a przecież, po roku upłynionym, pan Karol znowu odzywał się do żony:

— Nie martw się, Janinko, już niedługo, jeszcze tylko rok.

— Jeszcze rok!...

Dziwny to rok był zaprawdę, bo się kilka długich lat na niego składało. Wprawdzie biedni ludzie widzieli już zbliżający się czas wyzwolenia, ale ten pokazywał się im, jak miraż na pustyni i znikał. O ile pan Karol chciał jak najprędzej pozbyć się ciężarów, o tyle Hapergeld temu prze-

szkadzał. Umiał on zawsze urządzić tak, że którykolwiek z jego wspólników, lub agentów, obrażał się śmiertelnie i rozpoczynał kroki sądowe i egzekucyjne, żądając całej sumy. Trzeba było to żądanie zaspokoić, a to znów stawało się powodem niezadowolenia innych. Gdy dostał pieniądze pan Beispiel, obrażał się pan Szejte, pan Durch, pan Parasol, wszyscy panowie się obrażali; likwidowali sobie za chodzenie, za przykrość, za czekanie, za wilgoć, jeżeli deszcz padał, za gorąco podczas upału, mieli do pana Karola wzruszające mówki na temat, że termin, to jest... termin, że kto winien, musi oddać, że jest wysoką niedelikatnością fatygować poważnego kapitalistę na trzecie piętro, po przykrych schodach, z Gęsiej ulicy na Wspólną.

Najwymowniejszym z tych panów był Chaim Beispiel. Żadna żydówka nie rozwodzi się tak szeroko nad swojem delikatnem zdrowiem i słabościami różnemi, jak on nad swem zmartwieniem.

Jak szkatułka grająca, powtarzał on prawie codziennie swoje utyskiwania monotonnym głosem, przerywając je ciężkiemi westchnieniami, zaklinając się na żonę, na dzieci, na wnuki.

— Pan nie wie—mówił—pan nie może wiedzieć,

ile ja na panu straciłem, na moje sumienie, kilka tysięcy rubli; może sześć, może dziesięć, może więcej.

— Oszalałeś pan chyba; przecież cała suma, jaką pan u mnie masz, wynosi dwieście rubli.

— Wierz mi pan, że już tysiące straciłem; żebym doszedł do domu zdrów.

— Nie rozumiem.

— Pan wie, że ja własnych pieniędzy nie mam; tylko jestem faktorem jednego bogatego pana ze Smoczej ulicy. Jemu nie pasuje, żeby sam prowadził taki interes; on nie ma czasu, on jest obywatel, ma dwa domy. On mi powiedział kiedyś: Chaim, ja mam do ciebie ufność, ty będziesz mój ufnik, ty wsadzaj moje pieniądze w dobre miejsce. Ja też wsadziłem w dobre miejsce! Pożyczyłem panu. Pan nie oddał na czas—ja przez to zostałem zgubiony, zabity z żoną, z dziećmi, na śmierć.

— Żyjesz pan przecie...

— Nie, panie, takie życie, to wcale nie jest życie. Ten pan bardzo się na mnie gniewał; nie powierza mi teraz swoich interesów—ja już nie jestem jego ufnik. Patrz pan sam, co ja przez pana straciłem! Prócz tego, ja musiałem jemu całkowity pański dług zapłacić ze swojej kieszeni.

— Mówiłeś pan przecie, że własnych kapitałów nie posiadasz.

— Ja nie posiadam, ale byłem przymuszony posiadać—i co z tego mam?

— Bierzesz pan straszny procent.

— Co procent! Co to znaczy! Procent, to jest dopiero procent, a gdzie moje chodzenie, gdzie moje zmartwienie, gdzie moje zdrowie jest? Taki interes, to czysta zguba. Onegdaj przyszedłem do pana z Gęsiej ulicy i dostałem za fatygę rubla. Tak ślicznie pan szanuje moje nogi!

— Mój panie, posłaniec publiczny robi dziesięć kursów za rubla.

— Co mnie pan równa do takiego chama! On ma bydlęce zdrowie i nogi, on może chodzić, a ja jestem człowiek delikatny.

— Eh! — rzekł zniecierpliwiony pan Karol — pan jesteś przedewszystkiem wałkoń i próżniak i myślisz tylko o tem, jak komu grosz wyrwać z kieszeni.

— Ja jestem próżniak? Ja wałkoń? Jak żyję, nie słyszałem takie brzydkie słowo. Ja ciężko pracuję, ja tak pracuję, jak wół, ja muszę iść do jednego pana, do drugiego pana, muszę chodzić do sądów, do komorników, ja nie mogę złapać trochę

oddech do gęby. Pan sobie siedzi na ładnem krzesełku, koło pieca, panu ciepło jest, a ja muszę się chlapać po błocie, ja muszę myślenie w głowie mieć, ja muszę zmartwienie mieć, ja wszystko muszę.

Na powstrzymanie tego potoku wymowy jedynym środkiem był rubel. Jak tama wstrzymuje wezbrane fale rzeki, tak on hamował wylew elokwencyi pana Chaima. Odchodził uspokojony nieco, ale tak strasznie wzdychał i jęczał, jak gdyby spadło na niego bardzo wielkie nieszczęście. Taka pieśń bez słów kończyła każdą jego wizytę.

Westchnienia i jęki słychać było jeszcze na schodach, w bramie, na ulicy. Odchodził bardzo smutny i pocieszała go tylko ta myśl, że za tydzień powróci i znowu kilka rubli wypłacze.

Niekiedy, gdy pan Karol, dzięki większym zarobkom, spokojniejszy był trochę i regularnie wszystkim mógł płacić, urządzali mu niespodziankę: który z wierzycieli odprzedawał swoją summę specyaliście od egzekwowania długów.

Taki pan przysyłał drukowane wezwanie, zaczynające się od słów: „Nabiwszy od pana X. X. pretensye etc., upraszam o uregulowanie w przeciągu dni trzech, albowiem inaczej przymuszony będę

zrobić nieprzyjemnych kroków, z uszanowaniem etc.“ Na blankiecie znajdował się też adres, oraz zawiadomienie o godzinach przyjęcia szanownych klijentów.

Łatwo zrozumieć, że taka kartka burzyła cały plan; trzeba było płacić odrazu całą sumę owemu pokątnemu doradcy, a tem samem narażać się na pretensye ze strony innych i łagodzić je rublami.

Pan Hapergeld doskonale inscenizował te komedye; jak doświadczony reżyser, urządzał wejścia i wyjścia pojedynczych osób, ustawiał grupy malownicze. Sam niewidzialny, kierował całem przedstawieniem.

W takich opałach pan Karol nauczył się wielu rzeczy, dotychczas znanych mu tylko ze słyszenia. Obznajmił się gruntownie z niektóremi działami prawa cywilnego i procedury, a przedewszystkiem z kalendarzem. Tę księgę, odmierzającą czas ludziom wszelkich wyznań i przekonań, wystudyował do gruntu. O kalendarzu chrześciańskim, dającym biednym ludziom chwilę ulgi z mocy religii i prawa, nie ma co mówić, umiał go na pamięć. Obudzony z głębokiego snu, mógłby wyliczyć wszystkie święta podług kalendarza juliańskiego i gre-

goryańskiego; ale nie na tem się jego wiadomości kończyły. Wiedział on także, że jest inna rachuba czasu, podług której rok zaczyna się w miesiącu wrześniu, od święta Roszchaszono, że są miesiące Tiszri, Marcheszwon, Kislew, Tebet, Szwat, Adar, Nisan, Ijar, Siwan, Tamuz, Aw, Elul; że pierwszy dzień każdego miesiąca nazywa się „Rosz hojdesz“ i że w takim dniu każdy żydek musi mieć dobry początek na cały miesiąc, tak, jak w niedzielę rano dobry początek na cały tydzień.

Alboż mało robił takich początków dobrych, alboż mało cierpiał za to, że nie miał się czem dzielić z panem Hapergeldem i jego wspólnikami lub agentami? Wiedział on doskonale, że we wrześniu trzeba dać pieniędzy na święta jesienne, które są bardzo kosztowne, że w grudniu trzeba podnieść zwykłą normę okupu z racyi półświęta Chanuki, pamiątki walecznych Machabeuszów; w marcu z racyi karnawału, wesołych dni, pamiątki pognębienia wielkiego antysemity Hamana, ministra króla Mardocheusza.

Na ten czas potrzeba dać dużo. bo jest wesele i radość; kapitaliści posyłają sobie nawzajem pre-

zenta: z wina, porteru, cukierków, ciast, stosownie do zamożności i stopnia pokrewieństwa.

Pani Regina na taki dzień musi mieć tort z renomowanej cukierni na Gęsiej ulicy, a jeśliby miała dwa torty, toby jej także źle nie zrobiło na zdrowiu.

Wiedział o tem, że w kwietniu trzeba mieć dużo pieniędzy na mace, które są bardzo drogie; w maju, na święta wiosny, bardzo uroczyste; w lipcu bywa post smutny, także więc trzeba pieniędzy. Wystudyował to wszystko gruntownie, zbadał doskonale, wyuczył się na pamięć przez kilka lat praktyki.

W sobotę wolny zwykle bywał od odwiedzin, chociaż nie zawsze. Chaim Beispiel, Abram Szejte, Mojsie Durch i inni starzy konserwatyści nie przychodzili go niepokoić, ale pan L. B. Hapergeld wyłamywał się z pod ogólnego prawa; pani Regina, zwolenniczka postępu, była niby lufcik, przez który wpływało bardzo wolnomyślne powietrze.

Nieraz w sobotę mówiła do męża:

— Idź ty do twego pana Karola.

— Dziś?

— Dlaczego nie?

— Szabas.

Pani Regina uśmiechała się złośliwie.

— Czy ty lubisz jeść i pić w szabas?—pytała.

— Dlaczego nie mam lubić? Kiedyż jeść i pić, jeżeli nie w szabas?

— A dlaczego nie przynieść ładne parę rubli?

— Bo szabas.

— Aj, Leoś, Leoś, nie bądź ty taki hasyd. Dziś pójdziesz, dziś dostaniesz; jutro może być zupełnie co innego. Ciepło jest, jemu się zechce pojechać za miasto na spacerowy pociąg.

— On nie jeździ nigdy.

— Zkąd ty wiesz? Może jego żona namówi.

— Ja ją znam dobrze; nie namówi; wcale nie będzie namawiała.

— Może przyjść jaka familia, jaka ciotka; czy ty możesz zaręczyć za każdą ciotkę?

— On nie ma krewnych.

— Zkąd ty wiesz? Akurat przyjedzie jaka z prowincyi, co jeszcze nie widziała Saskiej Kępy. To dla nich najlepszy smak. Oni będą mieli Saską Kępę, a ty będziesz miał... ty będziesz miał... szabas!

W sercu L. B. Hapergelda zaczynał się budzić niepokój.

Żona jest kobieta zdolna i mądra—myślał.—Ona jest wielka inteligencya, z kamienia potrafiłaby

wycisnąć. Ona na własną rękę puszcza się na spekulacye i zawsze na nich doskonale wychodzi—może ma słuszność—i pan L. B. Hapergeld decydował się.

Pierwszy raz trudno mu było; dalej szło już doskonale. Wizytę u pana Karola uważał sobie za spacer, za odwiedziny przyjaciela. A że podczas odwiedzin znalazł kilka rubli, to już jego szczęście. Nigdzie nie stoi zapisane, żeby szczęście za okno wyrzucać.

Pan Karol, w wolnych chwilach od zajęć i od wizyt swoich przyjaciół, myślał dużo, a myślał nie o sobie tylko, ale i o kolegach i współpracownikach młodszych, nie mających nadziei szybkiego awansu, ani też możności zarobkowania w godzinach pozabiurowych.

Na nich także, na wszystkich bez wyjątku, ciążyła ręka L. B. Hapergelda i jego wspólników.

Otóż dla tych pracowników postanowił pan Karol założyć kasę pożyczkową i nad projektem jej ustawy pracował. W zarządzie fabryki obiecano mu poparcie, a nawet materyalną pomoc; nie szczędził więc pracy osobistej, aby dobrą myśl co rychlej w czyn wprowadzić.

Głuche wieści o tem doszły i na Żelazną ulicę.

Pan L. B. Hapergeld zamyślił się i rzekł do żony:

— Wiesz ty co? Nasz kochany pan Karol zaczyna się buntować.

— Co?

— Buntuje się.

— Jakim sposobem?

— Naprzód zarabia teraz dużo i płaci, a powtóre chce jakąś kasę zakładać.

— To łajdak! Za nasze dobre serce! Ja tobie zawsze mówiłam, Leoś, że ty masz zanadto dobre serce!

— Ty masz racyę.

— Ja zawsze mam racyę. Ty jego potrzebujesz dobrze teraz przydusić.

— Ja go przyduszę.

— Co chcesz, taki jest świat, taka wdzięczność ludzka! Czy myśmy jego mało ratowali w potrzebie? Czy nie robiliśmy mu łaski, dobrodziejstwa? Ty byłeś dla niego, jak ojciec, a co on jest?

— On jest łajdak.

— On jest dziesięć razy łajdak i gałgan, kiedy się przeciwko nam buntuje. On szelma jest i cygan.

— Ty, Reginka zawsze masz śliczną racyę.

ROZDZIAŁ XIII

z którego widać, że Izrael Meir Zwanzig jest bardzo dobry lekarz.

Pani Jenta Hapergeld, bardzo wystrojona a bardziej jeszcze otyła, niż przed kilkoma laty, dla kwaśnego mleka i dla świeżego powietrza wybrała się do ogrodu Krasińskich.

Wieczór był tego dnia ładny, słońce zachodziło łagodnie, zalewając złotem światłem całe kochane Nalewki i wpadające do nich, niby strumienie do wielkiej rzeki: Święto-Jerską, Franciszkańską, Gęsią; rzucało jasne blaski na Muranów, na wszystkie te punkta, tak zawsze wesołe i ożywione, gdzie koncentruje się cały ruch tego światka, który biega, krzyczy i handluje.

W ogrodzie figlowało ono najbardziej; nie dość,

że ukośnemi promieniami wciskało się między liście drzew, ale nawet pozwalało sobie zaglądać pani Jencie wprost w oczy i zmuszać ją do przymrużania powiek i robienia policzkami dziwnych grymasów.

Nie zważało ono na to, że poważnej wdowie nie przystoi mrugać oczami, a pani Hapergeld była już, niestety, wdową od pół roku i byłaby może dotąd opłakiwała swoją stratę, gdyby nie konieczność zajęcia się interesami, dziećmi, a przedewszystkiem własnem zdrowiem, które koniecznie wymagało jakiejś reparacyi. Ów smalec w sercu stawał się coraz bardziej dokuczliwym, tusza się zwiększała, doktorzy zalecali wyjazd za granicę.

Jak wyjechać, kiedy jest tyle interesów; wprawdzie synowie pomagają, ale brak im doświadczenia; dziadzio Gancpomader ma dużo doświadczenia, ale brak mu młodości.

Dobry jest do rady, nawet doskonały, niezrównany, ale brzemię lat go uciska. Nie może już biegać, jako jeleń w górach; przeciwnie coraz więcej pieniędzy traci na tramwaj, a jeżeli nie traci, to siedzi w wielkim fotelu i albo czyta, albo rozmyśla; w ogóle częściej rozmyśla, niż czyta, częściej siedzi w fotelu, niż w tramwaju.

Taki sobie zaprowadził od niejakiego czasu obyczaj i tego obyczaju się trzyma.

Przymrużając powieki przed niedyskretnem słońcem, które lubi porządnym żydówkom w oczy zaglądać, przechylając się z boku na bok, toczyła się pani Jenta do swej ulubionej ławeczki pod kasztanem, gdzie zazwyczaj o tej porze dnia siadywały inne delikatne damy, również skłopotane i cierpiące, a zawsze chętne do przyjemnej dyskusyi.

— Dzień dobry paniom.

— Dobry rok pani. Młoda wdówka potrzebuje używać trochę spaceru.

— Niech moje wrogi tak spacerują — odrzekła pani Jenta—ja ledwo idę.

— Gdzie pani podziała swoje kochane córeczki?

— Poszły do swojej wujenki; w domu została tylko sługa. Ciekawam kogo ona teraz przeklina, chyba ścianę, albo piec. Nie uwierzy pani, kochana pani Fajerwerk, jaka ta moja sługa pyskata! Jak otworzy swoją buzię, to z niej leci gorąca siarka ze smołą.

— Niech kochana pani Hapergeld nie narzeka, z mojej lecą same dyabły, oby się na nią obróciły!

— Czemu panie trzymacie takie gałgany? — wtrąciła trzecia dama, pani Pytelson.

— Co mamy trzymać? Gdzie pani widziała jedwabną albo aksamitną sługę? Pokaż pani taki kawałek złota, zrobimy zaraz licytacyę!

— Dobre sługi — wtrąciła, wzdychając, pani Fajerwerk — gdzie teraz są dobre sługi? Żeby taką choć czasem w teatrze pokazali, zapłaciłabym dobrze za bilet, na moje sumienie! Uważam, że kochana pani Pytelson nie narzeka na swoją.

— Masz pani racyę, ja nie narzekam.

— No, no, pochwal się pani, pokaż nam ten cymes!

— Ja znalazłam dobry sposób: jednego gałgana już odpędziłam, a drugiego jeszcze nie przyjęłam, teraz więc mam spokój.

— Dobry sposób. A kto pani usługuje?

— Przychodzi jedna stara żydówka, ciotka mego męża, biedna kobieta, ona gotuje trochę obiadu.

— A kto sprząta, zamiata?

— Nikt. Na co? Ja wolę przez cały tydzień siedzieć po pas w śmieciach, aniżeli przez jedną godzinę kłócić się ze sługą. Od śmieci jeszcze nikt nie umarł, a od sług wiele delikatnych kobiet zdrowie straciło. Wierz mi pani, że cała moja słabość,

co mnie tyle pieniędzy kosztuje, pochodzi od sług. Prawda, pani Fajerwerk?

— Bardzo prawda, wielka prawda; przez to, że te gałganice są pyskate, my musimy opłacać doktorów.

— Żeby tylko doktorów, to byłoby pół biedy, a gdzie jest apteka, gdzie są wody moralne, gdzie reszta?

— Moja kochana pani i na tem nie koniec. Teraz doktorzy mają różny towar. Nasze matki, nasze babki, nie słyszały o takich brzydkich interesach, jakie my musimy cierpieć za nasze pieniądze. Idź pani do jednego, chce robić analizę—drugi ma interes z kefirem, inny puszcza ogień z maszyny, jeszcze inny potrzebuje robić masaż, a takich jest najwięcej, co zaraz do reperacyi! Ja nie mogę sama pokrajać zabitej kury, bo mi to przykro, a taki doktór gotów najporządniejszą i najbogatszą kupcowę i damę obedrzeć ze skóry, posiekać, popieprzyć, posolić i zrobić z niej, za przeproszeniem kochanej pani, nadziewanego szczupaka. Co jemu to znaczy?

— Aj, kochana pani, niech pani nie mówi tak! Mnie słabo, ja nie mogę słuchać o takim interesie.

— I ja też, mnie się zimno robi, jak słyszę to słowo: reperacya. Lepiej powiedz pani Hapergeld, jak pani skutkuje masaż. Co pani masz z tego masaż?

— Niech go djabli wezmą! Mam siniaki!

— Ładna kuracya! Za swoje pieniądze dostać siniaki; ale pani cokolwiek lepiej?

— Bardzo mało. Prawie nic... tyle to kosztuje, a bez skutku.

— Patrz pani, idzie Izrael Meir.

— Niech on sobie idzie, ten cygan.

Zwanzig zbliżył się do ławki.

— Dobry wieczór paniom.

— Dobry rok.

— Uważam, że nasza pani Hapergeld jest bardzo mizerna.

— Chora jestem.

— Jakie pani cierpienie masz?

— Co wam do tego, wy nie jesteście doktór.

— Kto wie?

— Ha, ha, ha! — roześmiała się pani Pytelson — mamy nowego doktora, pan doktór Izrael Meir Zwanzig, ładny doktór!

— Wolno się pani śmiać.

— Śliczny doktór, pan konsyliarz w kapocie!

— Aj, pani sobie żartuje, ale moja rada też ma wartość.

— Wasza rada?

— Dla pani Fajerwerk i dla pani Pytelson może nie ma wartości, dla pani Hapergeld ma.

— Słyszy pani, co on gada?

— Słyszę.

— No, kiedy Izrael Meir Zwanzig taki doktór, to niech powie, co pani Hapergeld brakuje?

— Ja wiem, bardzo dobrze wiem.

— Wy wiecie tylko jedno, wy powiecie, że mnie brakuje męża.

— Małe dziecko wie, że pani jesteś wdowa, małe dziecko wie, że wdowa niema męża, więc cóżbym ja mądrego powiedział, mówiąc, że pani brakuje męża?

— Więc czego jej brak?

— Nie wasza na to głowa, moje panie. Co pani Hapergeld brak, to ona sama czuje, a ja wiem.

Pani Jenta zainteresowała się niezmiernie.

— Co wy możecie wiedzieć? Mówcie zaraz, ja jestem bardzo ciekawa.

— Ha, ha, ha! Pani ciekawa, a przecież ja je-

stem tylko Izrael Meir; pani się śmieje z mojego znawstwa, pani myśli, że ja jestem ordynaryjny człowiek, że nie wiem, co komu może brakować i jakie lekarstwo na to jest! Pani jesteś bardzo pyszna dama, a tego pani nie wiesz, że jeszcze pyszniejsze damy, takie, coby panią z całym kramem za pół procent od swego majątku kupiły, takie wielkie hrabiny, co jedzą samą czekoladę i pomarańcze, jeżdżą we własnych karetach do jednej baby na Pragę, a radzą się w słabości takiego chłopa, co owce pasie. Pani pyszna dama jesteś, pani o tem nie wiesz, że czasem prosty człowiek ma takie czucie do słabości, jak najlepszy doktór.

— To prawda — zawołała pani Fajerwerk — Izrael Meir śliczne słowo powiedział; ja nawet nie spodziewałam się, że on ma w głowie taki gang.

— Oj, oj, i jaki ja mam gang!

— Nie spodziewałam się, na moje sumienie. Kochana pani Hapergeld zapewne słyszała o tej żydówce, co leczy na różę?

— Słyszałam.

— Ona lepsza, niż sto doktorów. A ta druga, co potrafi frybrę zgubić, to nie chwacka kobieta? Potrzebuje tylko spalić jedno piórko i już po chorobie.

A ta od żółtej słabości, od kolek, od najrozmaitszych felerów! Żebym ja tyle tysięcy miała, ile ich jest i jakie dobre doktorki! Kto wie, może i nasz Izrael Meir ma takie czucie do słabości.

— Ja wiem, że mam.

— No, to niech nam pan Izrael Meir radzi, niech poradzi pani Hapergeldowej. No, na co czekacie? Wam nie pilno, ale temu, kto cierpi, to bardzo pilno do lekarstwa.

— Czy pani pożycza komu pieniądze bez procentu?

— Bogu dziękować, jeszcze nie zwaryowałam.

— I ja też nie zwaryowałem.

— Słuchajcie, Izrael Meir — rzekła pani Hapergeld — jeżeli w waszej mowie nie ma żadnego cygaństwa; jeżeli wy powiadacie prawdę i możecie mi pomódz, to ja was dobrze wynagrodzę.

— Słowo?

— Rzetelne słowo, przy świadkach; pani Pytelson i pani Fajerwerk słyszą.

— Słyszymy.

— No, więc niech Izrael Meir powie, co mi brakuje, te panie mogą chyba słyszeć?

— Nie powiem nic takiego, czegoby nie mogły słyszeć; nie chodzi przecie o interesa pieniężne, tył-

ko o słabość. Pani Hapergeldowej brakuje zmartwienia.

Otyła dama zerwała się z ławki.

— Słyszałyście panie? Mnie brakuje zmartwienia?! Mnie? Ja jestem wdowa, nie mam męża, muszę sama prowadzić interesa, mnie jeden dłużnik uciekł za granicę, oby dusza z niego uciekła—i ten człowiek śmie powiedzieć, że ja nie mam zmartwienia. To koniec świata jest, to gałgaństwo jest—tak mówić!

— Widzę jeszcze lepiej, że pani brakuje zmartwienia, bo o jedno słowo robisz pani dziesięć piekieł. Ja dopiero zacząłem mówić, pani już krzyczysz gwałtu. Czekaj-no pani, powoli! Pani masz kilka słabości, a główna pani słabość to jest żółć. Na żółć jest najlepsze lekarstwo zmartwienie, ale trzeba pani wiedzieć, że są różne gatunki żółci i różne gatunki zmartwienia i nie każde zmartwienie pasuje do każdej żółci. Takie, jak pani masz, nie jest w tym gatunku, co trzeba.

— Aj, w bardzo dobrym gatunku!

— Ale nie do pani żółci. Ja zaraz wytłómaczę; nie poczekasz pani nawet pięć minut. Po pierwsze, pani żałujesz męża i to jest ciężkie zmartwienie.

— Oj, ciężkie, ciężkie!

— To prawda; ale ono idzie do serca, panią serce boli od tego; po drugie, pani masz kłopoty z interesami, pani niedowierzasz swoim synom, pani dłużnik uciekł, to są wszystko też zmartwienia, ale one idą do głowy, a takiego, coby pasowało do żółci, pani teraz nie masz.

— Jakież ono ma być?

— Ono ma być nie zanadto duże, nie zanadto małe, ale trzeba, żeby ono było ciągłe; żebyś je pani miała do herbaty, do kawy, do obiadu, do kolacyi, w pokoju, na spacerze; żeby ono było koło pani ciągle, żebyś pani wiedziała, że je masz—takie zmartwienie idzie właśnie do żółci.

— Gdzie je znaleźć?

— Bardzo łatwo; taki gatunek zmartwienia może pani dać tylko drugi mąż.

Wszystkie trzy damy wybuchnęły śmiechem, a pani Fajerwerk zawołała:

— No, no, Izrael Meir jest tylko Izrael Meir, on umie chodzić krzywemi drogami! Z Muranowa do Krasińskiego ogrodu szedł przez Szmulowiznę i przez Wolskie rogatki, ale przyszedł. Przebrał się za doktora, a jest tylko swat. Pan jesteś bar-

dzo dowcipny człowiek, panie Izrael Meir, w swoim fachu prawdziwy majster, wielki mechanik, głowa! Mnie już koło serca boli od śmiechu, dawno nie byłam taka wesoła!

Zwanzig obraził się. Spojrzał na kobiety wyniośle i rzekł:

— Wielkie damy! Wam się zdaje, że jesteście wielkie panie, a wy, za przeproszeniem waszem, jesteście tylko wielkie, tłuste gęsi.

— Ja was proszę, nie pozwalajcie sobie zadużo, możecie usłyszeć jakie słowo, co nie jest przyjemne dla porządnego człowieka.

— Co mam usłyszeć? Nie usłyszę nic, bo odchodzę. Pani Hapergeld może się śmiać; ja jej radziłem dobre lekarstwo, nie chce dobrej rady słuchać, niech choruje. Co mnie to szkodzi? Nie jestem pan Gancpomader, jej ojciec, ona nie jest moja córka; nawet, gdyby, broń Boże, umarła, ja do kosztów pogrzebu nic nie dołożę.

Rzekłszy to, Izrael Meir odszedł z wielką powagą i godnością.

Pani Hapergeld ciężko westchnęła.

— Słyszałyście panie — rzekła — co ten gałgan powiedział? Gdybym ja umarła! Mnie już słabo jest.

— Niech jego oko zaboli—dorzuciła pani Pytelson—nie trzeba uważać na głupie gadanie.

Wszystkie trzy damy umilkły i zaczęły się bardzo głęboko zastanawiać nad tem, co powiedział Zwanzig. Rozważały wszystkie jego słowa i każda z nich przyznawała w duchu, że Izrael Meir nie jest taki głupi, jak im się wydawał na razie. Osoba najbardziej w danym wypadku interesowana, pani Jenta, przyszła do wniosku, że wywody tego człowieka o różnych gatunkach żółci i gatunkach zmartwienia są bardzo bliskie prawdy, może nawet całkiem prawdziwe. W samej rzeczy, jedno zmartwienie idzie do serca, inne do głowy. Jest to fakt niezaprzeczony.

Tego samego zdania była i pani Fajerwerk, gdyż po namyśle rzekła:

— Moje kochane panie, między nami powiedziawszy, Izrael Meir dobrze mówił i my obeszłyśmy się z nim zanadto popędliwie.

— Może być.

— Nietylko może być,ale tak jest. Ja właśnie myślę nad tem, czy drugi mąż jest rzeczywiście zmartwieniem w takim gatunku, o jakim wspominał Zwanzig?

— Na co pani masz myśleć, dlaczego psuć sobie

głowę? Pani Pytelson ma już trzeciego męża, to może nam powiedzieć. No, powiedz nam pani.

— Oj!—westchnęła zapytana—mogłabym powiedzieć nawet bardzo dużo. Mój pierwszy mąż, niech spoczywa w pokoju, był sobie zwyczajny człowiek. Niezbyt zły i niezbyt dobry, ale był pierwszy; on mnie szanował, on mnie słuchał, a gdym się czasem bardzo gniewała, to wcale nic nie mówił, tylko zabierał się i szedł na spacer przed Bank. On bardzo lubił spacerować przed Bankiem, ale to przecież nie jest wielki feler. Owdowiałam młodo, niedługo znów wyszłam za mąż. Zrobiłam śliczny los! Dostałam kawalera, wielkiego łobuza, też lubił spacerować—tylko nie przed Bankiem. Nie będę opowiadała, jaki to był dla mnie gatunek zmartwienia, ale ono burzyło we mnie krew i żółć, pchało się do głowy i do serca. Ledwie, ledwie się odczepiłam od niego; wziął całe trzysta rubli za to, że mi dał rozwód. Trzeci mój mąż, panie go znacie, jest taki sobie; ot, niebrak mu sprytu do interesów, ma nawet cokolwiek szczęścia do handlu, ale to już nie jest taki mąż, jak pierwszy mąż. Gdy ja się rozgniewam, nie idzie na spacer, ale potrafi się także rozgniewać; gdy ja co mówię, on trzy razy tyle...

— Więc masz pani z nim zmartwienie?

— Mam i właśnie takie, o jakiem mówił Izrael Meir. Nie jest ono bardzo duże i nie jest bardzo małe, ale jest ciągłe, codzień, w powszedni dzień i w święto. Oj, my kobiety jesteśmy bardzo biedne.

— To prawda, kochana pani—dodała pani Fajerwerk z głębokiem westchnieniem—jesteśmy bardzo biedne i delikatne.

Pani Jenta spostrzegła, że rozmowa odchodzi od głównego przedmiotu, zwróciła ją więc odrazu na dawne tory.

— Ciekawa jestem—rzekła—dlaczego drugi mąż ma być koniecznie zmartwieniem?

— Dlatego, że jest drugi.

— Może się przecie trafić taki, który będzie pociechą i radością.

— Co pani mówi? Zkąd pani przychodzi na myśl pociecha? Przecież pani nie wyjdzie za młodzika, mającego ośmnaście lat, tylko dostanie pani albo rozwodnika, albo wdowca, wypraktykowanego.

— Ja żadnego niechcę.

— Zechcesz pani, dlaczego nie? Najpierw samej kobiecie ciężko żyć...

— Oj ciężko!

— Po drugie, nie wypada. Pani jeszcze jesteś bardzo ładna, bardzo delikatna osoba; pani nie powinna się marnować. Po trzecie, Zwanzig miał racyę, ja pani bardzo życzę iść za mąż.

Pani Jenta skromnie spuściła oczy.

— Ja się boję—rzekła—może się trafić zły człowiek.

— Właśnie, to bardzo dobrze; może być grymaśnik, może złośnik, może cały dyabeł, co to panią obchodzi — pani bierze go na lekarstwo. Tran też nie jest dobry, a kto potrzebuje, musi go pić. Pani potrzebuje zmartwienia, musi pani iść za mąż.

Bardzo długo rozprawiały trzy damy, do późnego wieczora, a rezultat debatów był taki, że nazajutrz Izrael Meir Zwanzig, bardzo po przyjacielsku i życzliwie przyjęty, poczęstowany herbatą z cukrem, konferował przez kilka godzin z panią Jentą.

Była to konferencya długa i bardzo poważna. Izrael Meir przerywał ją co chwila zapytaniem:

— Jeszcze pani źle?!

— Alboż dobrze?—odpowiadała pytaniem na pytanie pani Jenta.

— Nie rozumiem, na sumienie nie rozumiem, jaka pani jesteś grymaśnica? Kogoż ja pani mam dać? Ten zły, ten niedobry, ten za stary, ten dla pani za młody, a każdy nie dość bogaty... Co pani chcesz?

— Przedewszystkiem chcę, żeby był bogaty: jeżeli mam brać męża na lekarstwo, niech to będzie lekarstwo w dobrym gatunku. Izrael Meir jest bardzo tani kupiec, chciałby mnie zbyć byle czem...

Zwanzig uśmiechnął się złośliwie.

— No, no—rzekł—przepraszam panią; może ja się mylę... niech się pani nie gniewa... ja już bardzo dawno nie byłem na giełdzie...

— Co ma giełda do mojego małżeństwa i do waszego fachu?

— Bardzo dużo ma, kochana pani.

— No?

— Żebym ja chodził na giełdę, tobym wiedział, że teraz stare baby mają bardzo wysoki kurs.

Pani Hapergeld zrobiła się bardzo czerwona na obliczu, oczy jej błysnęły złowrogo, zerwała się z krzesła i w postawie stojącej, głosem doniosłym i piskliwym, obsypała Izraela Meira gradem obelg i słów nieparlamentarnych, dając mu do zrozumie-

nia, że jest grubianin i że uczyni dobrze, jeżeli natychmiast znajdzie się za drzwiami i progów tego mieszkania już nigdy w życiu swojem nie przestąpi.

Zwanzig przyjął ten atak z przedziwną obojętnością i nie odpierał go wcale. Siedział na krześle, jak poprzednio, w tej samej pozycyi i palił strasznie pachnące cygaro, zapewne pamiątkę z ostatniego wesela. Kiedy potok wymowy pani Jenty zupełnie już wypłynął i kiedy głos zaczął jej posłuszeństwo wypowiadać — wówczas Izrael Meir wyjął z ust cygaro i rzekł najobojętniej:

— Ja się bardzo dziwię, że pani dotychczas jeszcze nie zmarnowałaś sukcesyi po swojej kochanej babci.

— Jakiej sukcesyi? jakiej babci? Wy macie chyba źle w głowie!?

— Wcale nie; ja mam dobrze w głowie i posiadam doskonałą pamięć. Znałem pani babcię; była to bardzo poczciwa straganiarka, trudniła się sprzedażą zieleniny i robieniem wielkiego krzyku od rana do wieczora... Pani ten drugi gatunek zatrudnienia wzięłaś po niej w spadku. Nie ma się czego pysznić z tak wielkiej familii i z takiej

sukcesyi i lepiej mówić o interesie zwyczajnym sposobem, jak ludzie mówią.

Pani Jenta zawstydziła się...

— Mówcie, jak chcecie—rzekła—i co chcecie, ja słucham.

— Po pierwsze pani już skończyłaś dawno dwadzieścia lat i trzydzieści pani także skończyłaś i czterdzieści.

— No, no...

— Dobrze, już ja nic nie mówię, ale mówią małe bachorki od kochanej naszej Reginki—a co one do do pani mówią? Mówią: — babciu! Czy dość pani na tem?

— Niech one się zdrowo i dobrze chowają.

— Niech się chowają; co ja im przeszkadzam? Dla mnie i owszem, niech ich będzie ośmnaście i obym doczekał ich wesela. Idę do rzeczy. Wierz mi pani, że nie masz z czem się drożyć. Przedstawiłem kilka partyj, kilku ludzi porządnych, fachowych, z kapitałem, takich ludzi, co pani nie zrobią wstydu—osoby są. Pani nie jest potrzebny ani młodzik, ani hrabia, ani wielki pan; dla pani pasuje porządny kapitalista, stateczny; taki, żebyś pani znalazła w nim dobrego przyjaciela i zaufanego

plenipotenta do interesów. Powiedz pani, czy tego pani potrzebuje?

— Właśnie...

Z pomiędzy wielu kandydatów wybrany został pan Szymon Karawaner, bardzo przyzwoity kapitalista, mający swoją specyalną klientelę; cokolwiek konserwatysta i odrobinę postępowiec; taki, co jeszcze nie zerwał zupełnie z chałatem, ale już kokietuje tużurek angielski, bardzo jeszcze angielski, za kolana. Raziło trochę panią Jentę smutne nazwisko oblubieńca: Karawaner, ale Izrael Meir Zwanzig wyprowadził ją z błędu i wytłómaczył jej, że nazwisko jest nietylko piękne, ale szczerze handlowe, nawet głęboko handlowe; nie pochodzi ono bowiem od nazwy żałobnego wozu śmierci, ale od wielkiej karawany kupieckiej, która w piaszczystych pustyniach Wschodu znaczy tyle, co wielka bryka frachtowa, albo też, co towarowy pociąg. Nie tacy kupcy, jak dzisiejsi fuszerzy, ale wielcy dawni kupcy, którzy utrzymywali cały handel Wschodu z Zachodem i Południa z Północą, mieli swoje własne karawany, więc nazwisko Karawaner świadczy, jeżeli nie o pewnem powinowactwie krwi, to w każdym razie o powino-

wactwie ducha z owymi wielkimi ludźmi, u których perły znaczyły tyle, co kasza, a złoto nie wiele więcej od piasku. Czyż więc może nie być przyjemnie nosić takie wspaniałe nazwisko?

Pani Jenta musiała przyznać słuszność argumentom Izraela Meira—i sympatya jej zaczęła się zwracać w stronę poważnego finansisty.

— Pani nie wiesz—mówił Zwanzig—jaki on ma piękny kawałek chleba... On handluje tylko z kobietami...

— Ha, może on łobuz jest?

— On jest Szymon Karawaner. Kto ma wąsy, lub brodę, nie dostanie od niego ani grosza i to jest słuszna rzecz. Każdy człowiek powinien mieć swoją specyalność. On ma swoją, on tylko z damami...

Pani Jenta skrzywiła się na to.

— Nie potrzebujesz się pani krzywić — rzekł Izrael Meir — interes to jest bardzo korzystny. Panowie mówią o Szymonie, że do niego należy całe pół świata. Słyszałaś pani, żeby kto miał taką piękną opinię? Żebym panią wyswatał za milionera, nie miałabyś pani takiej uciechy; bo cóż? Milioner ma milion, niech dwa, niech trzy...

i co do niego należy? Milion, dwa, niech trzy... a ten ma pół świata?

— Dlaczego pół?

— Albo ja wiem? Panowie tak mówią, a skoro mówią, to musi w tem coś być... żeby nic nie było, toby nie mówili. Jego fach jest doskonały, i przynosi piękne dochody. Te damy, z któremi pan Karawaner ma do czynienia, znają się na jedwabiu bardzo dobrze, na brylantach trochę, ale na rachunku wcale nie. Co im kazać napisać — napiszą, a kazać podpisać — podpiszą. Potem nieraz bywają zdziwione, zkąd się to wzięło. Pan Karawaner też się dziwi, ale egzekwuje. To swoją drogą — to swoją drogą. Pani Jento, wierz mi pani, że przy takim mężu, jakiego ja pani stręczę, pani możesz mieć często za bardzo małe pieniądze ładny brylant...

— Brylant?

— Oj, oj, i nietylko brylant, możesz pani mieć perły też, szafiry, rubiny, każdy drogi kamień; możesz pani mieć aksamity, jedwabie, koronki, bardzo mało używane, za psie pieniądze.

Interes, jaki prowadzi pan Karawaner, jest w swoim rodzaju doskonały, a klientela wcale nie

podobna do tej, jaką obsługuje pan Lufterman, lub p. L. B. Hapergeld. To jest zatrudnienie wesołe i pełne niespodzianek, tamto ciągle jednostajne. Izrael Meir szeroko opowiadał, jak to bywa.

— Nie masz pani wyobrażenia, co to za śliczny świat. Osoba dziś potrzebuje dziesięciu rubli kredytu i szuka uczynnego kapitalisty dlatego, że nie ma co zanieść do lombardu, a jutro rzuca setkami; wczoraj mieszkała na poddaszu i brakło jej kilku groszy na omnibus, dziś ma śliczny apartament i powóz na gumowych kołach. Ile pan Karawaner przehandlował w swojem życiu mebli, dywanów i powozów! Chciałbym mieć chociaż tylko pięć procent od tego! Wierz mi pani, że można się ubawić, jak w teatrze, patrząc na te zmiany. Pan Karawaner miewał bardzo zdolne klientki; jedna upodobała sobie cyrk i bardzo prędko nauczyła się jeździć stojący na dzikim koniu i przeskakiwać przez obręcz; druga miała jeszcze lepsze fanaberye. Trzymała u siebie w mieszkaniu maleńkiego lwa i maleńkiego niedźwiedzia.

— Fe! Na co?

— Chciała się wykierować na taką artystkę, co ze lwami ma do czynienia.

— Proszę was, nie kończcie, bo mnie słabo jest!

— Pan Karawaner też uczuł, że mu słabo, gdy przyszedłszy po ratę, zobaczył takiego gościa. Nie potrzebuję długo opowiadać, że zaraz wycofał swój kapitał z procentem i kosztami, nie czekając aż lew i niedźwiedź dorosną i zjedzą uzdolnioną osobę, wraz z całą jej ewikcyą i odpowiedzialnością.

— Oj, może ona do tej pory już naprawdę zjedzona!

— Nie wiem, może zjedzona, bo wyjechała za granicę i nic o niej nie słychać.

— Koniec świata! Już słyszałam o różnych złych dłużnikach, o takich, co umarli, uciekli, szwindlowali, zastrzelili się, ale o zjedzonym dłużniku, jak życie moje, nie słyszałam.

— Aj, kochana pani, człowiek, choćby sto lat żył, jeszcze nie pozna wszystkich interesów, jakie się mogą przytrafić w takim fachu. Jak pani pozna pana Karawanera, to on opowie pani jeszcze ciekawsze zdarzenia. On miał i takie klientki, co latały w górę na balonie.

— Dajcie pokój!

— Ja wiem, że panibyś nie zrobiła takiego ryzyka, ani ja też. Pan Szymon był ryzykant i po-

życzył jednej takiej trochę pieniędzy przed odjazdem w górę.

— Waryat! czysty waryat! Ma się rozumieć, przepadło.

— Co pani powie? Wcale nie przepadło. Ta osoba spadła na drzewo, jak wrona, pod Mokotowem, a balon złapali chłopi. Nawet kataru nie dostała. Takie szczęście do handlu! Nie potrafię pani nawet w dziesiątej części opowiedzieć, jakie osoby Karawaner znał i jakie one wyrabiały sztuki. Była pomiędzy niemi taka, cokolwieczek niemka, która potrafiła uczepić się jedną nogą za drążek, głowę mieć na dół, w zębach trzymać armatę, a z tej armaty naprawdę strzelali.

— Aj, dość już, dość!

— Czekaj-no pani, były i takie, co potrafiły w krótkim czasie zjeść; co pani myśli, potrafiły zjeść?

— Alboż ja wiem, jak dużo.

— Dużo, bardzo dużo; zgadnij pani.

— Może całe cielę!

— Cielę? Co znowuż! Całe kamienice murowane, folwarki, sukcesye, takie, co już są i takie, których jeszcze nie ma. Wszystko, wszystko...

Panią Hapergeld zainteresował ten osobliwy człowiek, a Zwanzig korzystał z tego i w bardzo malowniczych barwach przedstawił pana Karawanera, jako finansistę i jako człowieka. Wychwalał jego pewność oka, dar szybkiego oryentowania się w interesach, wielką znajomość stosunków warszawskich.

— I wiesz pani co — dodał — pomimo wszystkiego, pomimo, że między różnymi ludźmi bywa i różne rzeczy widzi, jest człowiek porządny i nabożny; może mniej, niż inni, ale akurat tyle, że na jego jednę osobę wystarczy. Pieniądze lubi trzymać silną ręką, na żadne zbytki sobie nie pozwala. Do cyrku chodzi, bo mu tak wypada, ale chodzi bez biletu; lubi wypić kufelek piwa, ale jeżeli mu kto kupi; jednę ma tylko słabość do cygar, ale i to się da usprawiedliwić, to potrzebne jest w fachu; finansista z cygarem w ustach lepiej wygląda, niż finansista bez cygara. Zawsze pamiętać trzeba o przysłowiu: „jak cię widzą, tak cię piszą,“ tem więcej, gdy się ma z eleganckim światem do czynienia.

Ostatecznie pani Jenta została przekonana co do osoby przyszłego męża i co do jego fachu; tru-

dniejsza daleko sprawa była z ułożeniem stosunku finansowego przyszłych małżonków.

Synowie i córki dość niechętnem okiem patrzyli na małżeństwo matki, nawet pani Regina wzruszała ramionami, mówiąc, że nie rozumie, na co kochanej mamie potrzebny taki ambaras; ale dziadzio Gancpomader, po długich naradach, pogodził wszystkie strony.

W kilka tygodni później odbyło się, również na Amatorskiej sali, wesele bardzo świetne i bardzo wspaniałe. Znajdowała się na niem i pani Lufterman, osoba bardzo już otyła i myśląca ciągle o Karlsbadzie i małżonek jej, podupadły trochę na siłach, cierpiący na astmę, szukający wciąż ścieśnionego powietrza, gdyż atmosfera Grzybowa była dla niego za rzadką.

Czas płata ludziom figle. Najskuteczniej opierał mu się dziadzio Gancpomader, chociaż i on uczuwał już dotkliwie brzemię lat.

Młodzi państwo Hapergeld wyglądali niby dwa rajskie kwiaty, niby dwie z jednego drzewa zerwane pomarańcze.

On robił się coraz pulchniejszy i bardziej na twarzy rumiany, ona rozsadzała najtęższe gorsety.

Mieli już pięcioro bardzo delikatnych dziateczek i pocieszali się nadzieją, że jeszcze na tem nie koniec.

Dlaczegóżby nie?

Mieli porządną klientelę, duże dochody, a chociaż wydatki na utrzymanie domu rosły, jednak majątek powiększał się ciągle. Myśleli już o tem, że za kilka lat, spracowani i zmęczeni operacyami kredytu osobistego, dla odpoczynku i wytchnienia zabawią się w kredyt rzeczowy i założą sobie lombard.

To było marzeniem pani Reginy. Ona już zbadała i wystudyowała ten interes najdokładniej i postanowiła, że, bądź co bądź, marzenia jej ziścić się muszą.

Państwo Hapergeldowie żyli bardzo porządnie, mieli ładne mieszkanie, ładne meble, trzymali dwie służące, mamkę; on miał dla siebie dwóch faktorów. Samo utrzymanie domu kosztowało ich ze czterdzieści rubli tygodniowo, oprócz kosztu letniego mieszkania i oprócz nadzwyczajnych wydatków.

Szkoda pieniędzy, zapewne, ale trzeba zachować pewne decorum. Ostatecznie człowiek, który

żeniąc się, miał dwa tysiące rubli w gotowiźnie, musi żyć odpowiednio do swej fortuny.

To też pan L. B. Hapergeld żył, a gdy mu niebawem przybył jeszcze jeden synek, ucieszył się niezmiernie i powiedział tę wielką prawdę, że kogo stać na rybę, tego stać i na pieprz...

ROZDZIAŁ XIV.

Dalszy ciąg zabiegów pana Karola i co mówiono na stojącem posiedzeniu przed Bankiem.

Raz tak się jakoś zdarzyło szczęśliwie, że pan Karol ze swoją żoną rozmawiał nieco obszerniej. W ich pożyciu należało to do fenomenalnych wypadków; on ciągle swojej pracy, ona również pracy, domowi i dzieciom oddana, nie mieli czasu na długie pogadanki, a przytem przedmiot zajmujący stale ich obojga był tak przykry, że woleli go unikać.

Na cóż sobie truć życie wspominaniem trosk wspólnych, kiedy te troski same każą o sobie pamiętać?

Był dzień pogodny i piękny. Uroczystość Zielonych świątek u chrześcian zbiegła się z żydow-

skiemi świętami Szebuoth i tym sposobem było kilka dni zupełnie wolnych i spokojnych.

Pan Karol postanowił jeden dzień przeznaczyć na odpoczynek, a korzystając z pięknej pogody, zaprosił żonę na spacer.

Na ulicach roiło się od ludzi. Kto żył, spieszył za rogatki, aby odetchnąć świeżem powietrzem. Najosobliwsze ekwipaże można było widzieć na ulicach. Nowe, lśniące karety i przedpotopowe faetony, karykle, dorożki, bryczki, breki, wszelkie typy wehikułów, jakie sobie tylko wyobrazić można.

Koło mostu odzywały się przeraźliwie świstawki statków parowych, na dworcach dróg żelaznych był tłok nieznośny; w ogrodach, parkach, ogródkach, pod werendami cukierni, pełno i gwarno. Okolice podmiejskie zaludniły się tego dnia niezwykle — cała Warszawa wysypała się z murów.

Zostawiwszy dzieci pod opieką służącej, państwo Karolowie udali się pieszo ku rogatkom Belwederskim, a ztamtąd na chłopskiej furce do Wilanowa, gdzie mieli kilka godzin przepędzić.

Upajało ich czyste powietrze, wzroku oderwać nie mogli od tych zbóż zielonych, które im się kła-

niać zdawały, od łąk, od kwiatów, od ptasząt unoszących się w powietrzu. Patrzyli na to wszystko w zachwycie przez czas długi, aż wreszcie on się do niej odezwał:

— Prześlicznie tu jest.

— Prześlicznie!—odrzekła.

I oboje westchnęli, widocznie przyszedł im na myśl szanowny L. B. Hapergeld i jego przezacni koledzy.

W godzinę później chodzili po ocienionym parku Wilanowskim. Pan Karol odezwał się pierwszy:

— Wiesz co, od pierwszego roku naszego pobrania się, nie zaznaliśmy spokoju. Zdawało mi się, że wchodzimy do jakiegoś gęstego lasu, nieprzebytego lasu. Idziemy, idziemy, a drzew coraz więcej, aż ciemno i ani jeden promień światła nie przedziera się przez konary.

— Masz racyę i jam widziała to samo. Drżałam z obawy na myśl o naszej przyszłości, o dzieciach.

— Ciężkie życie, ciężkie—i za co? Cóżeśmy złego zrobili? Czy żądaliśmy wiele od losu? Trudno, przecierpiało się, teraz już nam jest znacznie lepiej.

Spojrzała na niego wzrokiem pełnym zdumienia.

— Lepiej nam teraz—powtórzył.

— A przed trzema dniami znowu jakiś papier przyniesiono do domu. Czy nie widziałeś?

— Wiem doskonale. Ile to już takich papierów przynieśli! I—dodał ciszej—ile jeszcze przyniosą!

— Więc w czem widzisz polepszenie, mój drogi?

— Ubyło nam kilku. Z mniejszą liczbą, niż dawniej, mam do czynienia.

Kobieta westchnęła.

— Daj Boże — rzekła — ale jakoś dotychczas przewidywania nasze nie sprawdzają się. Tyle pracy, tyle pieniędzy idzie na marne! Ciągle żyjemy tylko nadzieją, a tymczasem młodość ubiega, siły się wyczerpują... Co nas czeka?

— Nie rozpaczaj.

— Czyż rozpaczałam kiedy, czy skarżyłam się?

Pocałował ją w rękę.

— Nie, moja droga — rzekł — znosiłaś los swój mężnie, z godnością i dodawałaś mi ducha w zwątpieniu. Teraz ja chciałbym dodać ci odwagi. Mam nadzieję, że wydobędziemy się kiedyś.

— Jeszcze rok—szepnęła z uśmiechem.

— Nie, już nie śmiem naznaczać terminu; nie za

rok, ale za parę, za kilka... Przecież ciągle spłacam. Oprócz tego, zakładamy przy fabryce kasę pożyczkową, ona też niejednego poratuje i nie pozwoli mu wpaść w takie błoto, w jakieśmy wpadli. A słuchaj, kiedy już wyjdziemy, kiedy się wydostaniemy na swobodę i każdy zarobiony grosz będzie naszym groszem... wtenczas...

— Co będzie wtenczas?—zapytała.

— Kupimy sobie domek z ogródkiem, niedaleko Warszawy i będziemy żyli spokojnie. Odpoczniemy.

— Karolu — rzekła z wymówką — dlaczego mówisz to, o czem nie myślisz.

— Nie myślę?

— Bądź szczery. Czy po tylu latach szarpania się i przykrości, miałbyś siłę rozpocząć nowe życie, krzątać się, zabiegać... Chyba nie.

— Masz słuszność. Istotnie, jużbym nie mógł; podziwiam twoją przenikliwość. Po nadzwyczajnych wysiłkach, po takiej pracy forsownej, przychodzi apatya i wiem dobrze, że gdybym się dziś wydobył z nieszczęścia, to jutro tak samo ze zwieszoną głową poszedłbym do fabryki i kradłbym sobie chwile odpoczynku. Mówią, że przyzwyczajenie drugą naturą się staje.

— Mówmy o czem innem—rzekła.

— Dobrze—odrzekł.

I zaczął opowiadał jej o nowościach dnia, o wypadkach miejskich, o Bielanach, ale ciągle i uparcie plątał się mu w myśli szanowny L. B. Hapergeld i jego towarzysze.

Trzeba było wielkiego wysiłku, żeby o żadnego z nich nie zawadzić w rozmowie.

I oni też często o panu Karolu myśleli; on bywał często także przedmiotem ich rozmowy i w domach i na ulicy i na czarnej giełdzie przed Bankiem.

Dziadzio Gancpomader wspominał często o nim w rozmowie z nowym swym zięciem, panem Szymonem Karawanerem, którego dziadzio polubił z powodu wielkich zdolności do handlu i z powodu dobrego oka.

— Uważam—mówił kiedyś pan Karawaner—że ojciec ma słabość do tego człowieka.

— Dlaczego nie? Mój wnuczek ma z niego ładny kawałek grosza. On dobry klient jest, sam przyznaj.

— Ja się na takich nie znam, to nie mój człowiek. Ojciec mówi, że on dobry, to pewnie musi

być dobry, ja o tem zdania nie mam. Niech mnie ojciec zapyta o jaką damę, to wcale co innego.

— Ja wiem, żeś znawca.

— Ale jaki znawca! W całej Warszawie drugiego takiego nie znajdzie. Niech raz spojrzę, to już wiem. Ja miałem dużo praktyki i rozmaite zdarzenia; mało kiedy się myliłem.

— No — wtrącił z uśmiechem dziadzio — powinieneś i żonę tego fachu trochę nauczyć.

Pan Karawaner pogładził brodę i rzekł:

— Proszę ojca, ona jest bardzo zdatna kobieta, puszcza się na mały handelek z mojemi klientkami i pożycza im na zastawy. Tylko chciwa jest bardzo, cały dochód lubi dla siebie zabierać.

— No, a dla kogo mam brać? Może dla męża? Czy ja mężowi bronię zarobić?

— Chciwa jest i skąpa.

— Kto w skąpstwie żyje, w majątku umiera — wtrącił dziadzio.

— Ona lubi spekulować. Wszystkie moje panie zna, jak zły grosz.

— One też niewiele wiecej warte od złych groszy.

— W takim razie, dlaczego chętnie z niemi handlujesz i mnie zarobek odbierasz?

— Dziwno mi, mój mężu — odrzekła pani Jenta i zaraz poczerwieniała na twarzy—bardzo mi dziwno, że mówisz takie rzeczy. Kiedy je przyrównałam do złych groszy, zrobiłam to tak sobie, dla żartu. Co mnie obchodzi ich dobroć, one nie są ani moje córki, ani moje ciotki; swoją drogą trzeba im przyznać, że są bardzo przyjemne, wesołe i eleganckie. Tu wczoraj była jedna...

Nagle pani Jenta urwała i zawstydziła się; mąż to zauważył.

— Kto był?—zapytał.

— Kto miał być? Wcale nikt nie był—odpowiedziała—po co tu kto miał być?

— Przecież dopiero co mówiłaś.

— Ja mówiłam? Ja nic nie mówiłam; odczep się odemnie, co chcesz?

— Ojciec słyszał...

Dziadzio Gancpomader zaczął bębnić palcami po stole i zachowywać uporczywe milczenie, przeczuwając, że zanosi się na małą burzę małżeńską. Zięć jednak powtórzył zapytanie:

— Czy ojciec słyszał? Proszę powiedzieć, czy ojciec słyszał?

— Dajcie pokój, nie kłóćcie się, o co wam idzie?

Może ja słyszałem, może nie słyszałem, to wszystko jedno; nie trzeba się spierać o takie głupstwo. Była, czy nie była, mała rzecz, sufit z tego powodu się nie zawali, ani piec nie wyskoczy przez okno.

— Przepraszam ojca, to wcale nie jest głupstwo—rzekł pan Karawaner—to duża rzecz; ja nie mogę na to pozwolić.

Pani Jenta zaczęła się unosić.

— Aj, ojcze—rzekła—żeby moje wrogi wpierw byli nogi połamali, nim ja za niego poszłam. Ja mam teraz słodkie życie, piękne życie mam z takim zazdrośnikiem!

— Nie pięknie jest być wielkim zazdrośnikiem—wtrącił dziadzio.

— A pięknie jest robić mężowi krzywdę? Poczciwie to jest?

— Cóż ona ci robi?

— Ona mi handel psuje, ona mi moje interesantki zabiera! Póki szło o małe rzeczy, to ja siedziałem cicho, ale widzę, że bierze się do większych. Ja tego już wytrzymać nie mogę. Z czego ja mam żyć, jeżeli ona mi będzie odbierała mój zarobek? Jakie ona ma do tego prawo? Tak sobie handluje, jak w swoim własnym interesie. Co to za rozbój jest!

— Widzi ojciec, jaki to zazdrośnik! On jest dwadzieścia cztery razy zazdrośnik, chytry na pieniądze, chciwy, fe!

Wszczęło się takie piekło, że dziadzio Gancpomader zatkał uszy i chciał uciekać, ale oboje małżonkowie zastąpili mu drogę odedrzwi i puścić go nie chcieli.

— Niech ojciec rozsądzi! — wołała pani Jenta.

— Dobrze, niech rozsądzi; niech nawet sam czarny dyabeł sądzi, moja sprawa zawsze będzie dobra. Proszę zostać, niech ojciec zostanie, niech się przekona, jaką ma śliczną córeczkę. Córeczka, jak się wystroi w jedwabie i pójdzie do ogrodu, wygląda, jak wielka dama, ale dość jej pokazać rubla, a z wielkiej damy robi się wilk.

Pani Karawaner usiłowała małżonka swego przekrzyczeć i nie szczędząc dosadnych epitetów, łez i przekleństw, przekonywała ojca, że jest najnieszczęśliwszą w świecie kobietą; że została w najwyższym stopniu zawiedziona, mniemała bowiem, że wychodzi za poważnego finansistę i uprzejmego w obejściu człowieka, a tymczasem dostał jej się najpospolitszy handlarz, podwórkowy handlarz, nie

mogący cierpieć, jeżeli kto inny, a nie on sam, kupuje starą kamizelkę lub podarte kamasze.

Dziadzio Gancpomader uderzał ręką w stół i krzyczał:

— Sza, sza, dzieci!

Ale dzieci nie chciały słuchać wezwania i kłóciły się dalej zawzięcie; więc dziadzio, nie mogąc już dłużej tego wytrzymać, splunął i zawołał wielkim głosem:

— Niech was dyabli wezmą! Ja wychodzę! Z takimi ordynarnymi ludźmi nie mam żadnej przyjemności. Dajcie mi pokój! Urywajcie sobie głowy, jeżeli wam się podoba, ale ja nie chcę być świadkiem takich awantur!

To przemówienie poskutkowało. Pani Jenta uspokoiła się cokolwiek, a jej małżonek, na wezwanie ojca, zaczął tłómaczyć, o co właściwie mu chodzi.

Kto był wczoraj, pan Karawaner domyślił się i odgadł. Była ruda Niemka, bardzo solidna woltyżerka, znajdująca się chwilowo w kłopocie, z powodu, że ktoś z jej przyjaciół nagle wyjechał i coś zapomniał zostawić. Ale to do rzeczy nie należy. Dość, że Niemka potrzebowała na gwałt pieniędzy i chciała dać, broń Boże, nie na zastaw, tylko tro-

chę dla pewności, złoty zegarek i broszę z rubinami. Pan Szymon chciał jej wygodzić, ale się targował i odszedł. Ona przyszła do niego po południu, nie zastała go w domu i interes zrobiła pani Jenta. Jestże to uczciwe i przyzwoite? Nie, taki postępek znaczy tyle, co niegodziwość, jest paskudztwo.

Dziadzio chciał wypowiedzieć swoje zdanie, ale pan Karawaner przerwał.

— Za pozwoleniem — rzekł — nie powiedziałem jeszcze wszystkiego. Gdyby mi robił konkurencyę, dajmy na to, pan Pfeifenkopf, albo pan Fischenleber, to powiedziałbym, że jest łajdak, ale szuka dobrej lokacyi dla swego kapitału; ale jeżeli postępuje w podobny sposób żona, moja żona, prawdziwa żona — to, co ja mam powiedzieć?

Obrona pani Jenty była bardzo ognista.

— Jakto? — wołała — ja mam opuścić sposobność dobrego zarobku? Dlaczego? Czy dlatego, że go mój mąż opuścił, że nie umiał korzystać z chwili, że nie robił odrazu, a potem nie czekał w domu, wiedząc bardzo dobrze, że Niemka przyjdzie! On nie chciał — ja zrobiłam, o co mu chodzi? On nic nie ryzykował, ja ryzykowałam. Co jest? Co ma być? Czego on chce, ten paskudnik? Jemu się zdaje, że

wszystko do niego należy; ja też chcę pracować i zarabiać. Mam przecież dzieci i wnuki.

Pan Karawaner oświadczył stanowczo, że jeżeli się jeszcze raz wykryje takie nadużycie, to będzie zmuszony dać żonie rozwód.

Dziadzio Gancpomader dużo miał pracy, zanim pogodzić zdołał zwaśnionych małżonków. Od interesu, zrobionego z Niemką, pani Jenta musiała dać dziesięć procent mężowi, i to nie w obietnicy, ale w gotówce; żeby zaś na przyszłość nie było już żadnych nieporozumień i konfliktów, postanowiono, że wszelkie interesa dawniejsze należą wyłącznie do pana Szymona, że wszelkie interesa od daty umowy będą robione na współkę i pan Szymon ma na nie dawać dwie trzecie, a pani Jenta jedną trzecią kapitału i w tym też stosunku podzielą się zyskami; że wreszcie pani Jenta, o ile wyrobi sobie własną klientelę, po za sferą męża, prowadzić będzie geszefciki na własny rachunek i na własne ryzyko, bez żadnej ze strony pana Karawanera kontroli.

Układ taki nie był w zgodzie z kodeksem Napoleona, ale został dobrowolnie przez obie strony przyjęty.

Pani Jenta zauważyła, że w takich warunkach

będzie można żyć i małżeństwo pogodziło się, życząc sobie nawzajem dobrego zdrowia i powodzenia.

Na drugi dzień dziadzio Gancpomader, aczkolwiek trochę słaby i niedomagający, udał się przed Bank.

Kto tego miejsca nie widział, ten nic nie widział; kto tych wydeptanych chodników nie zna, ten nic nie zna.

Można śmiało powiedzieć, że nie ma na świecie instytucyi, tak pięknie, a zarazem niekosztownie urządzonej, jak to wielce szanowne zgromadzenie.

Lokal pod gołem niebem nic nie kosztuje; bywa on wprawdzie trochę niedogodny podczas deszczu, ale w takim wypadku nic łatwiejszego, jak schronić się do jakiej porządnej restauracyi, gdzie zbiera się bardzo zacne towarzystwo i przy kufelku piwa rozmawia o interesach, nowościach chwili i wypadkach nadzwyczajnych, o ciekawych sprawach, licytacyach dokonanych, lub dokonać się mających, o tem, co było, co jest, co ma być, co przyjemne, co cokolwiek przykre, o wszystkiem, co ma jakikolwiek związek z finansami.

„Posiedzenia“, o ile pogoda sprzyja, odbywają się stojący, bez przewodniczącego, bez dzwonka,

bez programu, a pomimo tego, wszystko idzie doskonale.

Komu potrzeba rady, znajdzie tam radę, komu informacyi—informacyę, komu wyjaśnienia—wyjaśnienie, tanim kosztem, a niekiedy i darmo.

Członkowie zgromadzenia przechadzają się, lub też stoją grupami, po kilku, i rozmawiają z sobą czasem poważnie i spokojnie, czasem z większym animuszem, z ferworem, a niekiedy, zwłaszcza, gdy idzie o likwidacyę jakiego interesu, o podział zysków, namiętności się budzą, oczy płoną, usta miotają straszne przekleństwa i robi się rejwach nadzwyczajny—awantura, gwałt.

Zapisane są w kronikach zgromadzenia i przechowane w ustnej tradycyi nadzwyczajne walki, jakie tam nieraz staczano, zażarte, straszne.

Zdarzało się, że wspólnicy, lub współzawodnicy psuli sobie nawzajem bardzo piękne brody i obrywali klapy od chałatów. W handlu bywa rozmaicie.

Bądź co bądź, miejsce tych stojących posiedzeń otoczone jest pewną czcią i poszanowaniem. Jest to rodzaj forum, miejsca publicznego, na którem każdy obywatel wydać się pragnie dobrze.

Człowiek, którego szanują w ogóle—jest szanowny; człowiek, cieszący się poważaniem przed Bankiem, jest dziesięć razy szanowny.

I na odwrót, można mieć awanturę, być oplwanym, spoliczkowanym nawet, to jeszcze nie hańbi; ale dostać w twarz przed Bankiem, to najokropniejszy dyshonor, to plama, którą trudno zatrzeć—nawet banknotem.

Zemsta, zwana rozkoszą bogów, dzika, straszna zemsta, wyrosła na gruncie zawiści fachowej i konkurencyi, przejawia się nieraz w sposób brutalny. Mściwy człowiek czyha, czai się, aż złapie przedmiot swej nienawiści i shańbi go... przed Bankiem.

Dziadzio Gancpomader, jako stały członek czarnej, wędrującej giełdy, widział nieraz takie zdarzenia i godna jego dusza trzęsła się w nim z oburzenia i grozy.

— Łajdaki i łotry!—wołał dziadzio—nie macież to prywatnych mieszkań, wreszcie bawaryj i restauracyj, wreszcie innych ulic do załatwiania takich spraw? Bijcie się wszędzie, gdzie tylko chcecie, ale nie tu!

Spoliczkować porządnego kapitalistę przed Bankiem, czyż może być większa kompromitacya!

Pomimo perswazyi dziadka, zdarzały się takie fakta smutne, świadczące, że gniew i zawziętość podobne są do dzikiego konia, którego ujarzmić i opanować trudno.

Na tych posiedzeniach stojących odbywały się niesłychanie ważne narady; tu każdy człowiek, którego praca przedstawiała jakąś wartość, był zmierzony, zważony, oceniony jak najdokładniej; tu każdy artykuł prawa i procedury przedyskutowany bywał, skomentowany i wytłómaczony tysiąckrotnie; tu opowiadano nadzwyczaj ciekawe i zajmujące rzeczy o symulacyach, o najosobliwszych figlach bankrutów podstępnych, o sposobach wykręcania się ze spraw przykrych, grożących odpowiedzialnością kryminalną.

Tam strzelały rakiety humoru i dowcipu gryzącego, jak potaż, tam opowiadano sobie anegdotki i koncepta, wywołujące wybuchy wesołego śmiechu. Porządne towarzystwo, wesoła kompania!

Dziadzio Gancpomader bywał na tych posiedzeniach codzień, nie z potrzeby bynajmniej, lecz z przyzwyczajenia; przez długie lata tam uczęszczał, więc już nie mógł się obejść bez tej przy-

jemności. Chciał widzieć swój świat i wiedzieć, co się w nim dzieje.

Udział jego w naradach był niewielki; sam już interesami się nie zajmował wcale, ale trochę posłuchał, co mówią i co robią; czasem proszony bywał o radę, lub o rozstrzygnięcie sporu. Nie odmawiał nigdy takich drobnych przysług; co najwyżej żądał, żeby konferencya odbyła się przy szklance piwa, lub herbaty, na koszt osoby interesowanej.

Tam przychodził też codzień pan L. B. Hapergeld, Chaim Beispiel, Mojsie Durch i inni opiekunowie główni i przydani pana Karola. Cała rada familijna. Tam oceniano krytycznie jego postępki.

— Buntuje się — mówił z westchnieniem Chaim Beispiel.

— Niech się buntuje, niech go dyabli wezmą!

— Chce koniecznie wyleźć...

— Ha, ha, ha! Ja też chcę na loteryi wygrać.

— On bardzo dowcipny jest!

— Co wam to przeszkadza, że on chce wyleźć — rzekł jakiś niski, pękaty kapitalista, o oczach rybich i kształtach spasionego karpia. — Co wam to przeszkadza? Z moich klientów, a mam ich niezłą

paczkę, nie ma ani jednego, któryby nie chciał wyleźć, ale dotychczas żaden jeszcze nie wylazł, prócz tych, którzy pomarli. A trzeba wam wiedzieć, że ja już ten interes prowadzę więcej, niż dwadzieścia lat.

— Ja też nie miałem tego zdarzenia—dorzucił drugi.

— I ja nie.

— Kto może wyleźć? Chyba, że ucieknie.

— Dokąd ucieknie? On tu ma swoją familię, ma posadę, sposób do życia, a gdzieindziej, co będzie robił?

— Zawsze to z jego strony nie pięknie—wtrącił pan L. B. Hapergeld.

— Nie pięknie? — zawołał z oburzeniem karpiowaty — powiadasz pan nie pięknie, to łajdactwo jest! Jeżeli oni się uwolnią, to z czego my będziemy żyli? Czy przed nami świat otwarty? Czy mamy jakie posady? Cały nasz zysk jest ten marny procent i to jeszcze chcą nam odebrać.

— To jest prawda, to wielka prawda — dodał Mojsie Durch—ale nie ma się o co bać, on nie wyłezie i inni też nie wylezą. Chwalić Boga, pan Hapergeld nie od parady nosi głowę na plecach,

a my też znamy jego sztukę. On jest doskonale związany, może się szarpać, ile chce, może mu się zdawać, że już mu jest dobrze, że za rok pokończy interesa. Niech mu się zdaje.

— Dlaczego nie ma mu się zdawać i dlaczego pan Hapergeld, jak będzie potrzeba, nie ma go dobrze nacisnąć?

Pan L. B. Hapergeld zrobił taki gest ręką, jakby już nacisnął swego klienta. Uśmiechnął się, pogładził bródkę i otwierał usta, aby opowiedzieć, w jaki sposób pokaże swoją sztukę, gdy wtem, z ogromnym krzykiem, wpadła gromada innych finansistów, zacietrzewionych, spoconych i rozdzieliła grupę spokojnie rozmawiających.

— Co to za gwałt?!

— Co za awantura?!

— Nie pchajcie się, łajdaki, szanujcie miejsce!

Z gromady wyskoczył rudy żydek i rzucił się ku dziadkowi.

— Gancpomader, panie Gancpomader! Mnie krzywdę robią, sądź pan!

— Czego chcecie? O co robicie gwałt?

— To moje, ja jego szwagier! Jego siostra

jest moja żona. Dlaczego bracia chcą krzywdzić siostrę?

— Ja jestem też jego szwagier i jeszcze gorzej niż szwagier, ja jestem jego wspólnik!

— A ja byłem jego faktor!

— Teraz nie jesteś jego faktor.

— Nic nie znaczy, mogę nim być napowrót, jeszcze dziesięć razy!

— Co mnie do tego — odezwał się wysoki żyd, w kapocie rzetelnie zabłoconej po sam pas—ja nie jestem wasz ojciec, ani wasz sędzia i obliczyłem sobie, co mi się należy: koszta i procent — zostaje reszta i niech ją bierze, kto chce, a jeżeli wy sobie przy podziale poobrywacie brody i powybijacie zęby, ja do tego nic nie dołożę. Ja jestem człowiek rzetelny, biorę, co moje, wam oddaję, co wasze.

To mówiąc, oddał zwitek banknotów temu, który stał z brzegu i najgłośniej krzyczał.

— Niech was dyabli porwą!—rzekł i oddalił się pospiesznie — co mi do waszych awantur, bijcie się, nie mam ochoty być świadkiem i chodzić do sądu.

Cała gromada rzuciła się na tego, który wziął

pieniądze; popychano go, szturchano, ktoś go nawet zębami za rękę uchwycił, ale on cierpienie znosił mężnie, a banknotów bronił, jak bohater. Twarz jego stała się czerwona, jak ogień, pokrył ją pot kroplisty, oczy na wierzch wyszły, usta zapieniły się, a piękna broda ruda, potargana i pomięta, świadczyła o bohaterskim zapale.

Lwica nie broni rozpaczliwiej lwiątka, ale też i lwy nie napadają waleczniej.

Podobno Homer widział walki zażarte, ale takiej z pewnością nie widział.

Zaledwie interwencya ludzi poważnych położyła kres batalii; rozepchnięto walczących, którzy jednak nie przestali krzyczeć wielkim głosem, mogącym mury wstrząsać i nie przestali wygrażać sobie nietylko pięściami, ale denuncyacyą, policyą, sądem, kryminałem.

Dziadzio Gancpomader mówił później, że w życiu swojem nie widział podobnej awantury i tak burzliwego posiedzenia, jak wówczas.

Była wprawdzie przyczyna i przyczyna poważna, była kwestya istotnie zawikłana i gruba kwestya, ale ostatecznie dałaby się załatwić w sposób pokojowy i zgodny, jak przystoi na poważnych lu-

dzi. Nie bez słuszności też powiadał dziadzio, że bardzo poważnem stworzeniem jest, nie przymierzając, kot.

Gdy siedzi pod piecem, łapki założy przed sobą i mruczy, można mniemać, że jest to bardzo rozumne i myślące zwierzę; ale niechno zobaczy mysz, gdzie się podziewa jego powaga, jego spokój jego filozoficzne mruczenie? On już nie jest wtenczas ten sam, co był, ale inny kot, z zaiskrzonemi ślepiami, gwałtowny, puszcza w ruch zęby i pazury, rzuca się, goni, skacze, przyczaja — cały łajdak się robi.

Nie przyrównywając, ci poważni i mruczący finansiści zobaczyli też mysz — zobaczyli rubla.

Dobry jest taki fajer w interesie, taka dbałość o grosz i poszanowanie dla niego, ale nie trzeba zapominać, że człowiek, prócz zębów i pazurów, które posiada w znacznie gorszym gatunku, aniżeli kot, ma cokolwiek rozumu — i że ten rozum daje mu doskonałe środki do walki, o wiele ostrzejsze, niż kocie pazury.

Na razie nie można było dojść, o co właściwie idzie, gdyż wszyscy jednocześnie krzyczeli i trzeba było czekać aż ochrypną i ustaną.

Jakoż ochrypli i zaczęli ciężko sapać, rzucając tylko urywkowe słowa, niedokończone frazesy i przekleństwa. Żaden już nie miał siły powiedzieć: „obyś nogi połamał!“ i poprzestawał tylko na wymówieniu „obyś“ — w słusznem mniemaniu, że przeciwnik nie pomyśli, iż to „obyś“ poprzedza życzenia zdrowia, lub wygrania na loteryi.

— Czyje to pieniądze?—zapytał dziadzio.

— Czyje mają być? Są moje!—wrzasnął rudy.

— Niczyje nie są!

— Moje!

— Obyś ty... W najgorszym razie, to jest suma familijna...

— Dlaczego ona ma być familijna? Ona do nas wszystkich należy!

— Obyś ty należał do anioła śmierci, cyganie! Idź ztąd, nie wracaj więcej.

— Dobrze, dobrze, ja pójdę, ale do cyrkułu; ja wam pokażę, co to jest dwa razy pieniądze odbierać!...

— Obyś dwa razy umierał!—krzyknął finansista o kształtach karpia i odepchnął zajadłego faktora na bok.—Sprawiedliwość przedewszystkiem!—wołał—sprawiedliwość grunt! Można oszukać, mo-

żna nawet co ukraść, ale nie po łajdacku, sprawiedliwie... Wstyd przynosicie całemu zgromadzeniu... I tak dużo na nas gadają, wy wiecie o tem, wiecie, że to gadanie nam nieraz szkodzi, a robicie takie paskudztwo, taki krzyk! Nie możecie to podzielić się godnie, jak ludzie porządni i uczciwi!

Mówka ta cokolwiek pomogła; karpiowaty Immerschlecht odsapnął i ocierał pot z czoła, a ponieważ wymowa jest zaraźliwa, więc po Immerschlechcie przemówił płaczliwym głosem Beispiel, dalej gruby Sauerbier i wreszcie sam dziadzio Gancpomader.

Gdy już duża część żółci wyszła ze stron interesowanych, mógł się dziadzio dowiedzieć nareszcie, o co właściwie idzie.

Było tak: jeden pan zapłacił dług, jaki był winien młodemu panu Nuchymowi Pomidor, zapłacił i był spokój. Pan Pomidor akurat nie miał wtenczas przy sobie wekslu, więc go nie oddał; w czem zresztą nie ma nic dziwnego, bo każdemu się zdarzy coś zapomnieć.

Upłynął rok czasu, czy półtora, tamten pan może także zapomniał, a weksel leżał w szafie, bar-

dzo w dobrem schronieniu, w starym pugilaresie, co jeszcze dziadów pamięta. Tymczasem młodemu panu Pomidorowi trafił się przypadek.

— Jaki przypadek?—zapytał dziadzio.

— Brzydki przypadek, nieszczęście.

— Zachorował?

— Owszem, jest zdrów, tylko go teraz w Warszawie trochę nię ma.

— A gdzież jest?

— Cała historya; człowiek nigdy nie wie, co go może za przypadek spotkać. Pan Pomidor, młody, porządny chłopiec, uprzykrzył sobie lichwiarstwo, bo uważał, że jest to praca ciężka, a nie opłaca się, jak należy, wziął się więc do innego zatrudnienia.

— Cóż robił?

— Co miał robić, założył sobie kawałek fabryki.

— Fabryki?

— Robił pudełka tekturowe do magazynów. Porządny interes; zatrudniał kilkunastu chłopaków, bardzo dobrze mu szło, coraz lepiej. Trzy pokoje zapełnił samemi pudełkami; prócz tego zakładał skład hurtowy różnej galanteryi i miał w składzie różny towar.

— Galanterya też dobry interes.

— Dobry, jeżeli jest szczęście.

— To też prawda.

— Młody Pomidor nie miał szczęścia. Jednego razu, wieczorem, kazał swoim chłopcom iść precz, a sam porządkował towar; przy tej czynności potrzebna mu była świeca, lampa i trochę nafty; nafta cokolwiek się rozlała na watę, przypadkowo. On się spieszył do żony na letnie mieszkanie, zamknął skład i pojechał, ale zapomniał przedtem zagasić świecę...

— Zrobił się mały fajer?

— Jakbyście przy tem byli... Ogień był mały, ale nieszczęście duże. Straż przyleciała zaraz, zagasili ogień, znaleźli naftę i watę. Wiecie, że to dość, żeby uczciwego człowieka zgubić. Ludzie są źli; narobili plotek, powiedzieli, że młody pan Pomidor sam swoją fabrykę podpalił! Takie posądzenie!

— To się mogło bardzo brzydko skończyć.

— Ono się odrazu bardzo brzydko zaczęło! Sędzia był twardy, nie chciał słuchać o kaucyi. Kazał go zaprowadzić do aresztu. Taki młody, taki ładny chłopiec, przepadł. W pierwszej instancyi

był brzydki wyrok, ale adwokat pocieszał, że od pierwszej instancyi nikt nie umarł. Poszło do drugiej instancyi. W drugiej wyrok też nie był piękny — pozostała kasacya. Z kasacyi całkiem nic nie było. Biedny chłopak pojechał sobie na kilka lat. Takie jego szczęście, posądzili i zaraz osądzili, powiedzieli, że spekulował na ogniu...

— Na czem teraz można spekulować? — wtrącił z westchnieniem Immerschlecht — nie ma na świecie żadnej spekulacyi do spekulowania.

— Koniec końcem, jak ten biedak pojechał, żona znalazła między papierami weksel; bracia wzięli ten weksel, myśleli, co z nim zrobić, no, i dali go jednemu żydowi, żeby egzekwował. Udało się — wyegzekwował. Tamten pan miał krótką pamięć — zapłacił. Ów żyd, prosty, ordynaryjny człowiek, zrobił, co do niego należało, potrącił sobie procent, koszta, a resztę odniósł tu i rzucił.

Znowu się zrobił wielki krzyk i rejwach, ale poważniejsi i starsi ludzie wdali się w sprawę i nareszcie zrobiła się zgoda. Podzielili się i byli bardzo kontenci, że im się trafił taki dobry zarobek.

Zgromadzenie wróciło do porządku. Rudy przy-

gładzał swą piękną, a mocno potarganą brodę i zaczął rozmawiać o interesach z takim spokojem, jak zawsze. Trochę go tylko bolała pokąsana ręka.

Jak po burzy nastaje zwykle piękna pogoda, tak i po wielkiej awanturze w zgromadzeniu zrobiła się łagodna cisza, przerywana tylko spokojnem szwargotaniem, niby łagodnym szmerem strumienia, toczącego się po kamykach.

Tak samo koty, zjadłszy mysz, chowają pazury i zasiadłszy w ciepłem miejscu, koło pieca, gładzą swe kosmate policzki, mruczą i oblizują się w sposób bardzo przyjemny i miły do patrzenia.

Posiedzenie stojące skończyło się, finansiści rozeszli się grupami. Pan L. B. Hapergeld poszedł z dziadkiem, napili się wody sodowej i korzystając z pogody, zajęli część ławki na skwerze przed Bankiem, obok kilku poważnych i przyzwoitych kolegów. Każdy z tych panów palił swoje „Flor de Havanna“ i puszczał kłęby wonnego dymu, w którym czuć było spaloną watę, kwas karbolowy i przeróżne inne perfumy.

Rozmowa była naturalnie o ciężkich czasach i o czarnej niewdzięczności klientów, którzy nie

znają się na delikatności uczuć i nie pojmują najprostszych obowiązków.

— Mnie nic tak nie gniewa — mówił Hapergeld — jak ta ich dzika chęć wycofania się z interesu. To jest łajdactwo!

— Podłość!

— Nieuczciwość jest!

— Czy my jesteśmy tacy wymagający? — rzekł pan Sauerbier. — Z nami wszystko można zrobić. Nie może dużo płacić, niech mało płaci; nie może dobrze, nich płaci źle, ale jak chce wszystko spłacić i potem nic nie płacić, to niech go dyabli wezmą!

— Alboż mało takich gałganów jest, co tylko o tem myślą, aby się nas pozbyć, paskudniki! A z czego my mamy mieć utrzymanie? Co damy jeść naszym żonom i dzieciom?

— Wiecie panowie — rzekł pesymistycznie zawsze usposobiony Immerschlecht — ja myślę, oby się moje słowa nie sprawdziły, że może, broń Boże, nadejdzie taki czas, że porządny człowiek nie będzie miał gdzie stu rubli umieścić.

— Daj spokój, taki czas nie przyjdzie.

— Dlaczego nie ma przyjść? Zły czas zawsze przychodzi, choć go nikt o to nie prosi.

— A ja powiadam, że nie przyjdzie.

— Przyjdzie!

— Po co ma przyjść?

— Kto wie—rzekł Immerschlecht—może oni sobie powiedzą: dość już; może oni będą zakładali swoje kasy, może w razie potrzeby znajdą kredyt u swoich. Czy wam się zdaje, że oni nie mają pieniędzy?

— Aj, aj!...

— Oni mają więcej, niż my, tylko u nas rubel tak się musi kręcić, żeby przyniósł drugiego rubla do roku i więcej, a u nich każde sto rubli śpi spokojnie i tylko raz na pół roku budzi się i daje... co daje... kupon!—dwa ruble, niech dwa i pół, wielka suma! Żebyśmy mieli te pieniądze, co u nich leżą, świat byłby nasz!

— Niech pan Immerschlecht się nie boi, od początku świata był taki porządek i do końca świata będzie.

— Jednak ja się boję.

— Pan śmieszny człowiek jesteś.

— Nie; oni zaczynają się otrząsać; oni już za-

czynają to miarkować, że im nie jest wygodnie prowadzić takie interesa.

— Co będzie z tego miarkowania?

— Nic nie będzie.

— No, no!

— Ja wam powiadam, że nic nie będzie—rzekł dziadzio Gancpomader—jeszcze nasze dzieci i wnuki naszych dzieci i wnuki wnuków naszych dzieci, będą brały ładny procent; może jeszcze ładniejszy, niż my bierzemy.

— Dlaczego?

— Dlaczego? Dla kilku przyczyn. Pierwsza przyczyna ta jest, że oni nie umieją rachować; oni mają w ręku grosz, ale nie wiedzą, co grosz znaczy; druga przyczyna jest, że między nimi nie ma tego, co jest pomiędzy nami. My możemy się pokłócić przy rachunku, możemy sobie nawet cokolwiek brody potargać, ale skoro trafi się interes, to my zaraz, w wielkiej zgodzie, zrobimy współkę. Oni nie mają żadnej zdolności do spółki. Trzecia przyczyna jest, że oni mają taki feler w oku, że nieraz to, co wcale niepotrzebne, wydaje im się bardzo potrzebne, a to, co potrzebne naprawdę—niepotrzebne. A prócz tego mają i w żołądku feler...

— Jaki feler?

— Nie wiesz?—zapytał ironicznie dziadzio.— No, to powiedz mi, co ty zwykle jadasz?

— Ja jadam dobry obiad: trochę kartofli, trochę chleba, parę dzwonek śledzia, cokolwiek cebuli— czasem kawałek mięsa, w szabas kawałek ryby, co więcej potrzeba? Czasem szklankę herbaty, kieliszek mocnej wódki, trochę piwa, jeżeli zrobię dobry interes! Co mam sobie żałować? Nie mam dużo, ale jest rozmaitość.

— Ślicznie powiedziałeś; my wszyscy lubimy taką rozmaitość, a oni nie mają do rozmaitości gustu, oni lubią jednakowo. Jednakowo duże mieszkanie, duże ubranie, duża edukacya dzieci, duża zabawa, duże jedzenie, wszystko duże. Oni lubią codzień jeść mięso, czasem dwa i trzy razy mięso, oni lubią wino, oni lubią grać w karty, lubią wystroić swoje żony i swoje córki i iść z nimi na bal. Oni lubią... czego oni nie lubią! Właśnie dlatego, że dużo z pomiędzy nich ma pańskie fanaberye, że nie mają zdolności do rachunku, ani do współek, że lubią zawsze jednakowo, więcej dobrze, niż średnio i więcej dużo, aniżeli mało—my i nasze dzieci będziemy mieli zawsze co jeść.

— Pan Gancpomader ma racyę. Immerschlecht nie ma racyi.

— Za pozwoleniem—rzekł dziadzio Gancpomader—pan Immerschlecht też ma racyę.

— Jakim sposobem jeden i drugi ma mieć racyę, kiedy każdy co innego mówi?

— Częściowo; on ma racyę w małej części, ja mam w dużej. Znajdzie się trochę takich, co nabiorą rozumu — i ta trocha będzie dla nas stracona—a zostanie reszta, która nam da dość chleba, oby go tylko było czem gryźć do późnej starości.

ROZDZIAŁ XV

zawierający zakończenie i wiadomość o losie różnych osób, w opowiadaniu tem występujących.

Mówią, że wszystko na świecie ma swój koniec; dziadzio Gancpomader twierdził, że nie; że są interesa, które nie kończą się nigdy, ma się rozumieć w granicach życia ludzkiego, chociaż i o tem możnaby jeszcze dużo powiedzieć; zdarza się albowiem, że dusza ludzka przechodzi w jakie inne stworzenie, a to stworzenie może mieć także interesa, będące w związku z temi, które miała na świecie, będąc w ludzkiem ciele.

To przypuszczenie wchodzi w zakres wyższych dociekań, które dziadzio niekiedy czynił w samotności, ale mówić o nich nie lubił, bo i do kogo?

Szymon Karawaner, chociaż niby człowiek po-

rządny i zachowujący pozory, w gruncie rzeczy był brzydki epikurejczyk; myśl jego otaczał parkan z rubli i po za ten nie wychylała się ona nigdy; a z natury swego fachu patrzył ciągle na takie osoby i na takie rzeczy, które bynajmniej nie podnoszą ducha i nie prowadzą go na wysokości. Na zięcia taki od biedy ujdzie, na wspólnika do interesu może być nawet bardzo dobry, ale do mądrych dyskusyj jest tak zdatny, jak koza do dorożki.

Wnuczek L. B. Hapergeld dużo się zmienił pod wpływem żony, ma coraz krótszą kapotę i tylko patrzeć, kiedy się przemieni w Niemca — także więc nie warto z nim dysputować; Immerschlecht w ogóle ma głowę tępą, nawet do rachunku, Sauerbier już zapomniał, czego się uczył w chederze, a Chaim Beispiel, Mojsie Durch, to ordynarni ludzie, z którymi mówić nie warto.

Z tej racyi dziadzio Gancpomader, mówiąc o interesach, które się nigdy nie kończą, miał na myśli tylko zwyczajne interesa pieniężne, jakie ludzie między sobą na tym padole płaczu miewają i twierdząc, że są takie, co nie kończą się nigdy, miał zupełną słuszność.

One podobne są do chorób chronicznych, które nie zabijają człowieka odrazu, pozwalają mu nawet kołatać się na świecie dość długo, ale nie opuszczają go aż do ostatniej chwili życia.

— Ja wam powiadam — twierdził dziadzio — że tak jest, a dlatego tak jest, że nie może być inaczej, a dlatego nie może być inaczej, że tak jest. Można o tem dużo myśleć i psuć sobie głowę; można ułożyć bardzo ładny projekt zakończenia całego kramu, ale nie można tak szybko powiększać zarobku, jak szybko powiększają się procenta i nie można mieć pewności, że kto jest zdrów na wiosnę, będzie także zdrów na jesieni i że nie przyjdzie zmartwienie, które odrazu cały projekt obali i wszystkie kombinacye popsuje. Na tym fundamencie jedna strona może budować trzypiętrową kamienicę, druga nie postawi najmarniejszego straganu.

Były to już ostatnie mądre słowa, jakie dziadzio Gancpomader swoim wnukom, krewnym i znajomym powiedział na posiedzeniu stojącem przed Bankiem.

Więcej się już nie pokazał na tem miejscu szanownem, na którem tyle w życiu swojem intere-

sów załatwił, tyle rad dobrych udzielił, tyle wiadomości ciekawych nazbierał; na tem miejscu pięknem, do którego, niby żyły do serca, zbiegały się wszelkie nici spekulacyj, wszelkie geszefta tych małych finansistów, z których każdy ma kantor w głowie, a kasę w kieszeni.

W kilka dni później doszła przed Bank wiadomość, że pan Gancpomader nie żyje. Nie przyszedł tego dnia Hapergeld i jego bracia, ani Szymon Karawaner, ani stary Lufterman i wszyscy byli zmartwieni i opłakiwali swoją stratę.

Wiadomość przyniósł gruby Immerschlecht. Przybiegł zadyszany, zmęczony, ciężko sapał i wytrzeszczył szeroko swe rybie, bezmyślne oczy.

— Gancpomader nie żyje — rzekł.

— Nie żyje?

— Jakim sposobem?

— Kiedy?

— Nie słychać było, żeby chorował.

— Mądry człowiek był — rzekł Immerschlecht.

— Tak, mądry, nie ma gadania; wielki praktykant, wielki znawca do interesów.

— Bardzo mądry!

— I bogaty. Ja myślę, że Hapergeldowie dobrze się pożywią. Karawaner też coś dostanie.

— On? Co on ma dostać? Za co?

— Przecież zięć; jego żona bierze całą sukcesyę.

— Moi panowie — rzekł Immerschlecht — za to, co Karawaner dostanie od swojej żony, jabym nie dał złamanego szeląga. Ona mu jeszcze odbierze; ona mu wszystkie klientki poodmawia.

— Zazdrosna kobieta.

— A ma szczęście!

— W czem może mieć szczęście?

— Takiego ojca mieć, to też szczęście — rzekł Immerschlecht.

— Ma się rozumieć, skoro zostawia ładny majątek.

— I jak zostawia, jak dobrze zostawia! Czy wy wiecie, jak on umarł?

— Jak miał umrzeć? Jak wszyscy.

— Nie. On umarł cicho, spokojnie, bez żadnego kosztu. Nie zarobił na tem ani doktór, ani apteka, ani felczer. Wczoraj po południu posilił się trochę i usiadł w wielkim fotelu, aby się zdrzemnąć cokolwiek. Zawsze miał taki zwyczaj i w domu nikt

mu nie przeszkadzał. Taki staruszek potrzebuje spoczynku. I wczoraj tak samo było; usnął, wszyscy wyszli z tej stancyi — niech sobie śpi. Spał godzinę zwykle, potem się budził i wołał o herbatę. Lubił po przebudzeniu się pić herbatę. Służąca nastawiła samowar, już był gotów. Czeka godzinę—cicho, dwie—też cicho, trzy—jeszcze cicho. Samowar zaczął stygnąć, służąca poszła do pokoju, powiedziała, że herbata stygnie—on nic; wzięła go za rękę... on już też ostygł. Dla sukcesorów śliczna śmierć, bez żadnego wydatku! Sługa narobiła gwałtu, ludzie się zbiegli. Pani Karawaner zaraz przyleciała i zabrała wszystkie klucze. Aj, aj! Co się tam działo! Karawaner był na mieście, dowiedział się o wypadku późnym wieczorem, ale już wtenczas nie było po co iść.

— Musiał bardzo żałować.

— Włosy sobie z brody darł, bo akurat tego dnia miał tysiąc rubli od teścia pożyczyć. Gancpomader mu przyrzekł i byłby mu dał na słowo, bez żadnego pisma, bez wekslu, bez kwitka.

— Czemuż nie brał?

— Właśnie miał przyjść wieczorem na herbatę i dostać te pieniądze.

— Ma szczęście do handlu!

— Śliczne szczęście! niech-no teraz spróbuje pożyczyć od swojej kochanej żoneczki!

— Pierwejby zobaczył swoje własne ucho, niż od niej grosz.

Rzeczywiście, pani Jenta otrzymała dobrą sukcesyę; majątek Gancpomadera wynosił blisko pięć tysięcy rubli, a taka suma w dobrem ręku i przy porządnej klienteli, jaką sobie pani Karawanerowa, trochę z krzywdą męża, wyrobiła, ma duże znaczenie.

I mąż i synowie męczyli ją bardzo, żeby im trochę tego kapitału, jeżeli nie dała, to przynajmniej wypożyczyła, ale mężna niewiasta wytrzymała dzielnie oblężenie i odparła bohatersko szturmy.

— Jesteś kobieta—mówił mąż—nie znasz się na geszeftach.

— Mama jest delikatna na zdrowiu—tłómaczyli synowie — na co mamie ten kłopot, to chodzenie? Czy mama nie ma dzieci, żeby pracowały?

Pani Jenta stanęła w groźnej postawie i nasrożyła się, niby orlica w obronie swego gniazda.

— Idźcie wy na złamanie szyi!—zawołała—co jest moje, to moje, wydrzeć sobie nie dam; interesa

sama potrafię prowadzić i pokażę wam, co ja umiem. Więcej ja delikatną ręką wyciągnę, aniżeli wy wszyscy swojemi wielkiemi łapami...

Gancpomader umarł, lecz pamięć o nim żyje — imię jego wspominane jest nietylko w prywatnych mieszkaniach kapitalistów, ale nawet przed Bankiem.

Zatabaczony jeden staruszek z Gęsiej ulicy, który nie mając nic lepszego do roboty, pisze kronikę współczesną i życiorysy znakomitych ludzi, tak się o nim wyraża: „W roku takim a takim od stworzenia świata, usnął na wieki mąż prawy, zacny, uczony i nabożny, cnót wszelakich pełen, w zasługi nadzwyczajne bogaty, czci ludzkiej i poważania syty. Przed nim chodziła sprawiedliwość, za nim miłosierdzie, bo on sam był miłosierny syn miłosiernych i jaśniał, jako świeca gorejąca, a imię tego męża było Abram, Abram syn Dawida dla swoich, a dla świata i na świecie Gancpomader!“

Tego atoli zatabaczony kronikarz nie dodał, że ów mąż fach swój i zatrudnienie swoje po jubilersku, delikatnie, artystycznie, traktował i że w dzieci i wnuki swe wszczepiał zamiłowanie do filigranowej, subtelnej roboty; ale dzieci nie rozumiały

mądrych rad dziadka i po jego śmierci traktowały rzecz swą ordynaryjnie, grubo, po kowalsku. Nie było w ich robocie tego, co się da określić jednym króciutkim wyrazem: „fajn,“ nie było śladu talentu w ich działaniu.

Zaledwie upłynęło pół roku od śmierci dziadka, już jego nauki zostały zapomniane. L. B. Hapergeld uległ zupełnie wpływom żony, którą jakieś licho ciągnęło zawsze do wielkiego świata, która marzyła tylko o tem, żeby mieć własny lombard i córkę hrabinę, a stroić się w same aksamity, atłasy i złoto.

Ulegając jej życzeniom. L. B. Hapergeld zaczął się ubierać już całkiem po niemiecku i można go nieraz spotkać w Saskim ogrodzie, jak paraduje w króciutkiej marynarce, w cylindrze i już nie w talmigoldowych, ale w pozłacanych binoklach na grubym, mięsistym nosie.

Wygląda wspaniale, niby wielki globus, osadzony na grubych i krótkich nogach. Zdrowie mu służy stale, tylko oddech ma trochę zakrótki i szybkość chodzenia go męczy, ale wynalazł na te dolegliwości bardzo skuteczny sposób, sam wynalazł. Chodzi... powoli i śmieje się z doktorów.

Pani Regina twierdzi, że z tem powolnem chodzeniem jest mu bardzo do twarzy; tak chodzą bowiem wielcy finansiści, z pewnością siebie, z powagą, z wielkiem zamyśleniem o takich interesach, od których maleńki procent wystarczyłby na założenie lombardu.

Jeżeli towarzyszy małżonkowi swemu na spacer, stosuje kroki swe do jego kroków i toczą się oboje pomaleńku, a tak pięknie, że ludzie nadziwić się nie mogą.

Doskonała, dobrana para!

Pan Szymon Karawaner zupełnie skapcaniał, a Izrael Meir Zwanzig, gdy go ujrzy zdaleka, chowa się do pierwszej lepszej bramy, lub ucieka w boczną uliczkę. Bardzo roztropnie czyni, gdyż Karawaner dał się słyszeć, że nie zazna spokoju, dopóki własną trzcinową laską nie przetrąci Zwanzigowi kilku kości. I to było także roztropne postanowienie, gdyż nikt inny, tylko Izrael Meir, był przyczyną upadku Karawanera.

On go ślicznie ożenił i ma teraz za swoje! Aby mu kto, przez żart, krzyknął niespodzianie nad uchem: „Karawaner!“ — Izrael Meir natychmiast stawał się blady, jak płótno, drżał i zmykał, jak

zając, bez względu na to, że pierwsza lepsza dorożka mogła go na śmierć przejechać.

Strach ma wielkie oczy, a nie ma na świecie człowieka, któryby bez opozycyi i oporu oddał na przetrącenie rękę, nogę, albo inną kość.

Karawaner był wściekły i miał słuszność, ale co temu winien Izrael Meir? Czy on się mógł domyśleć, że w takiej delikatnej kobiecie, jak pani Jenta, w kobiecie, mającej krótki oddech i pełne serce smalcu, pragnącej wyjść za mąż nie dla innego powodu, tylko żeby mieć trochę zmartwienia na lekarstwo od żółci—siedzi taki wielki, taki gwałtowny i niesłychanie zazdrosny finansista?

Któż to mógł zgadnąć? Kto mógł przewidzieć? Ona zaraz z początku pokazała rogi, ale to było głupstwo, prowadziła drobne geszefciki; zresztą żył jeszcze wówczas Gancpomader, ojciec, którego musiała słuchać. On poskramiał ją cokolwiek, między nią a mężem zrobił układ, porządnie, jak należy, uregulował stosunek ich wzajemny. I było wszystko jako tako, ale dziadzio Gancpomader umarł, a pani Jenta otrzymała w spadku kilka tysięcy rubli.

Wówczas zbudziła się w niej lwica. Poczuła

w sobie wielką siłę i zapragnęła objąć wszystko, zagarnąć w swoje ręce własne, co się tylko zagarnąć dało. Nie zważając na układ, zabierała klientkę po klientce swemu mężowi. Dawała pieniądze na spłatę jego pretensyj, mówiąc przytem słodziutkim głosem:

— Widzi pani, ja jego bardzo kocham i bardzo żałuję. On już nie młody, on spracowany, jemu należy się odpoczynek po tylu latach trudów. Ja chcę go zastąpić; chociaż mam delikatne zdrowie i ciężko mi chodzić po schodach, ale jestem od niego młodsza i łatwiej sobie dam rady, aniżeli on...

Jak dojrzałe jabłka na jesieni odpadają z gałęzi, aby już więcej nigdy do swego rodzinnego drzewa nie powrócić, tak klientki pana Karawanera odpadały od niego raz na zawsze.

Pani Jenta umiała się z niemi zaprzyjaźnić, stać się ich powiernicą i doradczynią niezbędną.

Zdolna kobieta odrazu się poznała na takich interesach, o których, tyle lat przeżywszy na świecie, nie miała żadnego wyobrażenia.

Taki już talent z natury!

Szymon Karawaner został ogłodzony podwójnie.

Ponieważ żona po całych dniach biegała za inte-

resami, nigdy więc, oprócz soboty i świąt, nie miał na czas obiadu, a zdarzało się także, iż nie miewał go wcale. Żona nie miała czasu tem się zajmować, a gdy jej robił wymówki, odpowiadała tak ostro, żeby się można jedzenia wyrzec, byle tylko takich słów przyjemnych nie słyszeć.

— Co mnie to obchodzi? — wołała.

— Ja dziś jeszcze nic nie jadłem.

— Wielka rzecz! Będziesz jutro jadł; przyjdzie szabas, to nażresz się na cały tydzień.

— Tymczasem ja głodny jestem.

— Bądź sobie głodny i ja też nie jestem najedzona, a przecież żyję.

— Ale ja dałem pieniądze na jedzenie!

— Jakie pieniądze, wielkie pieniądze! Myślałby kto, że jesteś taki wyrywny do dawania pieniędzy!

— Nie zaprzeczysz jednak, że dałem... Oddaj mi je, pójdę jeść do restauracyi.

— Co? Ja ci mam oddać? Za co? Dlaczego? Czy ja ci bronię jeść obiad? Dziś go nie ma, to prawda, ale kto ci broni jeść jutro? Przyjdzie jutro — dostaniesz obiad.

— Powiedz mi, kobieto, na co ja się ożeniłem?

— Ty gałganie, może chciałbyś żonę jeść, ty ludożerco! dziki człowieku!

— Ciebie? Ja obiad chcę jeść!

— Idź do dyabła! Ja mam co innego na głowie! Mam myśleć o ważniejszych rzeczach, niż o tem, czem napchać twoje nienasycone gardło!

— Słuchaj, kobieto, nie żartuj! Ja tobie dam rozwód!

— Daj nawet dwa i pięć! Co mnie po takim mężu? Chwalić Boga, jestem dość bogata, mogę sobie znaleźć męża trochę w lepszym gatunku, aniżeli Szymon Karawaner.

Dał jej rozwód, ale ogłodzony był podwójnie; całkowitą klientelę stracił. Przechodzą całe tygodnie, a nie zarabia ani grosza. Tąk go kochana żoneczka urządziła.

Szymon Karawaner chodzi po mieście w tym celu, aby spotkać Izraela Meira i połamać mu kości— i w tym, aby znaleźć jaki interes do zrobienia. Podobno do współki z dwomą żydkami ma zamiar założyć bawaryę na Twardej ulicy.

Ładny los! Od pięknych pań, od cyrku, od szansonetek, od gratisowych widowisk, zejść do bawa-

ryi—piwo sprzedawać? Co to jednak małżeństwo może zrobić z najporządniejszego człowieka!

Izrael Meir Zwanzig tak zręcznie lawirował, że nie wpadł w ręce Karawanera wtedy, gdy ten znajdował się w najwyższym stopniu rozdrażnienia. Człowiek zagniewany, w pierwszej złości, może zrobić głupstwo i nawet bardzo brzydkie głupstwo. dlatego najlepiej jest unikać takiego gwałtownika i dać mu czas, aby się wysapał.

Skoro się wysapie, można z nim rozmawiać. a nawet traktować o interesach, ma się rozumieć ostrożnie.

Tak też uczynił Izrael Meir. Gdy upłynęły dwa miesiące, sądził, że jest czas dość długi na to, aby gwałtowna złość zamieniła się w spokojny żal.

Zaczął tedy sam szukać Karawanera, nie dlatego, żeby go szczególnie kochał i towarzystwa jego potrzebował. ale dlatego, że widział w nim rozwodnika. Nie jest to *prima* gatunek towaru, jest o wiele gorszy od wdowca, a nie równa się nawet z kawalerem, ale zawsze towar dla swata.

Nie można powiedzieć, żeby przywitanie ze strony pana Szymona było bardzo uprzejme, nie można powiedzieć nawet, że było grzeczne. Miało

ono w sobie dość gestykulacyi groźnej, wyrazów przykrych i przekleństw niemiłych do słuchania, ale Izrael Meir przyjął to z pobłażliwym uśmiechem.

— Ja bardzo żałuję — mówił — że się tak stało. Ja wiem, że się źle stało, ale...

— A kto temu winien? Kto temu winien?—krzyczał Karawaner.

— Czy wy nie wiecie kto?

— Ty jesteś winien, ty!

— Dziwne macie wyobrażenie o sprawiedliwości, panie Szymonie. Jakto? Więc, że kobieta zrobiła wam krzywdę, to winowajcą ma być Izrael Meir? Dlaczego Izrael Meir?

— Bo on jest swat!

— Tak, a gdybym wam był nastręczył żonę, jak złoto, z której bylibyście kontenci—to czy dostałbym od was wynagrodzenie nad umowę? Źle sądzicie, panie Karawaner, dalibóg źle! Kto mógł się spodziewać, że ona taka będzie?

— Niech ją dyabli wezmą!

— Niech wezmą! Daję wam uczciwe słowo, że nie robiłbym opozycyi w takim wypadku, a nawet, gdybym to widział, nie krzyczałbym gwałtu! Nie

bądźcie na mnie zagniewani i pomówmy spokojnie, jak dwaj porządni ludzie.

— Co ja mam z wami mówić? Idźcie w swoją stronę, cygańcie, skoro taki wasz proceder jest.

— Nie, nie! Tak nie może być, moje sumienie na to nie pozwala.

— Sumienie? Co sumienie ma wspólnego z takiemi rzeczami?

— Dużo ma.

— No?...

— Jeżeli ja, nie z mojej winy, przypadkiem, zrobiłem wam troszeczkę przykrości, to sumienie mi każe, żebym wam, naumyślnie, na obstalunek, zrobił dużo uciechy. Ja wam dam teraz żoneczkę... oj, jaką żoneczkę! Młoda, ma ośmnaście lat, trochę posagu, nie będzie latała po mieście, bo ma mały feler w nodze i trudno jej chodzić.

— Dajcie mi pokój...

— Zła? To wam dam inną, też fajn kawałek kobietki, ma czterdzieści ośm lat...

Szymon Karawaner nie chciał słuchać, nie rzekł już ani słowa i odszedł.

— Jeszcze czas—mruknął Izrael Meir—jeszcze

czas; trzeba trochę poczekać, aż o swojej kochanej żoneczce zapomni.

I poszedł Izrael Meir Zwanzig dalej pracować na kawałek chleba; szukać młodzieńców i dziewic, wdowców i wdów, rozwodników i rozwódek, kombinować wielkość familij z posagami, uczonością nabożną, edukacyą światową, z tysiącznemi względami.

W jego głowie, niby w wielkiej sali „Amatorskiej“, kręciły się ciągle postacie urodziwych dziewic i młodzieńców, poważnych ojców, delikatnych matek, kręciły się i wikłały z sobą w kombinacyach przeróżnych, a wśród tych kombinacyj najzawilszych błąkały się wspomnienia uczt zaręczynowych i weselnych, cyfry prowizyj od par skojarzonych, projekta nowych związków.

Wielką głowę musiał mieć Izrael Meir, aby to wszystko objąć, spamiętać, jakie kto ma żądania i wymagania, w czem szuka szczęścia, w czem zadowolenia ambicyi i marzeń.

Dotychczas zacny ten mąż prowadzi swój proceder bardzo pomyślnie i skutecznie — i jedno ma tylko niepowodzenie. Nie może na żaden sposób wy-

swatać pani Jenty, bo los Szymona Karawanera najodważniejszych ryzykantów zniechęcił.

I apetyt Izrael Meir Zwanzig ma wciąż dobry, na ucztach zaręczynowych i weselnych pochłania masę pokarmów i napojów.

Nie żałuje sobie, bo mu się należy, a skoro się należy, to dlaczego ma zostawiać dla takich, którym się nie należy?

We wszystkiem musi być porządek, ścisłość i główna rzecz, uczciwość handlowa. Swojego nie daj, cudzego nie rusz, a jeżeli trafi się, że ruszysz, to niech to będzie zrobione uczciwie.

Zresztą, w tym małym światku wszystko idzie po dawnemu.

Chaim Beispiel wciąż narzeka, że zdrowie traci od chodzenia i upominania się, że panowie nie szanują jego nóg, że świat się psuje, że interes lichwiarski przestaje już być interesem, że ogólna poczciwość i moralność upadła.

Nawet ambicya nie jest już dziś ambicyą.

— Dawniej—mówił płaczliwie Chaim Beispiel—bywało, że gdy pan nie miał pieniędzy, to dawał za fatygę trzy ruble, ażeby tylko nie mówić dużo z kapitalistą, dziś bardzo chętnie może nawet przez

dwie godziny rozmawiać z kapitalistą, ale nie daje ani rubla.

Mozes Bencyan Durch twierdzi, że spraw jest coraz mniej, a skupowanie wątpliwej wartości weksli i rewersów, staje się coraz gorszym interesem.

— Jak można żyć? — powiada. — Przed rokiem kupiłem od jednego krawca bankruta na dwa tysiące rubli rachunków; dałem mu za to krwawo zapracowanym groszem sto rubli w jednym papierku, gotówką... no i co? Po roku procesów i ambarasu, wyegzekwowałem całego kramu, z procentami i kosztami, siedemset czterdzieści dwa ruble i kopiejek ośm, a mam do dystrybucyi, z aresztem na pensyach, około stu rubli. Czy można w takich warunkach żyć na świecie! Oczywiście, nie—i lepiej ten robi, kto jedzie do Argentyny i tam zakłada fabrykę czarnej rzodkwi, fasoli i cebuli; przynajmniej nie ma tyle zmartwienia...

Pan Sauerbier zupełnie wyrzekł się lichwy i wziął się do ogrodnictwa. To jest piękny i spokojny fach! Pożycza „zieleniarkom,“ takim babom, co sprzedają warzywo na targu i od rubla bierze tygodniowo tylko pięć kopiejek. Jestto

procent umiarkowany, ale honorowy; można z tego fachu cokolwiek żyć, zwłaszcza, gdy się ma parę tysięcy rubli w obrocie, ale przynajmniej nikt nie mówi na kapitalistę, że jest lichwiarzem.

Pan Immerschlecht zupełnie stracił humor i na seryo myśli o wyjeździe; nie do Argentyny, bo to głupstwo i czysta komedya, ale do Ameryki Północnej, do Stanów Zjednoczonych, gdzie kwitnie wolność.

— Proszę pana—mówi—to jest kraj... Ja biorę sobie naprzykład do kieszeni dwie flaszki dobrej wódki i kieliszek. Ja sobie staję koło fabryki i ja sobie krzyczę:—uiskij! uiskij! Każdy robotnik przychodzi do mnie na kieliszek, ja zbieram pieniądze; nie płacę patent, handluję sobie spokojnie. Ciotka moja, która w Ameryce jest, tak opisuje ten złoty kraj! To rozkosz prawdziwa, to życie!

Tutejsze stosunki zupełnie panu Immerschlechtowi obrzydły; już nie chodzi do swoich klientów, ale pisuje do nich listy otwarte pocztą miejską. Nic go tak bardzo nie oburza, jak wszelka zwłoka w terminie zapłaty.

„Pańskie zwłoki — pisze do swego klienta — w gardle mi stoją, życie mi się przykrzy od tej

zwłoki; jeżeli więc pan etc... jeszcze zwłoki, to ja już nie potrafię tego wytrzymać.“

Czarna giełda odbywa codzień swe posiedzenia stojące i burza, czy pogoda, mróz, czy słota, kapitaliści zawsze są na swych stanowiskach.

W soboty tylko i w święta pusto jest na chodnikach; bagienko śpi.

Pozostaje jeszcze powiedzieć kilka słów o losie państwa Karolów. Nic się nie zmieniło w ich domu, dzieci tylko podrosły, a jemu i jej zmarszczek trochę przybyło.

I musimy znowu powiedzieć o tych dwojgu ludziach to samo, co na początku naszego opowiadania.

Nie stary on, a przecież siwy; nie chory, a jednak skułony, jak gdyby go wielki ciężar bólu przytłaczał; nie próżniak, a przecież zawsze biedny; nie pijak, a zatacza się nieraz, tak go własna niedola odurza.

Kobieta przy nim tak samo złamana, a oboje idą przez życie, niosąc ciężar obowiązków.

Żyją z sobą dopiero lat piętnaście, a już mają wszelkie prawo do złotego wesela, bo te lat piętnaście pięćdziesięciu się równają.

Niosą ciężar obowiązków bez nadziei lepszego jutra, z rezygnacyą, która prawie apatyi się równa.

Dlaczego?

Wszakże łudzili się, że będzie lepiej, że wydobędą się z bagna; wszakże on powtarzał jej: „jeszcze rok, tylko rok;“ później nie dawał jej określonych terminów, ale pocieszał, że po jakimś przeciągu czasu lepiej będzie; a potem przestał już mówić o tym przedmiocie zupełnie.

Dlaczego?

Wszakże lepiej mu było, miał większą pensyę i dużo zarabiał; sam wspominał, że widzi przed sobą drogę wyjścia.

Więc dlaczego?

Nieraz to tłómaczył swym wnukom nieboszczyk Gancpomader, że są interesa, z których nie wychodzi się wcale, bo arytmetyka na to nie pozwala, a jej postanowienia są niewzruszone i nikt się od nich wyłamać nie może.

I to również dziadzio Gancpomader mówił, że jak nie każdy człowiek ginie od pioruna, tak też nie każdy wygrywa na loteryi, nie na każdego spadają sukcesye, mogące odrazu postawić na nogi i wydobyć na lepszą drogę, a i to także nie sekret,

że człowiek nie jest żelazny, że przychodzi na niego niekiedy choroba i niemoc, wydatki zdwaja, a pracować nie da.

W takich razach najprościej obmyślany plan psuje się i rozpada, a Hapergeld i jego towarzysze nowe nakładają haracze, z podwójną nacierają energią.

I jeszcze jedno słowo mądre powiedział Gancpomader: że klienci jego wnuków wspólnemi siłami ratować się nie będą, bo wspólności w nich nie ma.

Gdy jedna mucha wpadnie w sieć pajęczą, miota się rozpaczliwie, brzęczy, ale się wydobyć nie zdoła; gdyby sto much złożyło swe siły, pajęczynaby pękła.

Państwo Karolowie wegetują z dnia na dzień; nie spodziewają się już niczego od życia i nie marzą o niczem; bagno ich wchłania powoli, potrosze, zapadają stale i bez przerwy.

On chodzi do fabryki regularnie, o pięć minut nigdy się nie spóźni, w domu po całych nocach pracuje, ona również pracą swą dopomaga; mało z sobą mówią, czasem dzień przejdzie, jedno do drugiego nie odezwie się nawet.

Nie żyją z nikim prawie, od ludzi trzymają się zdaleka, rozrywek żadnych nie znają; myśl ich jednem tylko zajęta, jak rozdzielić zarobek, żeby zadowolnić wszystkich... przyjaciół, a sobie kupić spokój, chociaż na miesiąc.

Jeden miesiąc spokoju, to bardzo wiele!

Pewnego razu pan L. B. Hapergeld spostrzegł, że pan Karol bardzo źle wygląda.

— Co panu jest?—zapytał.

— Nic.

— Pan chory jesteś?

— Chwilowe to osłabienie zapewne.

— Trzeba się leczyć. Jedź pan gdzie na wypoczynek, to nie drogo kosztuje... Ja panu nastręczę śliczne mieszkanie w Mrozach.

Widocznie przyszły mu na myśl nauki dziadka, że trzeba czasem dać folgę dłużnikowi dobremu.

Pan Karol uśmiechnął się gorzko.

— Ja, wyjechać?

— Kto panu broni?

— Pan, drugi, trzeci, piąty...

— Daj pan pokój, nie narzekaj pan. Masz pan do czynienia z porządnymi ludźmi. Pan mówisz, że oni są lichwiarze. Pan nie znasz jeszcze praw-

dziwych lichwiarzy. My panu nie zrobimy krzywdy, nikt z nas panu nie dokuczył, nie szykanował, nie robił przykrości. Bierzemy trochę procentu, to trudno; my potrzebujemy żyć. My nie mamy stałej pensyi w fabryce, nam nikt nie da ślicznego zarobku do domu. My musimy inaczej na kawałek chleba pracować.

— Zapewne...

— Tak, było panie, na świecie i tak będzie. To brzydkie słowo lichwiarz niech panu nawet do głowy nie przychodzi, bo pan prawdziwych lichwiarzy, zdzierców, jeszcze nie widział. Widzisz pan, my jesteśmy inni ludzie, porządni ludzie jesteśmy. Ja naprzykład sam pana namawiam, odpocznij pan cokolwiek. Pan mówisz, że ja nie pozwalam, a właśnie ja pana proszę—jedź pan... Może panu braknie pieniędzy?... Ja dam.

— Wiesz pan, że od dość dawna nic nie biorę, tylko oddaję.

— I w tem, proszę pana, nie jest dobry rachunek.

— Nie?

— Dlaczego nie masz pan brać? Miałbyś pan więcej spokoju, łatwiejby panu było.

— Dziękuję.

— Na wyjazd, na wypoczynek, przydałoby się.

— Nie, nie trzeba.

— Jak pan chce. Ja pana namawiam, odpocznij pan trochę, miesiąc, czy półtora. Dostaniesz pan trochę lepszą siłę. Ja ze swoją pretensyą, chociaż mam straty na panu, poczekam.

— A inni?

— Innym ja każę; bądź pan spokojny. Czy dać panu jeszcze pieniędzy?

— Dziękuję i jeżeli panowie przez ten czas będziecie czekali, to znajdę środki na wyjazd.

Dał się przekonać; nietyle dla siebie, ile dla żony i dzieci.

Pojechali.

Mieli pokoik w chłopskiej chacie pod lasem; dzieci były uszczęśliwione, biegały po polach, goniąc motyle; blade ich twarzyczki opaliły się trochę i nabrały rumieńców.

Pan Karol odpoczywał, ale nie odrazu się do tego odpoczynku mógł przyzwyczaić.

Gdy rano oczy otwierał i wzrok jego padł na sosny, które przez okna widać było, to mu się zdawało, że to nie drzewa, lecz ludzkie żyjące posta-

cie, tylko do potwornych wydłużone rozmiarów; sądził, że to Chaim Beispiel, Mojsie Durch, stary Lufterman, zaglądają przez okno i budzić go przyszli.

Cały miesiąc na odpoczynku mu zeszedł, rodzina na dłużej jeszcze pozostała.

Odżył trochę.

Był to jego pierwszy i ostatni wypoczynek; więcej już sobie na takie zbytki nie pozwalał, gdyż kiedy wrócił, z podwójną natarczywością rzucili się żydzi na niego, tak, że rady sobie dać nie mógł.

Wrócił do dawnego trybu życia; chodzi do fabryki, w domu nocami zarabia, mózg wysiła na to, żeby wszystkich obdzielić.

I tak mu się wlecze to życie szare, jednostajne, ciężkie i ciągłego niepokoju pełne...

KONIEC.